

MIESIĘCZNIK

Kurjera Polskiego



Zeszyt IX.

za

WRZESIEŃ

1901.



TREŚĆ:

- I. Szczęśćset lat stosunków polsko-pruskich. *Czesław Jankowski.*
- II. Zakochał się djabeł w suchej wierzbie *Wincenty Kosiakiewicza.*
- III. Walka z nędzą i żebractwem (z rysunkami).
- IV. Z prasy (w Poznańskim).
- V. Amerykanka. Nowella.
- VI. Zniżają się szczyty, otwierają się góry (z rysunkami).
- VII. Ze świata kobiecego (z rysun.)
E. Żmijewska.
- VIII. Rozmaitości.
- IX. Kapitan Łamigłowa, powieść (z rysunkami).
- X. Miecz i Łokieć (powieść). *W. Gomułicki.*

Adres Redakcji: Ś-to Krzyska 34 (Jasna 2).

WARSZAWA.

Druk. M. Lewiński i Syn

Jasna 2, róg Ś-to Krzyskiej.

Składy Żyrardowskie

Krakowskie Przedmieście No 55 i Nowy Świat No 36
polecają:

PŁÓTNA. WYROBY POŃCZOSZNICZE. BIELIZNĘ.

Koldry, Dywany, Portjery, Firanki.

TOWARZYSTWO WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ

Ziemioplodów od gradobicia w Moskwie

działające w Królestwie Polskiem od r. 1877

przyjmuje na zasadzie bezwzględnej wzajemności ubezpieczenia ziemioplodów przeciw klęskom przez gradę zrządzonym.

Dla ubezpieczeń w gubernjach Królestwa Polskiego zorganizowany jest oddzielny Okręg Warszawski, dotychczas zarządzany przez ś. p. Edwarda Epsteina, a nadal bezpośrednio przez samą Dyрекcję.

Kapitał zapasowy Towarzystwa na rok 1901 wynosi rb. 239274 k. 02
Suma ogólna wypłaconego za szkody wynadgródenia rb. 2691688 k 60.

Towarzystwo znajduje się w stosunku reasekuracyjnym z 2 najpoważniejszymi zagranicznymi Towarzystwami, zawarło zaś w roku 1901 ubezpieczeń w Królestwie na sumę przeszło 5,000,000 rubli.

Opłata składki w 2 ratach.

BIURO OKRĘGU

w Warszawie.

Do przyjmowania ubezpieczeń na prowincji upoważnieni są we wszystkich miejscowościach Korespondenci Towarzystwa.

Dyrektor Zarządzający **W. Targoński.**

Sześćset lat stosunków polsko-pruskich.

Wspomnień historycznych kilka z powodu 200-letniej rocznicy powstania królestwa Pruskiego.

IV.

Nowa postać u granic Polski.—Wielki kurfirszt i jego polityka.—Potop szwedzki zalewa Polskę.—Wzajemny do siebie stosunek Jana Kazimierza, Wielkiego kurfirszt i Karola Gustawa.—Brandenburgski połów ryb w mętnej wodzie.—Trzydniowa bitwa pod Warszawą.—Kurfirszt wasalem Szwecji.—Nowa odmiana na szachownicy politycznej.—Cel Hohenzollernów dopięty, otrzymują z rąk Jana Kazimierza niezależne, dziedziczne zwierzchnictwo nad Prusami.—Pokój w Oliwie.

Polska po raz trzeci zmieniła sąsiada. U zachodnich jej granic, wielkiego mistrza krzyżackiego Hermana von Salza zlużował Albert książę pruski, a książę pruskiego zlużował kurfirszt Brandenburgski, wyposażony przez króla Zygmunta wcale nie pustym tytułem *dux in Prussia*. Był to sąsiad układniejszy niż Krzyżak z XIII wieku, ale imponujący nawet państwu, któremu co tylko jeszcze przewodził Batory. Nie postawa, ale postać tego sąsiada nie bez racji zwracała na siebie uwagę, trwożną uwagę Polski. Stało się; przypuszczono go aż pod same granice Rzeczypospolitej, sownie wynagrodzono go z góry za... obietnki, dano mu rozwielenić się na taką skalę. Ale teraz:

bacność! może nawet da się coś nie coś z udzielonych koncesji odtargować.

Jęto wasalowi, w zamian za odnowienie lennictwa, stawiać coraz to uciążliwsze wymagania. Niech pomaga przeciwko Turcji, niech przeleje do skarbu Rzeczypospolitej na „wspólne“ cele 30 tysięcy guldenów, niech pobuduje jeszcze tyle a tyle kościołów katolickich w kraju swoim, niech dopuści urzędników pruskich do przysięgi na wierność królowi polskiemu. Kurfirszt Jerzy Wilhelm, syn zmarłego w r. 1619 kurfirszta Jana Zygmunta — tylko zwrócił oczy ku Szwecji gotującej się do wojny z Polską.... Król Zygmunt zrozumiał ostrzeżenie i we wrześniu 1521 r., hołd lenniczy, z potwierdzeniem wszystkich przywiązanych doń przywilejów, ponowiony został w Warszawie. W samą porę związane ręce kurfirsztowi. Zawierucha trzydziestoletniej wojny zwała się już i na Prusy. Karol Gustaw szwedzki, szukający roli do odegrania w Europie, wylądował pod Piławą, zajął ją i jak przez kraj własny pomaszerował dalej przez dzielnice książęce.

Kurfirszt wierny obowiązkowi względem zwierzchniczej Polski, wszystkie swe siły rzucił przeciw Szwedom. Do starcia nie przyszło. Wojska brandenburskie, zetknąwszy się z jednowiercami swymi odmówiły wodzom posłuszeństwa; jęły bratać się z Szwedami. Karol Gustaw podyktował ciężkie warunki; przedewszystkiem, ścisłą wobec zamiarów jego względem Polski neutralność. Rzekł i poszedł — a Europa rozkołysała się jak morza burzliwe, bryzgając krwawymi pianami na Prusy bezzaradnego, niedorosłego do wysokości sytuacji Hohenzollerna. Wśród tego rozpasańia się żywiołów wszelkich, śmierć przecięła skolatany żywot kurfirszta. Stawić czoło zawierusze podniósł się z odziedziczonego tronu brandenburgsko-pruskiego mąż, którego umysł polityczny i zdolności wojenne miały właśnie zajaśnieć wśród najtrudniejszych okoliczności. W r. 1641 rządził już Brandenburgją i Pru-

sami kurfirszt Fryderyk Wilhelm, słusznie zwany Wielkim.

Kaptować go! kaptować jego benewolencję za bądź jaką cenę! — rozległo się na obszarze całej Polski. Niech w jakim chce charakterze rządzi Prusami, byle zasłonił od europejskiej burzy, zwłaszcza od szwedzkiej nawałnicy! Król Władysław IV starał się choćby godność utrzymać państwową i narodową. Ociągał się z odnowieniem lennictwa, stawiał warunki: mianowania przez Polskę komendanta dla Piławy, wystawienie kościoła katolickiego w każdym okręgu pruskim, wniesienie do skarbu 60 tysięcy złotych polskich. Ale czas naglił, kurfirszt tylko żadaną sumę wypłacił, natomiast na swataną mu siostrę króla nawet spojrzeć nie chciał. Przybył jednak do Warszawy i inwestyturę otrzymał. Tego mu tylko było potrzeba, aby z całą swobodą rozpocząć ekonomiczną i militarną reorganizację Prus.

Wielki Kurfirszt w lat dwadzieścia kilka, jako mąż stanu i jako wódz naczelny, dokonał w Brandenburgji i Prusach więcej, niż razem wzięci, poprzednicy jego. Stworzył przedewszystkiem, najpotrzebniejszą wówczas każdemu wogóle państwu — siłę militarną. Dopiero stworzywszy ją i na niej wsparty, wystąpił na widownię szerokiej polityki. Pole dla niej otworzył mu znowu król szwedzki, rozpoczynając w r. 1655 pamiętną w dziejach Polski wojnę.

Kurfirszt stał na rozdrożu. Prusy — jak przyznają sami historycy niemieccy — były dla jego państwa kamieniem węgielnym, a zarazem podstawą jego stanowiska wśród panujących. Rządzenie Prusami umożliwiło mu dokonanie odrodzenia ekonomicznego, społecznego i militarnego Brandenburgji. Był to klejnot jego korony, nieoszacowany nabytek, posiadłość nieodzowna. W jaki sposób utrzymać się przy władzy nad Prusami? w jaki sposób ugruntować tę władzę, uczynić ją bardziej jeszcze niezależną — wśród tych ciężkich, niepewnych, burzliwych okoliczności? Jedna

droga: wiernym pozostać dotychczasowym z Polską stosunkom i Rzeczpospolitą ową, słabnącą, rozprzężoną, zależną od wybryków sejmu i zachcianek królewskich, Rzeczpospolitą jawnie usposobioną nieprzyjaźnie dla wszystkiego, co niemieckie i innowiercze, ochraniać przeciw monarchji, która uchodziła zawsze i pragnęła uchodzić za opiekunkę i szermierkę Reformacji. Druga droga: zachować ścisłą neutralność i czekać. Ale czy nie było to narażeniem się na rozmiążdzenie między obiema wojującymi stronami? Po nad to, lennicza zależność od Polski takiego już potentata, jak kurfirszt brandenburski, upokarzającą była dla Fryderyka Wilhelma. Więc była jeszcze trzecia droga: skorzystać z chwili, wyłamać się z pod wasalstwa polskiego i wynieść Prusy na stanowisko samodzielnego księstwa.

Hohenzollern obrał tę ostatnią, ale obyczajem swoim, z przyrodzenia nie decydujący się szybko, jął stąpać po niej do wytkniętego celu powoli, oględnie, wążąc wszelkie szanse, nie paląc najmniejszego mostu za sobą, pozwalając obu stronom konkurować o brandenburskie silne ramię. Przy boku zaś kurfirsztła stał tradycyjny w rodzie Hohenzollernów doradca, tym razem przebiegły i gburowato cyniczny Waldeck. „Który z nich—mówił—z panów królów odrzuci dające się przyjąć warunki (*raisonable Bedingungen*), przeciwko temu należy się zwrócić. Rzeczą jest wprost nie do zniesienia, aby władca i pan ziem tyłu, wasalem był króla, utrzymującego się mozolnie przy koronie, skarbiąc i okupując fawory senatorów, a który tak dobrze jak żadnego znaczenia nie posiada. Wasza Kurfirsztowska Mość (*Eu. Kurfürstliche Durchlaucht*), możesz być w Prusach pierwszym, podczas gdy dziś jesteś drugim z rządu.“ I jeszcze na inną ewentualność wskazywał daleko patrzący Waldeck. Na możliwy — podział Polski... Był to pierwszy przebłysk idei, którą sformułuje i na widownię polityki pruskiej wniesie w sto kilkanaście lat potem Fryderyk II.

Ale inni ministrowie nie dzielili śmiałych i radykalnych planów Waldecka. Wydawało im się rzeczą bezpieczniejszą i praktyczniejszą trzymać się Polski, pod jej skrzydłami dalej wzrastać i rozwijać się, czekając spokojnie na ukształtowanie się stosunków, nie zmuszających do tak hazardownych imprez. Przekonania te dzielił w głębi duszy kurfirszt sam i—co dziś już jest rzeczą dowiedzioną—czuł po nad to rzeczywistością ku Polsce sympatję. Wahał się.

Tymczasem z szybkością nieprzewidywaną, król szwedzki opanował całą niemal Polskę. Król Jan Kazimierz uszedł na Szląsk, zkąd wzywał kurfirsztę na pomoc, do rzucenia się na tyły Szwedów, obiecując w zamian—złote góry. Ale kurfirszt już nie uważał za stosowne liczyć się z królem opanowanego przez Szwedów państwa. Nie baczył nawet na wezwania polskiej szlachty w Prusach osiadłej, nie przywiązywał znaczenia do ofiarowywanego mu „protektoratu“ nad Polską, otwartą na oścież dla każdego, ktoby w stolicy jej pragnął rezydencję mieć swoją. Chwila stanowczej decyzji zbliżała się—a kurfirszt wahał się jeszcze. Nie wierzył w trwałe sukcesy Szwedów, nadczekiwał wieści. Chwilami zrywał się biedz na pomoc, nie Janowi Kazimierzowi, ale Polsce, Polsce, która mogła przecie jeszcze choć z innym królem na czele, choć w innej organizacji politycznej wypłynąć z tej topieli.... Urok Polski nawet powalonej przemógł. Kurfirszt porwał się „krwią i mieniem wybawić ją.“ Porwał się i oparzył srodze. Król szwedzki na pierwsze zbrojne drgnięcie kurfirsztę odpowiedział zajęciem Prus i pochodem na Królewiec. Poczul kurfirszt żelazną rękę szweda i ugiął się. Wdzięcznym był za zawiązanie z nim rokowań, które doprowadziły do traktatu zawartego w początkach stycznia 1657 r. w Królewcu. Król szwedzki nie pragnął bynajmniej unicestwić Hohenzollerna—wolał skaptować go i przywiązać do swego rydwanu. Wyjął z za nadrza zamiast mizerykordji—pełne uroku mamidło: niezależną, zwierzchniczą władzę nad Prusa-

mi. Co ofiarowywał kurfirsztowi bezsilny Jan Kazimierz, to dawał Hohenzollernowi potężny król szwedzki. Na początek atoli miał tylko kurfirszt zostać pruskim wasalem Szwecji; reszta miała się znaleźć potem, zależnie od tego, czy kurfirszt dotrzyma obietnicy zostawienia Polski jej losowi.

Wasalem szwedzkim był Hohenzollern nie długo. Wojna polsko-szwedzka wzięła niespodziewany obrót. Kraj podźwignął się z upadku, król ukazał się we Lwowie, Karol Gustaw rzucił się tam, ale odparty cofać się musiał ku Warszawie. Jeszcze nie zdążył kurfirszt wykonać lenniczej przysięgi królowi szwedzkiemu, a już ten nie rozdawać ziemie polskie, ale własnej skóry bronić już mógł tylko. Kurfirszt znalazł się w sytuacji nie do zazdrości. Królewiecki traktat w niwecz się obrócił, Polskę śmiertelnie obrażono, a od Szwedów nie było czego się spodziewać. W krytycznej tej dla Karola Gustawa i Fryderyka Wilhelma chwili pomysłność szwedzka znalazła zakłęcie na utrzymanie w sojuszu nieodzownego sprzymierzeńca. Karol Gustaw nie zawahał się błysnąć mu przed oczyma — koroną polską! Tak, jeśli Bóg orężowi szwedzko-brandenburgskiemu znów poszczęści, pierwszym plonem kampanji będzie wprowadzenie na tron polski Hohenzollerna. Prusy i pomorze odpadną do Szwecji, ale cóż znaczy para prowincyj wobec zyskanego państwa, co się zowie! Kurfirszt mądry i dzielny; przeprowadzi w sejmie dziedziczność tronu... sekularyzacja dóbr duchowieństwa polskiego, wzmoże skarb wspaniale... a czyż trudniej utrzymać pod berłem swoim państwo, niż jakąś tam Brandenburgję... I aby już zaraz, w porękę przyrzeczeń szwedzkich, mógł kurfirszt ziemię polską poczuć pod stopą, podpisana została w Malborgu, 25 czerwca 1656 r. umowa, mocą której: król szwedzki oddawał w niepodzielne dziedziczne władanie kurfirsztowi województwa poznańskie, kaliskie, sieradzkie i łęczyckie, Prusy zostawały lenną szwedzką prowincją, a kurfirszt w zamian obowiązywał się przez

rok cały walczyć wespół z armją Karola Gustawa, wzmacniając jej szeregi wszystkim wojskiem swoim.

Przed olśnionym kurfirszttem otwarła się niespodzianie czwarta droga: prowadząca przez Poznań, Kalisz, Sieradz i Łęczycę na stopnie tronu polskiego! Karol Gustaw wygrał sprawę; już go teraz kurfirszt nie odstąpi. Nie liczył się tylko z niezdecydowanym charakterem Hohenzollerna, który powstrzymać się nie mógł od komunikowania się z królem polskim, doradzając mu — zawarcie co rychlej pokoju ze Szwecją. Ale Jan Kazimierz nawet posłów „wiarołomnego wasala“ przyjąć nie chciał, grożąc, iż nawet jeśli go na klęczkach przeproszać będzie, łaski mu swojej nie wróci. Warszawę już zdobyły napowrót wojska polskie; Czarnecki tępił Szwedów gdzie się dało; Jasnogórska Patronka Korony Polskiej czuwała nad dzwigającym się z upadku krajem. Nie wygnaniec już przeto szląski przemawiał do kurfirszta, ale król, zwierzchnik jego. Kurfirszt zamilkł i wojska brandenburskie, ramię przy ramieniu z wyćwiczonemi jak one regimentami szwedzkimi przekroczyły 15 lipca 1656 roku granicę polską. Najezdnicza potęga waliła się raz jeszcze zdobywać Warszawę.

Następujący opis stoczonej pod jej murami trzydniowej bitwy, rozwija niemiecki historyk: *)

„Chwila była krytyczną. Wprawdzie, po utraceniu Warszawy, cofnął się był brat króla szwedzkiego falggraf Adolf Jan z ostatkami armji mil kilka na północ, pod Nowodwór, u ujścia Bugu do Wisły i obozem tam silnym stanął, ale wojska litewskie znajdowały się już pod Pragę, na prawej stronie Wisły, a wojska

*) H. Prutz „*Prussische Geschichte*“ Stuttgart 1900 II str. 24—29. Opis, jak wogóle całe dzieło Prutza z tego mianowicie względu na uwagę zasługuje, iż autor czerpie obficie z prac najlepszych historyków Prus: Treitschke'go, Droysena, Stengla eto. uwzględniając zarazem najnowsze badania. Czwarty i ostatni tom „Historji“ Prutza ma wyjść dopiero za rok.

koronne na lewym jej brzegu tuż pod Warszawą, przewyższając razem pięciokrotnie siły szwedzkie. Nawet po przybyciu króla Karola Gustawa do obozu, siły szwedzkie nie przenosiły 12 tysięcy. Plan króla, polegający na zniesieniu wojska litewskiego przed połączeniem się onego z koronnem, zniweczyło wezbranie Bugu. Przybycie tedy kurfirszt do obozu (27 lipca) było mu bardzo na rękę. Natychmiast, zaraz nazajutrz postanowiono uderzyć na nieprzyjaciela bez względu na hazardowność tego kroku. Wojska bowiem polskie połączyły się były ze sobą, oszańcowwały, a wzmocniło je 20 tysięcy tatarów, użyczonych przez krymskiego chana. Siły zbrojne polskie wynosiły 70 do 80 tysięcy wojsk przeważnie nieregularnych; jedyną piechotę stanowiły 4 tysiące Niemców na żołdzie polskim zostających, Natomiast sprzymierzeni król i kurfirszt mieli pod sztandarami swemi zaledwie 18 tysięcy (9 tysięcy szwedów i 8,500 brandenburgczyków) gdyż część wojska pozostać musiała załogą w nowodworskim obozie. Ale żołnierz to był tęg; ze strony szwedzkiej czoło wojsk Karola Gustawa, brandenburgcy zaś doskonale wyćwiczeni, korni, dobrze uzbrojeni, pokrzepieni na duchu koleżeństwem z najpierwszą armją świata, dumni, że pod komendą znaleźli się najznakomitszego wodza, jakiego wojna prowadzona właśnie na widowni całej Europy, wydała. Przewagę też mieli sprzymierzeni—piechoty; w wojsku ich było 11 tysięcy jazdy a 6400 piechoty. Kurfirszt nie miał jeszcze za sobą żadnej przeszłości militarnej, ale porękę dawały zwycięstwa Karola Gustawa: sława, pewność siebie i ochoczość do wielkich czynów.

Dnia 28 lipca sprzymierzeni, przekroczywszy Bug, posunęli się ku Warszawie. Środkiem dowodził feldzeugmeister hrabia Sparr, mając pod sobą piechotę i 30 dział brandenburgskich, na czele prawego skrzydła stał król z całą niemal jazdą i 23 armatami, lewe skrzydło prowadził kurfirszt, mając przy boku swoim do rady szwedzkiego feldmarszałka Wrangla, dowo-

dząc całą jazdą brandenburską i częścią własnej infanterji. Polacy oszańcowani w miejscowości błotnistej nad Skurczą, między Wisłą i lasem Białoleńskim a niedużemi wzgórzami, jakby w rodzaju wąwozu, przywitali ukazującą się szwedzką awangardę salwami armatniami i wypuścili na nią garść jazdy. Król nadbiegł i zmusił kawalerję polską do cofnięcia się. Wszakże sytuacja sprzymierzonych nie była wygodną. Zatrzymano się o parę tysięcy kroków od szanów polskich i złożono radę wojenną. Z oddali slychać było głuchy łoskot przeprawiającego się po pływającym moście na Pragę wojska koronnego; nieinaczej, jutro już będzie się miało przed sobą wszystkie siły nieprzyjacielskie. Rzeczą było zbyt hazardowną zdobywać szance polskie, ile że las przylegający do nich z lewej strony pozwalał na uderzenie z flanku i z tyłu w wojska sprzymierzone, na ciasnym słoczone terenie. Byli nawet tacy, którzy odwrót doradzali. Ale cofnąć się, znaczyło narazić na szwank najważniejsze polityczne interesy; zwłaszcza dla kurfirsza mógłby ów krok mieć rezultaty fatalne; zaś Karol Gustaw nie był człowiekiem pochopnym do cofania się nawet przed nieprzewycięzoną zaporą. Tedy na razie wojennej postanowiono bądź co bądź iść naprzód i szturm do szanów przypuścić nazajutrz rano.

Postanowienie uległo zmianie wskutek rekonesansu, dokonanego przez kurfirsza. Okazało się, iż obejścia, którego obawiano się ze strony polskiej, mogły dokonać same wojska sprzymierzone. Podczas gdy król atakował front wojsk polskich, przemykał się kurfirszt lasami Białoleki, obchodząc szance polskie. Gdy znalazł się na prawym flanku walczących, zajął stanowisko na odkrytem wzgórzu i ustawił tam baterję. O południu manewr był dokonany. Ale rezultat nie odpowiedział oczekiwaniom. Ogień szanów polskich prażył niemiłosiernie walczącego na froncie króla szwedzkiego a ogromne masy jazdy polskiej, wzmożone chmarą tatarów, kruszyły srodze brandenbur-

czyków, zaledwie mogących utrzymać się na zajętej pozycji. Wówczas to Karol Gustaw powziął plan genjalny, ale i szalony. Umyślił zmienić, nie zaprzestając walki, pod okiem nieprzyjaciela cały swój szyk bojowy. Chodziło o przesunięcie całej sprzymierzonych linii bojowej, aby znalazła się nie przed frontem szanów polskich, ale na ich prawem skrzydle. Manewr mógł być wykonany jedynie pod warunkiem, że podczas gdy król przesuwac będzie wojska swoje, kurfirszt na pozycji swojej — wytrzyma, to jest wytrzyma cały napór sił polskich, które oczywiście zwrócą się natychmiast na niego. Kurfirszt wytrzymał; król szwedzki mógł wykonać przemieszczenie linii bojowej; waleczność młodej armii brandenburskiej umożliwiła dokonanie w trakcie bitwy, manewru, który losy walki rozstrzygnął.

O czwartej po południu front bojowy sprzymierzonych rozciągał się już nie z zachodu na wschód ale z północy na południe, obrócony ku Warszawie. Rzuciła się polska husarja, przełamała pierwsze szeregi szwedzkie, ale druga linja odparła ją, a piechota zmusiła do cofnięcia się. Nie lepiej powiodło się polskim źle wyćwiczonym regimentom wobec brandenburszyków, oraz Tatarom, których sam król szwedzki, narażając się jak prosty żołnierz, precz odgonił. Po raz drugi zapadła noc. Walka nie była rozstrzygniętą. Nazajutrz o czwartej bój zawrzał na nowo. Polacy dzwignęli szereg silnych szanów na wzgórzach przed lasem, zasłaniającym Pragę; sam las zarębali i rowami pocięli. Las ów należało przedewszystkiem zdobyć. To też o brzasku dnia 30 lipca artylerja jęła las ów ostrzeliwać przez dobrą godzinę a w ślad za tem rzuciła się nań brandenburska piechota. Polacy nie wyzyskali obronności swej pozycji; spodziewanego oporu nie stawili. O ósmej szturmujący opanowali las, a stojące za nim regimenty polskie jęły cofać się bez walki. A że kurfirszt tymczasem zajął był wzgórze na północ od lasu, zwycięstwo sprzymierzonych było

zapewnione. W pełnej rozsypce jęło spuszczać się wojsko polskie ze wzgórz ku rzece, ku mostowi na Wiśle, aby co rychlej dostać się do Warszawy.

Piechotę, osłaniającą przeprowiające się wojska, naparł silnie Sparr, zamierzając w pień ją wyciąć. Piechota widząc, iż odcięta zostanie i wyginie doszczętnie, miała złożyć broń, gdy nadbiegł fałzgraf Adolf Jan i—powstrzymał całą akcję Sparra, aby rzekomo nie doprowadzać Polaków „do desperacji“, w gruncie zaś rzeczy, aby brandenburczycy, któremi Sparr dowodził, nie mogli pochlebić się, iż wzięli do niewoli najlepszych polskich żołnierzy. Tedy piechota polska uszła przez most ku Warszawie, paląc most za sobą. Wojska polskie zostały zwyciężone ale nie zniesione i po rozsypce skupiły się znów niebawem dzięki poważniejszej liczbie kawalerji. Sprzymierzeni odprawili uroczysty wjazd do Warszawy uazajutrz, 31 lipca.

„Pod Warszawą — zamyka Prutz swój opis—zwycięstwo odniosła narodowość germańska nad słowiańską, zwyciężyli Niemcy Polaków. Tak, Niemcy, albowiem do germańskiego szczepu należą i Szwedzi; Niemcem był król szwedzki; niemieckich książąt potomkowie walczyli pod jego sztandarem; rdzeń wojska jego stanowili niemieccy żołdacy. Pod Warszawą pomszczony został Grunwald. Za Tannenberg — trzydniowa bitwa pod Warszawą i zajęcie stolicy polskiej. Rozrastaniu się Polski kosztem Niemiec kres położono, wschód niemiecki zabezpieczony został od polskiej kolonizacji, a Niemcy odzyskały przynależny im (!) wpływ na kształtowanie się rzeczy i spraw w dzielnicach nadbałtyckich.“

Niezawodnie, wygrana za sprawą wojsk Kurfirszta, bitwa pod Warszawą miała doniosłe historyczne znaczenie, ale tylko jako epizod wojny szwedzko-polskiej 1656 r., która do gruntu wstrząsnęła posadami Rzeczypospolitej. Samo zdobycie powtórne Warszawy—przyznają to otwarci historycy niemieccy—nie miało bezpośredniej doniosłości i nie wydało oczeki-

wanych rezultatów. Nietylko raz jeszcze potrafiła Polska opór stawić Szwedom, ale już w listopadzie tegoż roku rządziła znów u siebie, a król polski witany owacyjnie wjeżdżał do Gdańska. Karol Gustaw, sam w opałach, mało mógł interesom brandenburskim dopomóc. Na oziębłość tę, gorzko skarżył się Kurfirszt zaklinając się, we właściwym ówczesnych nadzprejskich wersalczyków żargonie, że „nigdy już więcej nie będzie wspomagać go z taką gorliwością“ (*mit solcher Alakrität assistieren*). Ale trzymał się wciąż jeszcze Szweada. Jan Kazimierz zapowiedział, że za nic w świecie nie dopuści do niepodległości Prus, a Karol Gustaw w końcu listopada w Lebiau, z całą pewnością siebie potwierdził zwierzchnictwo niezależne kurfirszt nad Prusami, dodał mu nawet Warmję! Kurfirszt przyjął z wdzięcznością nową—obietankę. Zgodził się nawet odstąpić od zamiaru rozdzielenia Polski i od kandydatury na jej tron. A czyniąc to, uśmiechał się półgębkiem w stronę Warszawy, uważając owo wyrzeczenie się za uprzejmą względem Polski koncesję, która... kto wie, przydać się może. Kurfirszt przez życie swoje całe uważał zawsze, iż dwie sroki więcej znaczą niż jedna sroka i z zasady i upodobania trzymał za ogon—obie.

Jedna z nich, szwedzka, wydawała mu się atoli coraz to mniej godną zabiegów i bratania się. Króla szwedzkiego gwiazda gasła. Cesarz zawarł przymierze z Polską, jawnie przeciw Szwecji skierowane. Pchnął też kurfirszt posła do Warszawy, badać grunt tamtejszy. Tymczasem Szwedom obiecanych posiłków nie dawał, a wieści z Warszawy czekał.

Zamiast upragnionych a dobrych wieści, ukazały się wcale nie upragnione i bardzo nieprzyjaźnie usposobione wojska polskie w granicach Prus. Król Jan Kazimierz opuściwszy Gdańsk, ciągnął, buszując po drodze przez Prusy do Wielkopolski, tłuc osłabionego Szweada. Ba, nie była wcale wykluczoną możliwość wkroczenia wojsk polskich do Brandenburgji jako

w kraj nieprzyjacielski, z Karolem Gustawem sprzymierzony. Z Berlina przewieziono następcę tronu, drogocенności wszelkie, skarb i archiwum do Spandau. Przewidywano pojawienie się Jana Kazimierza pod murami Berlina! Kurfirszt *volens volens*, gdy mu król polski zamknął usta gotowe do układów, musiał za broń chwycić, ryzykując się znów na politykę zaborczą, otwarcie grożąc Polsce—rozcłónkowaniem. Brnął dalej w matnię obłudy i kłamstwa, zdradzań i dwulicowości, polityki najfatalniejszej, bo nie budzącej w przyjacielu zaufania, a szacunku we wrogach.

Z matni tej miał wybawić kurfirszt i na szeroki gościniec wyprowadzić—cesarz niemiecki. Pośrednik jego Lisola przybył do Królewca, pełnomocny zarazem do układania się w imieniu króla polskiego. Nastąpiło pojednanie się z Polską i otrzymanie z jej ręki tego, o co kurfirszt tak gorąco zabiegał. Polska wyczerpana wojną, pragnąca odzyskaną przewagę ugruntować, dbała o dobry stosunek z cesarzem—pośrednikiem, oglądająca się jeszcze z tajemną trwogą na Szweda—oddała kurfirsztowi brandenburskiemu Prusy. We wrześniu 1657 r. nastąpiło zawieszenie wojennych kroków między Brandenburgją a Polską i w ślad za tem podpisanym został traktat w Welawie (Wehlau). Kurfirszt zwracał wszystkie zdobyte warownie i ziemie, zwracał Warmję, odstępował od praw przyznanych przez króla szwedzkiego do czterech polskich województw, a otrzymał w zamian dziedziczne niepodzielne zwierzchnictwo (*Souveränität*) nad Prusami—*jure supremi dominii cum summa atque absoluta potestate*—w granicach, w których je jako wasal dotychczas posiadał. Po wygaśnięciu męskich potomków kurfirszt, miały Prusy wrócić do Polski i przeto, na tę ewentualność stany pruskie dodatkową, na ów wypadek, miały przysięgę składać kolejnym królom polskim. Rzeczpospolita wypłacić nadto zobowiązała się 120 tysięcy talarów odszkodowania, a kurfirszt miał 1500 jazdy dawać Polsce jako pomoc w każdej przyszłej wojnie.

Z kurfirsztmem Brandenburgskim, suwerenem Pruskim, wstępowała jednocześnie Rzeczpospolita w zaczepno-odporny wieczysty aljans. W Bydgoszczy 6 listopada nastąpiła ratyfikacja traktatu.

Cel Hohenzollerna był osiągnięty.

Nowy aljant miał natychmiast sposobność okazania, jak gorliwie spełnia warunki sojuszu z Polską i jak radykalnie z przyjaźni szwedzkiej wyleczony. Podczas gdy Karol Gustaw jeszcze się uwijał u granic Polski, szarpnęła Szwecję Danja. Pożądaną tę dywersję poparła Polska, śląc na widownię nowej wojny Czarneckiego i nowy jej aljant natychmiast też rajtarcję swoją tam przerzucił. I oto bodaj po raz pierwszy i ostatni w dziejach, walczyli wspólnie ramię przy ramieniu, tam, przeciw Szwedom w Danji—Polacy i Niemcy brandenburgscy, przyszli prusacy.

Po tem zcementowaniu aljansu, paragrafy pokoju podpisanego w Oliwie 3 maja 1670 roku potwierdziły wszystko, co ułożonem, przyznanem, danem i zwróconem zostało w Welawie i Bydgoszczy. Raz jeszcze uroczyście i po wieczne czasy Polska konferowała brandenburgskiemu Hohenzollernowi władzę suwerena nad byłym państwem Krzyżackiem, nad Prusami, tracąc je na zawsze. Mocarstwo Brandenburgsko-Pruskie stało się północnem ogniwem europejskiego systemu państwowego.

V.

Kłopoty z objęciem zwierzchniczych rządów w Prusach. — Burzenie się i rokosz stanów. — Sprawa Rohdego i Kalksteina. — Uspokojenie malkontentów. — Wzrost Prus. — Zabiegi o koronę dla Hohenzollerna uwiecznione upragnionym skutkiem. — Prusy Królestwem. — Fryderyk II. — Jego plan podziału Polski łączący się ściśle z takimiż planami, powziętymi jeszcze przez Wielkiego Kurfirsztę. — Pierwszy rozdział Polski. — Wzrost terytorjalny Prus.

Był to układ zawarty, rzecz można, między Wazami i Hohenzollernami. Hohenzollernowie prowadzili osobiście politykę zmierzającą do opanowania Prus; Wazowie, dla osobistych pretensji do tronu szwedzkiego poświęcili jedną z najpiękniejszych prowincji, którą, zamiast wcielić do Polski, wydali na fundament przyszłej potęgi straszego sąsiada. Jakże przyjęły ów stworzony w Oliwie nowy stan rzeczy stany pruskie, bezpośrednio w nim zainteresowane? Podobnie jak przed tem sejm polski, tak teraz stany pruskie gorąco zaprotestowały przeciwko zmianie zwierzchniej władzy. Kurfirszt był dla nich uosobieniem bezwzględności, żelaznej woli, zdzierstwa, samowoli, ha, tyranji... a utracenie przynależności do Rzeczypospolitej znaczyło w ich mniemaniu utracenie przez szlachtę i mieszczaństwo swobód, przywilejów, wolności osobistej dotychczas posiadanych, z któremi żyła się cała i polska i niemiecka ludność Prus.

Nastąpił cały okres burzenia się przeciwko nowemu panu mieszczaństwa i szlachty polskiej. Doszło nawet do, na małą skalę, rewolucji, którą wypadło kurfirsztowi energicznie i ostro uśmierzać. Mieszczaństwo i kupiectwo podniosło wielki okrzyk, iż „Polska sprzedała ich kurfirsztowi, jak jabłka i gruszki.“ Szlachta miała prawo piastować urzędy na przemian lub do wyboru w Prusach i Koronie, i zaliczaną bywała raz do niemieckiej, to znowu do polskiej narodowości; przeciwko polskim wyrokom apelowano do polskich trybunałów; „malkontentom“ dodawał otuchy kodycył traktatu Oliwskiego zastrzegający, iż po wygaśnięciu

Hohenzollernów Prusy wróca do Polski; a czy traktat ów nie może być zerwanym przez którego z przyszłych królów polskich? Wrzenie było tak powszechne, iż wzywano bodaj garść wojska polskiego, a kraj cały zrzuci z siebie zwierzchnictwo kurfirszt. Inni odmawiali traktatowi prawomocności, bowiem zawarty został bez zasięgnięcia opinii stanów pruskich; duchowieństwo dalej kontynuowało modlić się za króla polskiego jako suwerena; biskupowi Warmińskiemu ofiarowywała opozycja 100 tysięcy talarów, jeśli króla polskiego skłoni do cofnięcia układu z kurfirszt; mieszczaństwo wzbraniało się wypłacać zwiększone podatki do brandenburgskiego skarbu, wołając, iż kurfirszt puści ich o kiju zebraczym, aby potem tem łatwiej niewolników z mieszczan uczynić. Burzył się też i uniwersytet.

Kurfirszt, zajęty pilnemi i doniosłemi sprawami nad Renem, nie mógł osobiscie stawić czoła pruskiej burzy. Powierzył przedstawicielstwo rządu namiestnikowi swemu Schwerinowi. Ten paktował z malkontentami, tłumaczył im „jakknajlepsze“ zamiary kurfirszt, posuwał się, w porozumieniu z Fryderykiem Wilhelmem, nawet do zapewnienia, że jeśliby kurfirszt, nie zmieniając religji, królem został polskim, najpełniejszy samorząd da Prusom.... Bo kurfirszt marzyć nie przestawał o koronie polskiej; z Królewca wydawała się tak bliską....

Łagodność i względność Szwerina nie zdołały uspokoić coraz to burzliwszych żywiołów. Na czele mieszczańskiej opozycji stał królewiecki „Schöffmeister“ t. j. wysoki urzędnik miejski, powołany do zbierania głosów *in negotiis publicis* i wnoszenia ich przed Radę na ratuszu. Nazywał się Hieronim Rohde a indygenat polski otrzymał jako pochodzący ze szlacheckiej rodziny Rothenstein-Roth'ów. Opozycją szlachecką przewodził najpierw generał-lejtenant Albert von Kalkstein, a następnie syn onego Krystjan Ludwik, obersztlejtant. Obie frakcje w nieustannem były

znośzeniu się z dworem polskim, a ślani do Warszawy posłowie kurfirsztą, temu jedynie zabiegali, aby dwór wszelkich petycyj pruskich przynajmniej nie traktował jako oficjalną enuncjację. Jakoż dwór polski, wiedząc najdokładniej o wszystkim, co się działo w Prusach, ani razu nie naruszył wmięszaniem się swoim w sprawy tamtejsze świeżo zawartych traktatów.

Walka rady miejskiej królewieckiej ze Schwerinem, następnie z przybyłym do stolicy Prus kurfirsztą, zarówno jak wędrowni Kalksteina do Warszawy i jego tam zabiegi — żadnego nie znalazły ze strony Polski poparcia. Na wezwanie kurfirsztą przestał nawet król polski przyjmować gęsto sypiące się na stopnie jego tronu pruskie skargi i wołania o pomoc. Nadaremnie też zwracano się do słynnego Czarneckiego, błagając o przysłanie do Królewca bodaj trzystu polskich żołnierzy. Dwa słowa ręką króla polskiego skreślone i trzysta polskich szabel wróci Polsce Prusy! — wołano. Królewskie pióro nie drgnęło, ani jedna nie błysła polska szabla na ulicach Królewca. Przybył zaś tam nareszcie kurfirszt, pan i władca. Natychmiast trzy tysiące szabel i rusznic szcęknęło na dziedzińcu zamku rezydencjonalnego, a z murów cytadeli armaty skierowały wyloty swe ku ratuszowi, gdzie obradowała, burząc się, Rada miejska. Bunt został uśmierzony. Rohde, porwany z domu przez żołnierzy kurfirsztą, stawiony przed sąd, przyznał się otwarciu do przewodzenia całej opozycji mieszczańskiej, ale też i trwał przy swoim, że spełniał tylko powinność swoją, jako świadom praw swoich obywatel królewiecki i pruski. Sędziowie nie znaleźli w kodeksie paragrafu przewidującego przewinienia, o które Rohdego oskarżano i wyroku nie wydali żadnego. Ale kurfirszt zaciął się. Rohde został uwięziony i do końca życia nie wyszedł już z więziennych podziemi, gdzie umarł w r. 1678. Stany poddały się i hołdowniczą przysięgę złożyły kurfirsztowi. W końcu października 1663 r. mógł

już on pisać do Schwerina: „W Królewcu wszystko uspokojone i każdy zadowolony.“ Pozostawało tylko ukarać wróconego z Polski Kalksteina. Uwięziono go, stawiono przed sądem i, podobnie jak Rohdemu, sędziowie nie zdołali dowieść winy zdrady stanu i skazano go tylko na więzienie i znaczną karę pieniężną. Kalkstein umknął z twierdzy do Warszawy. Tam właśnie objął był tron Michał Wiśniowiecki, nie cierpiący Niemców, noszący się z myślą zerwania traktatów Bydgoskiego i Oliwskiego. Kalkstein, ambitny i lubiący pozować na bohatera szerokiej roli, jął agitować silnie i mogło się zdawać, iż przyczynił się do naprężenia stosunków między Polską a kurfirsztmem. Naprężenie to wychodziło atoli od tronu i stronnictw kilku w kraju, nie zaś dziełem było pojedynczej osobistości. Ale na nią zwróciła się cała zaciekłość władcy Prus. Z bezprzykładną śmiałością zjawiają się brandenburgscy dragoni w Warszawie, w biały dzień porywają tam Kalksteina i uwożą do Memla.

Straszny podniósł się okrzyk w Polsce całej, ale aż do uczynienia ze sprawy pruskiego obersztlejtenanta *casus belli* nie przyszło. Kurfirszt umył ręce i zostawiono go w spokoju. Kalkstein poszedł do więzienia, gdzie się z nim w sposób nieludzki obchodzono. Fryderyk Wilhelm kazał go wziąć na tortury, aby domniemany herszt polonofilskiego stronnictwa w Prusach wyśpiewał imiona współników. Kalksteinowi wyrwało się jedno tylko nazwisko, hrabiego Schliebena, przebywającego za granicami Prus. Kurfirszt był wściekły; komissji sądzącej Kalksteina kazał go skazać na śmierć. Sędziowie podpisali żądany wyrok i 8 listopada 1672 r. w Memlu, Kalkstein ścięty został, ponosząc śmierć z podniesionem czołem, spokojny i wyniosły.

Dura lex... Nowy władca Prus opornych mu Rohdego i Kalksteina nie osądził, nie ukarał, ale z pełną bezwzględnością — zabił. Dla ukrócenia fermentu anarchicznego w kraju, dla wywarcia skutecznego wrażenia, dla ugruntowania na przyszłość władzy swo-

jej. W ten sposób nie postąpił żaden król polski ani w XVII ani w XIII wieku. Nie roztrząsajmy, który z nich nie chciał w ten sposób postąpić; dość będzie przypomnieć, że żaden z nich tak postąpić nie mógł. Kurfirszt z jednej strony, a Rohde i Kalkstein z drugiej, to ścierające się ze sobą dwa społeczne i państwowe systematy, dwie ideje: tradycyjna i nowoczesna, dwa światy. Zwycięzał nowy porządek rzeczy, który, przyznać to trzeba, stworzył z Brandenburgji i Prus Krzyżackich dzisiejsze potężne Prusy....

Podczas, gdy rycerski nasz Król Jan z Turkami wojował — pod Wiedniem, a potem Sasowie nasi królewscy wespół z całym narodem popuszczali pasa, podczas gdy stronnicy Augusta uganiaли się po spustoszonej ojczyźnie za stronnikami Leszczyńskiego, a ci znowu tropili stronników Augusta, podczas gdy potem król Stanisław-August przesłicznie zabawiał się w Łazienkach wśród pięknych dworskich dam i dowcipnych prałatów—mały ale ambitny syn Wielkiego Kurfirszta koronę pruską kładł sobie na czoło w Królewcu (18 stycznia 1701 roku) a potem król Fryderyk Wilhelm I tworzył wojsko pruskie dla genialnego następcy swego Fryderyka II.

Jak wzrastały i potężniały Brandenburgja i Prusy pod rządami Wielkiego Kurfirszta, jak stworzone z nich w 1701 r. Królestwo Pruskie rozwijało się, krzepło, organizowało się państwowo—należałoby doprawdy wprost studjować tym, którzy sądzą, iż znają historję wznoszenia się i upadku państw, umiając wyliczyć szereg nie wiążących się w umyśle ich faktów. Nie peregrynujemy w chwili obecnej po kartkach dziejów Prus, jeno po wschodnim dziejów tych skrawku, gdzie stykały się ze sobą w ciągu tylu stuleci interesy narodowościowe i państwowe niemieckie i polskie. Tedy zaznaczyć tylko możemy, że, przyjęty za zgodą cesarza Niemiec tytuł króla Pruskiego przez Kurfirszta Fryderyka III (jako król pruski: Fryderyk I), nie był pustym i czczym tytułem.

Sprawa wyniesienia kurfirsztą brandenburgskiego do godności królewskiej poruszoną już została w 1678 roku. Ale wówczas ani słuchać o tem w Wiedniu nie chciano, a kanclerz cesarski baron Hoher wyraził się bez ogródek: „Jego Cesarskiej Mości nie podoba się, aby nad Bałtykiem powstać miał nowy król Wandalów.“ Mylił się kanclerz; nad Bałtykiem Wandalów już nie było. Brandenburgja i Prusy razem wzięte (dziedzictwo Hohenzollernów znowu wzrosło w ciągu stu lat ostatnich, z 1472 mil kw. obszaru do 2013 mil kw.) już stanowiły przeciwwagę dla Austrii w Europie, bez względu na to, jaki miał tytuł ten, co rządy nad niemi sprawował. Niezawodnie ku koronie królewskiej pchała syna Wielkiego Kurfirsztą ambicja. Zapatrzony w Wersal, jakże tamtejsze miał pozy przybierać bez królewskiego płaszcza na ramionach? A tu jeszcze trzebaż akurat właśnie do godności kurfirsztów wyniesieni zostali władcy Bawarji i Hanoweru, już marzący o koronie królewskiej, trzebaż akurat, odwieczny rywal Brandenburgji, kurfirszt saski August zwany Mocnym, koronowanym został na króla polskiego. Co prawda, zmienić religję musiał, ale Hohenzollernowie zaliż nie ciężkie ofiary składali na ołtarzu—cesarzów niemieckich, Habsburgów, którzy oto nawet przyzwolenia teraz dać nie chcą na wyniesienie Prus do stanowiska królestwa. Wysługiwali się Hohenzollernowie Habsburgom... wysługiwali... Ostatnio oto, młody kurfirszt życie narażał i krew przelewał brandenburczyków dla sprawy państwa Habsburgów, walcząc przeciw Ludwikowi XIV, dobywając bronionego zacięcie przez Francuzów miasta Bonu nad Renem! O! wdzięczności nie spodziewać się po Habsburgach. Toć przecie sam Ludwik XIV zdecydował się nareszcie nazwać w którymś liście Wielkiego Kurfirsztą „*mon frère*“, a Leopold I, Habsburg niewdzięczny, niedopuszcza i niedopuszcza korony na głowę Hohenzollerna! Austrija już wówczas, na kilkadziesiąt lat przed pojawieniem się Fryderyka II bała się wzrostu i potę-

gi Brandenburgji. Przyznanie jej tytułu królestwa podnosiło bądźco bądź splendor groźnej współzawodniczki. Książę Eugenjusz Sabaudzki, jedyne ówczesny austriacki mąż stanu, nie bez racji zawołał, gdy Leopold I przystał na koronację Hohenzollerna, że ministrów, którzy cesarza do kroku tego popchnęli należałoby—powywieszać!

Rzecz charakterystyczna, iż trzech najgorętsi zwolennicy planów kurfirsza Fryderyka, którzy najdzielniej przyczynili się do osiągnięcia przezeń korony królewskiej, byli wysokimi dostojnikami kościoła, a jeden z nich był—Polakiem. W Rzymie, w Warszawie i w Wiedniu torowali zapobiegliwie drogę Fryderykowi do korony: były spowiednik króla Sobieskiego, zręczny dyplomata, włoski *pater Vota*, mający wielkie zachowanie u wiedeńskiego dworu jezuita Wolff, oraz biskup warszawski Załuski, który wyjednał dla starań Hohenzollerna pomoc papieża Inocentego XII. Wszyscy trzech współpracownicy w dziele ukrólestwienia Prus mieli co prawda nadzieję, że, w zamian za wykołatą dla Hohenzollerna koronę, uda się im przyszłego króla Pruskiego i państwo jego powrócić — katolicyzmowi. Nadzieje te i plany zawiodły. Ale Fryderyk został królem i koronował się w Królewcu. Dlaczego nie królem Brandenburgskim, koronowanym w Berlinie? Dlatego, że w 1701 r. kurfirszt Brandenburgski był suwerenem, t. j. niezależnym władcą tylko—w Prusach. Ze stanowiska tedy zajmowanego w Prusach mógł bezpośrednio na dostojenstwo królewskie awansować. Tak owa ziemia Konrada Mazowieckiego, następnie Krzyżacka, podobnie jak fundamentem stała się potęgi Prus, tak też i tytuł im dała królewski....

Siły i środki trzeciego z rządu króla pruskiego, Fryderyka II, były już tej miary, iż wydało mu się rzeczą możliwą i wskazaną jąć kształtować równowagę państwową europejską na korzyść Prus, nie zaś przystosowywać biernie stanowisko Prus do panujących w Europie stosunków międzypaństwowych. Roz-

począł od załatwienia rachunków z Habsburgami. Za wysługiwanie się im przodków swoich sam teraz wziął hojną zapłatę: Szląsk. Pobita, upokorzona Austria traktować zmuszoną była z Hohenzollernem jak równy z równym, ba, jak dostojny ale bezsilny dziedzic z tyranizującym go gburzem-perwenjuszem, poczynającym sobie bardzo bezceremonjalnie w cesarsko-germańsko-rzymskiem państwie. Ale tam na północy, w Berlinie, siła jeła już wyraźnie wylaniać się z po za prawa, zasłaniając je nawet sobą. Habsburgowie mieli tradycje i prawa; Hohenzollern miał genjusz i siłę.

Dziesięć lat pokoju, między wojnami, dziesięć lat „światłego despotyzmu“ jak okres panowania Fryderyka II między 1745 a 1755 r. nazywają sami historycy niemieccy, ugruntowały sławę Fryderyka jako organizatora i administratora państwowego. Zwycięstwa później odnoszone dodały już sławie tej tylko blask specyficzny, wrażający się bardziej w pamięć ludzką niż dokonane dzieła, które zwycięstwa te umożliwiły. Dobrobyt ludności, wynoszącej mało co po nad 4 miliony głów, wzrastał szybko, a pomimo świeżo ukończonej wojny o Szląsk, w skarbie państwa leżało 20 milionów talarów gotowych w każdej chwili do uruchomienia. Piątą część dochodów pochłaniała armja. „Najpewniejszą gwarancję bezpieczeństwa dla państwa mojego daje mi dobre wojsko“ — mawiał Fryderyk II — i maksymę tę przyszłym władcom i rządcom Prus legował. W roku 1756 już miał pod bronią 150 tysięcy znakomicie wyćwiczonego, uzbrojonego i zahartowanego żołnierza. Jak siłami temi, względnie do liczby przeciwników szczupłemi, operował król Pruski w ciągu siedmiu lat nieustannych wojen, jak podjąwszy imprezę, zda się przerastającą siły młodego jeszcze państwa, o mały włos, że niezaprzepaścił Prus, w jakich bywał opałach i jak z nich zwycięsko wychodził. zapisano nietylko w historii Prus, ale w historii tak zwanej „powszechnej“. Król pruski, w połowie XVIII wieku wszechświatową grał już rolę.

Wszechświatowego też znaczenia wypadkiem był zainicjowany przez Fryderyka II podział Polski. Jaką zeń korzyść odniosły Prusy—zaznaczać chyba zbytecznym. Oprócz ogromnego powiększenia obszaru państwa, dał podział Polski Fryderykowi terytorjalną łączność Prus z Brandenburgją przedzielonych polskimi, zachodnimi województwami. Myśl położenia kresu istnieniu Polski i zagarnięcia wspólnie z sąsiednimi państwami ziem Rzeczypospolitej nie była wymysłem Fryderyka II. Natknęliśmy się na nią już w 1656 r. Stała ona przed oczyma Wielkiego Kurfirszta i króla szwedzkiego, zawierających traktat w Malborgu. Potem, nawet po zażegnaniu niebezpieczeństwa szwedzkiego, w 1661 r., sam król Jan Kazimierz wskazywał na możliwość nastania dla Rzeczypospolitej tak fatalnej chwili, wypowiadając otwarcie, że gdy rozprzężenie w kraju dalej trwać będzie, wystarczy Rosji wyciągnąć tylko rękę po Litwę, a Brandenburgji po Wielkopolskę, pozwalając jednocześnie Austrii zająć Kraków. Istotnie, nie wiele brakło do sprawdzenia się przepowiedni Jana Kazimierza, już w pierwszych latach XVIII wieku, kiedy Sasi, Szwedzi, Rosjanie, Brandenburczycy gospodarzyli w Polsce jak we własnym kraju, jątrząc niezliczone szlachty stronnictwa, ci w imię Augusta, ci w imię Leszczyńskiego. Bez wielkiej śmiałości twierdzić można, iż podział Polski byłby już wówczas został dokonany, gdyby świeżo koronowany król pruski Fryderyk I, nie był z całą swą militarną siłą zajęty właśnie w wojnie o następstwo hiszpańskie. Popierając nad Renem interesy Habsburgów, opuścił własne, najżywotniejsze interesy nad Wisłą. Przewlekało się... Plany dziada i ojca, dojrzewały tymczasem w umyśle następcy tronu, późniejszego Fryderyka II, który już w roku 1731 publicznie mówił o podziale Polski, jako o rzeczy wartej najgorliwszych zabiegów. Gdy przeto w trzydzieści trzy lata potem, po śmierci Augusta III, zaważował elekcyjny tron Pol-

ski, nawiązał tylko Fryderyk nie tradycyjnych planów pruskich i—rozpoczął odpowiednią akcję.

Akcja ta możliwą była do przeprowadzenia jedynie wspólnie i w porozumieniu z Rosją. Rozpoczął też Fryderyk od zawiązania jaknajprzyjaźniejszych z nią stosunków. Jawnem dłań było, że Rosja ze swej strony bez przykrości patrzeć będzie na rozpadającą się Polskę i niezawodnie moment ów zechce na korzyść swą wyzyskać. Rosja też najskuteczniej jest w stanie przyspieszyć katastrofę. Więc wszelką należy jej zostawić swobodę w kierowaniu losami Rzeczypospolitej. Za pozostawienie tej pełnej swobody cesarzowej Katarzynie—nagroda potem się znajdzie, gdy dojrzałe jabłka spadać będą z drzewa. To też na dokonywany obiór Poniatowskiego patrzył Fryderyk z nietajonem ukontentowaniem. Tak właśnie, wszystko doskonale się rozwija. Szczęśliwie dało się zażegnać osadzenie na tronie polskim jakiego austriackiego arcyksięcia lub pupila Francji. Słabego warszawskiego monarchę ma w rękę Rosja, potężna Rosja. *Die Jurisprudenz der Monarchen ist das Recht des Stärkeren*—pisał Fryderyk II do Marji Teresy— a gdy słaby mądrym jest, daje pokój walce, w której musi być zwyciężonym.“

Zaś aby stanowisko Rosji w sprawach polskich jeszcze bardziej wzmocnić, w czasie bezkrólewia polskiego formalny z nią zawarł traktat. Osią onego było wspólne zobowiązanie się do podtrzymywania elekcyjności tronu polskiego, bowiem ta właśnie elekcyjność nieda nigdy wzmocnić się Rzeczypospolitej. Pod opiekuńczym wzrokiem zaprzyjaźnionych ze sobą Prus i Rosji zasiadł na tronie Piastów i Jagiellonów—Stanisław August. Pierwsze kroki nowego monarchy obudziły nad Newą i Szpreją niemiłe zdziwienie. Poczytał sobie wcale nie tak jak się spodziewano; wrywał się z pod kurateli. Rosja i Prusy instynktownie jeszcze bardziej zbliżyły się do siebie, czując, iż więcej wypadnie rzucić w sprawy polskie sił zjednoczonych,

niż przewidywano. Wzrastająca przyjaźń obu państw obudziła teraz niespokojną czujność Austrii. Zrozumiano w Wiedniu przyjaźni tej motywy i postanowiono z planu osnutego przez Rosję i Prusy skorzystać. Czyżby nie dało się nawet poprzeć zagarnięcie przez Fryderyka Wielkopolski, a w zamian uzyskać wrócenie Austrii Szląska? W tym duchu rozpoczęto porozumiewanie się z królem pruskim, a ten pewien już, jeżeli nie poparcia, to neutralności Austrii, zdecydował się na krok dawno przygotowywany.

Dnia 2 lutego 1769 r. sam własnoręcznie cały plan podziału Polski skreślił w rodzaju memorjału i memorjałów, przez szczególnego wysłannika, Solms'a posłał do Petersburga dla zakomunikowania go Paninowi. Memorjał ów wychodził z założenia, że prowadząca właśnie wojnę z Turcją Rosja, potrzebuje poparcia Prus i Austrii. W zamian za to poparcie żądał Fryderyk zgodzenia się Rosji na rozdział Polski, dokonany zbrojnym wkroczeniem w jej granice Prus i Rosji. Jako zwrot kosztów wojennych otrzymałyby Prusy Wielkopolskę, Austrija w zamian za pomoc daną Rosji w Turcji otrzymałaby starostwo Spiskie, oraz Lwów z całą Lwowską dzielnicą, zaś Rosja sama wydzieliła by sobie odpowiednią ilość wschodnich ziem polskich. Memorjał rzeczony kazał król pruski podać za wypracowanie... hrabiego Lynara, wręczone mu w Berlinie jako projekt rozwiązania spornych kwestji politycznych aktualnych. Panin, naturalnie, nie wątpił ani chwili, że otrzymany przezeń memorjał nie niema wspólnego z hrabią Lynarem i że jest osobistem dziełem króla pruskiego. Niemniej przeto nie zaimponował mu ten autorytet. Powodziło się właśnie orężowi rosyjskiemu w wojnie z Turcją; Panin uważał przeto, iż proponowane przez Fryderyka tak znaczne rozszerzenie się terytorjum Austrii nie przeciwważy jej pomocy, całkowicie Rosji niepotrzebnej. Rosja, mniemał, da sobie radę z Turcją bez drogo okupionego wdarcia się w tę

sprawę Prus i Austrii. I plan króla pruskiego odłożył *ad acta*.

Ale w Wiedniu potężnienie Rosji budziło coraz to dokuczliwszy niepokój. Zapobiedz temu rozrastaniu się w siłę i znaczenie możliwem było jedynie odrywając Prusy od sojuszu z Rosją. Zajęto się tam w Wiedniu tak gorliwie, że aż wszelkie nawet znośne stosunki z Rosją nadwerężano. Po nitce do kłębka przybrano tak wyzywającą postawę, iż zdawało się nieuniknioną wojna Austrii z Rosją — o króla pruskiego. On sam też znalazł się w sytuacji krytycznej. Stanać po stronie Rosji, czyniąc zadość zawartym z nią traktatom? To znaczy własną rękę przyłożyć do jeszcze większego wzmocnienia się i tak już niepokojąco silnej Rosji. Czy też połączyć się przeciwko niej z Austrią? Tak lub owak: wojna, długa, uciążliwa wojna, która rozwichrzyć może w łatwy sposób całą Europę.

Z sytuacji tej powikłanej wybawiła Prusy, Rosję, Europę—Austrija. Parta przez żądę powiększenia terytorjów cesarskich swoich, zajęła nagle podtatrzańskie starostwo Spiskie, podnosząc pretensje doń Węgiery, aczkolwiek jeszcze w XVI wieku Habsburgowie najformalniej byli ziemię tę ustąpili Polsce. Natychmiast pośpieszył król pruski zająć okrąg Elbląski. Austrija zajęła Nowy Targ i Czorsztyń. Fryderyk posunął wojska swoje okupacyjne aż pod Marienwerder.

Projekt Fryderyka II urzeczywistniła najniespodziewaniej Austrija. Dzielenie Polski bez żadnych porozumień się, faktycznie rozpoczętem zostało. Bo że Austrija z zajętych starostw nie ustąpi, wątpliwości być nie mogło. Zmusić ją do tego można było tylko zbrojnym wdaniem się, a to znaczyło rozpętać europejską wojnę. Wyjście z trudnej sytuacji i rozwiązanie jej „pokojowe“ leżało na dłoni. Wskazała je cesarzowa Katarzyna w formie przypuszczenia i rozkazawszy podać sobie do rozważenia odrzucony przez Pannina projekt „hrabiego Lynera“. Okazało się, iż proponowany przez Fryderyka II podział Polski był jedy-

nem wyjściem dogadzającym wszystkim zainteresowanym stronom, z wyjątkiem, rzecz prosta Polski samej, ale jej zdanie i uczucia nie groziły zakłóceniem powszechnego pokoju.

Dnia 5 sierpnia 1772 r. stanął pierwszy podziałowy układ między trzema mocarstwami. Fryderyk II otrzymał 654 mil kwadratowych z 600 tysiącami mieszkańców, a potem, w ciągu dwóch lat następnych, „prostując“ granicę wschodnią państwa swego, po nad przyznane mu podziałowym traktatem, zagarnął sobie jeszcze, dodatkowo a bezkarnie 139 mil kwadratowych ze 150 tysiącami ludności. W ten sposób, oprócz Gdańska i Torunia, cały obszar byłego państwa Krzyżackiego znalazł się pod berłem Hohenzollerna. Fryderyk II był już nie królem *w Prusach*, ale rzeczywistym *królem Prus*.

Oto był rezultat pięciu stuleci stosunków polsko-pruskich. Rozpoczęły się od ofiarowania Krzyżakom przez mazowieckiego księcia ziemi chełmińskiej, wydały potem okres zwierzchnictwa Polski nad państwem, któremu pozwoliła sama rozrosnąć się u granic swoich, przyniosły potem Polsce ze strony tegoż państwa kłopoty, upokorzenia, klęski, dalej doprowadziły do utracenia nawet z pod tytularnego zwierzchnictwa przepysznej prowincji, która stała się podstawą potęgi Królestwa Pruskiego, aż wreszcie owe Królestwo, wychodowane rzecz można, przez nieopatrzną i niedołążną Polskę, pochłonęło Polskę samą....

VI.

Szóste stulecie stosunków polsko-pruskich. — Zdanie o pierwszym podziale Polski współczesnego historyka niemieckiego. — Dalsze zagarnięcie ziem polskich, jako konsekwentny wynik uwieńczenia polityki Fryderyka II. — Drugi i trzeci rozbiór — Rządy króla Hohenzollerna w Warszawie i nad Niemnem. — Prusy na brzegu przepaści. — Walka z Napoleonem — Kongres Wiedeński. — Stosunki polsko-pruskie od chwili stłumienia szalonej ruchawki Mierostawskiego, do chwili obecnej.

Szóste stulecie stosunków polsko-pruskich przyniosło dalszy, konsekwentny ciąg radykalnego zwrotu w tych stosunkach, zainicjowanego przez Fryderyka II w roku 1772. Po stworzonej przezeń pochyłości miało staczać się stanowisko wobec Prus najpierw państwa Polskiego, a następnie narodowości polskiej — miało staczać się aż na poziom, na którym go widzimy w zaraniu XX wieku.

Zaś jako hasło nowego tego okresu, jako *motto*, jako rozpiętą nad stuleciem całem kopułę, położyć możemy najświeższej daty (1901 r.) sąd o zagarnięciu ziem polskich przez Fryderyka II, wydany przez współczesnego już H. Prutza. „W wypadku tym — pisze on — jak w wielu momentach dziejowych, prawidła małostkowej etyki (*die Gebote der bürgerlichen Moral*) okazały się niewystarczającymi wobec wielkich historycznych problemów. Mężowie, kierujący losami państw i narodów, musieli poddać się moralnym obowiązkom wyższej natury. Musieli zdobyć się na odwagę, działać z punktu widzenia, niosącej im ratunek, racji stanu. Król pruski zresztą nie pierwszy wprowadził zamiar w życie. Projekt, podany przezeń pod przyłbicą hrabiego Lynera, nieprzyjętym został w Petersburgu i uważał go król pruski za przepadły, a dopiero niespodziane wystąpienie Austrii, nadało projektowi wartość praktyczną i umożliwiło wybrnięcie z trudnej sytuacji. Ale — czyż wogóle Fryderyk II potrzebuje usprawiedliwienia?! Wszak — ci odebrał tylko od Polski ziemię rdzennie niemiecką; czyn jego nazwać można śmiało zwycię-

stwem kultury nad barbarją; to co Fryderyk II uczynił dla Zachodnich Prus od 1772 r. zaliczyć należy do największych i najdobroczynniejszych dzieł kulturalnych wszystkich czasów; tam przedewszystkiem zajaśniały w całej pełni jego przymioty jako ojca kraju (*landesfräterliche Gaben*). O germanizacji ziem, przyłączonych do państwa swego, Fryderyk II nie myślał wcale. Ale — głębokie przeświadczenie o wyższości niemieckiej kultury zniewalało go do najszybszego usuwania z kraju wszystkiego, co polskie (w oryginale: *polnishes Zeng*) i zasilanie go żywiołami niemieckimi. Fryderyk II był niezaprzeczenie zbawcą i odrodzicielem kultury niemieckiej w Prusach Zachodnich.“

Cóż dodać do tych słów dostatecznie wymownych? Ci, co na stosunki polsko-pruskie końca XVIII wieku zapatrują się z punktu widzenia takiej sofistyki, paczącej z najgorszą wiarą znaczenie jednych faktów, a wprost przeczącej innym faktom, nie dającym się dopasować do uspakajających sumienie wywodów — są zaprawdę jakby stworzeni do układania takich stosunków na zachodzie dzisiejszych Prus, na jakie w chwili obecnej patrzymy...

Fryderyk II położył tylko rękę na Wielkopolskę i od samego tego położenia wzrosło państwo Pruskie z 2160 mil kwadratowych do 3540; ludność i dochody podwoiły się; wyrosło jak z pod ziemi 200 tysięcy wojska dla obrony zdobyczy. Najtrudniejszy początek. Synowi Fryderyka miały już niemal same padać do rąk odłamy rozkruszanej Polski.

Podczas gdy armje austriacka i polska szły za Ren, podtrzymywać wałacy się wśród zawieruch Rewolucji tron Burbonów, cesarzowa Katarzyna najgoręcej, ale platonicznie oburzająca się na świętokradzkie rozwalanie monarchji francuskiej, dokonywać jęła drugiego aktu unicestwienia państwa polskiego, pewna, iż Austria i Prusy zdobędą sobie nad Renem odpowiednie kompensaty za rozwinięcie się Rosji. Te ostatnie nadzieje zawiodły. Lekceważone wojska republikań-

skie francuskie potłukły na gorzkie jabłko wtrącających się w sprawy Francji Prusaków i pokrwawione wojska króla Fryderyka Wilhelma II cofnęły się jak oparzone, śpiesząc na gwałt ku wschodnim kresom Prus, aby upomnieć się o zawarowane traktatami współuczestnictwo w dokonywanej właśnie przez Rosję akcji. Rezultatem tego zjawienia się, w porę jeszcze, armji pruskiej i porzucenia przez króla Francji dla Polski—było (1793 r.) obdarzenie Prus przez cesarżową Katarzynę tysiącem mil kwadratowych polskiej ziemi z miljonową przeszło ludnością.

Wybuchła Kościuszkowska insurrekcja. Miał akurat król pruski znowu pędzić nad Ren, ale go ministrowie powstrzymali, nalegając słusznie, aby strzegł nad Wisłą najżywoźniejszych interesów państwa. Rada okazała się dobrą, a słusznemi obawy, wypadło dać zbrojny sukurs Rosji. Wojska pruskie przyczyniły się do zwalczenia Kościuszki, zajęły Kraków i rychło stanęły pod Warszawą, rozpoczynając obleganie stolicy. Ale dobywanie jej szło opornie. Tymczasem zaś ukazały się wojska polskie w Prusach południowych i Prusacy, śpiesząc ku zagrożonym prowincjom własnym, musieli co rychlej odstąpić z pod Warszawy. Ruszyli się za nimi w pościg Polacy, pobili na głowę pod Bydgoszczą, grożąc Gdańskowi i Grudziącowi. Aż pod Frankfurtem nad Odrą widziano Kościuszkowskie szwadrony i po raz powtórny w dziejach zamysłano o obronie samego Berlina przeciwko spodziewanemu rzućeniu się wojsk polskich na stolicę pruską. Nie przyszło do tego. Czego nie dokonali Prusacy, dokonał Suworow. Wojska rosyjskie oswobodziły Prusy południowe i w ślad za tem, po Maciejowickiem zwycięstwie, zajęły Warszawę. W pierwszych dniach 1795 r., Rosja, zaprzyjaźniona wówczas z Austrią, dokonała z nią wspólnie trzeciego i ostatniego podziału Polski, wydzielając dla Prus 900 mil kwadratowych polskich z Warszawą i miljonem mieszkańców—w zamian za żądanie od Prus poparcia polityki cesarżowej Kata-

rzyny i cesarza Józefa II w tak zwanej „kwestji wscho-dniej“.

Przez lat dwanaście następnych sięgały granice państwa Pruskiego, po Niemen, do samego Kowna i Grodna, po za puszcze Białowieską, obejmując Warszawę, Piotrków, Częstochowę, sięgając pod sam Kraków. Odrzucił je daleko na zachód Napoleon w 1807 r., z łaski swojej i dla dogodzenia cesarzowi Aleksandrowi, zostawiając tylko część posiadłości pobitego pod Jeną, upokorzonego, wyzutego ze stolicy swojej króla Fryderyka Wilhelma III. Wprawdzie „częstka owa“ była wszelakoż połową Prus z 1795 r. (2377 mil kw. i 5 milionów ludności), ale i połowy już nie miała potęgi i znaczenia Prus Fryderyka II. U granic pruskich, na zakłęcie rozpaczliwego turbatora Europy, stanął nagle cień Polski: Księstwo Warszawskie i niedający się przewidzieć rzut jakiś Napoleońskiego despotyzmu może lada chwila wywołać jeszcze fatalniejszą dla Prus konstelację polityczną! Wyczerpanemi, szarpanemi nieustannie potężną swą dłońią Prusami rządził Napoleon, normował ich stosunki, unosił się nad losami Hohenzollernów, podobnie jak losem już kierował tyłu dynastji królewskich i książęcych! Z tej niepewności o jutro wybawił państwo Fryderyka Wilhelma i dom jego, rok 1812.

Wprężone do rydwanu Napoleona Prusy szarpnęły się pierwsze, dając hasło obławy powszechnej na pokonanego w zaspach Rosji „boga wojny“. Pierwszy „dla dobrej sprawy“ zdradził cesarza i złamał przysięgę militarną generał pruski Jork. Pańskie ostatki organizacji państwowej, wojskowej i administracyjnej Fryderyka II, ożyły pod tchnieniem zapału ogarniającego Prusy całe. Praca około odrodzenia się, prowadzona milczkiem ale wytrwale od roku 1807 wydała owoce spodziewane. Prusy stanęły do walki w roku 1813 na podziw światu dzielne i zasobne, a oddawszy Europie walne usługi, upomniały się z podniesionem hardo czołem o nagrodę na kongresie wiedeńskim.

Kongres wiedeński wytknął państwu Hohenzollernów dzisiejszą jego zachodnią granicę, potwierdzając powagą przedstawicieli wszystkich mocarstw europejskich zabór Poznańskich i Nadbałtyckich dzielnic. Granicy tej zachodniej odtąd już Prusy, ani też stworzone przezeń państwo Niemieckie nie naruszyły. Natomiast królestwo Hohenzollernów rozlało się między 1815 a 1866 r. na wschód, pochłaniając Szlezwik-Holsztyn, królestwo Hanowerskie, Hessję i księstwo Nassauskie. Gdy w 1866 r. poprowadzili Hohenzollernowie wojska pruskie do bratobójczej walki z Austrią Habsburgów, nie jeden tylko Bismarck pewny był zwycięstwa. Drogę do cesarskiej korony dla Wilhelma Hohenzollerna, króla pruskiego, rozczyszczał Bismarck dwa razy i przez Sadowę i Sedan doprowadził Prusy do stanowiska, zajętego dziś przez nie w państwie Niemieckiem.... Cóż wobec dokonanych dzieł takich, znaczyć już teraz mogło załatwienie się z resztkami żywiołów polskich w Prusach; wstrętnych, niepotrzebnych, dolegających jak martwy cień w żywym cieple! Posiadłszy ziemie polskie, już Fryderyk II począł gorliwie i bez zwłoki oczyszczać je ze wszystkiego co polskie, uprzętać ów barbarzyński „polnisches Zeng“. Wpierw jeszcze, natychmiast po wiekopomnej koronacji, dzielnie poparto sprawę germanizowania dzielnic nawpół polskich, nawpół niemieckich. Można przeto powiedzieć, że w ciągu dwóch stuleci nie zasypano sprawy, starano się, szerzono na sposób wszelki germanizację pod wspólną etykietą kultury....

Jakież zabiegi do jakich doprowadziły rezultatów?

Przedewszystkiem w zabranych krajach polskich, utworzywszy z nich trzy prowincje, zaprowadzono administracyjne urzędy polskie. Na czele „departamentów“ postawiono Kamerę do spraw administracyjnych i Regencję do sądownictwa, landratów po powiatach, statsratów po miastach. Dawne starostwa i dobra duchowne zajęto do skarbu państwa; dawne urzędy zniesiono; usunięto z urzędów, sądownictwa, szkół,

język polski zastępując go niemieckim; kodeks wprowadzono pruski; osadzono kolonistów Niemców po wsiach i miastach, obdarzając ich najwygodniejszymi przywilejami.

Gdy przyszły kataklizmy państwowe czasu wojen Napoleońskich, a następnie unormowanie granic pruskich przez kongres wiedeński—wynaradawianie poddanych polskich i niemczenie prowincji, które w roku 1807 okazało się, iż utracenemi być mogą, nieco złagodniało. Zwycięstwa Blüchera, zabiegi dyplomacji pruskiej, skarbienie sobie względów cesarza Aleksandra i Metternicha nie wróciły Prusom ani Warszawy, ani okręgu Białostockiego. Natomiast mocarstwa układając nową kartę Europy 1815 roku, odrzuciły im wespół z Wielkopolską sporo elementów świeżych polskich, które były się tam napowrót wzmocniły i rozwinęły podczas krótkotrwałego istnienia Księstwa Warszawskiego. Do żywiołów tych przystąpił król Fryderyk Wilhelm III z niezwykłą uprzejmością w słowach i czynach. Namiestnikiem mianowany został Polak, książę Antoni Radziwiłł. Wrócono język polski sądownictwu, zapewniono wolny wybór landratów przy uwzględnianiu na to stanowisko żywiołów „miejscowych“, poczęto nawet tworzyć osobną dywizję polską, do której jednak młodzież polska wstępować nie chciała. Stosunki te atoli między rządem a ludnością w Poznańskim trwały krótko. Rząd wrócił do dawnego systemu, ludność wróciła do dawnego oporu. Zaprowadzone Stany prowincjonalne na wzór ustanowionych przez Austrię w Galicji, były tylko cieniem i parodią samorządu. W wybornych szkołach b. Księstwa Warszawskiego poczęto osadzać nauczycieli niemieckich. Nie posunęło to wszystko ani na krok jeden naprzód dzieła „złania“ prowincji wschodnich z państwem Hohenzollernów. Natomiast już w r. 1823 zniesienie w Księstwie Poznańskim poddaństwa włościan wzmogło tam silnie rozwój kultury powszechnej.

Pomimo dostatecznego zadowolenia i obfitości ła-
two zapalnych elementów, Poznańskie nie wzięło udziału
w ruchu rewolucyjnym 1830 i 1831 r. Prusy odrazu
i nieprzerwanie stały na stanowisku ścisłej solidarności
z rządem rosyjskim, broniąc zarazem własnych państwowych
interesów. Wojska pruskie rozciągnięte wzdłuż rosyjskiej
granicy, gotowe w każdej chwili do zbrojnej, pomocniczej
interwencji, nie miały sposobności po temu, natomiast
przyjmowały tylko rozbite w Rosji oddziały wojsk polskich,
przechodzące granicę i rozbrajały je.

Insurekcja atoli oraz stłumienie jej w Rosji miały i dla
Poznańskiego doniosłe a ciężkie następstwa. Stanowisko
Radziwiłła zajął Flottwel, właściwy twórca systemu
wynaradawiania i niemczenia, prowadzonego do dziś dnia
w Prusach wschodnich *per fas et nefas*. Zniesiono
równouprawnienie językowe w urzędzie i sądownictwie,
prawo wybierania landratów, poczęto ułatwiać Niemcom
nabywanie ziemi, wówczas już nawet ustanowiono
specjalny fundusz dla zakupywania ziemi posiadanej przez
Polaków. Odtąd już nieprzerwanie trwać miało coraz to
brutalniejsze zaciskanie pięści pruskiej nad zagarniętym
a niedającym się opanować i zniemczyć krajem. Szarpnięcie
się i rzucenie się z motyką na słońce Mierosławskiego w roku
1848 na nic się zdało. Rachując na berlińskie sukcesy
niemieckiego - społecznego - ruchu, rozpoczął w
Poznańskim ze słabym oddziałem swoją insurekcję
narodową. Ale nie liczył na powszechny antagonizm
Niemców do Polaków. Niemieckie barykady berlińskie
mogły jeszcze mieć pewną liczbę zwolenników, ale
polskie szabelkowanie w granicach Prus na żadne
wogóle sympatje niemieckie liczyć nie mogło. Siła zaś
była po stronie niemieckiej. Mierosławski z głównym
swym oddziałem, spisawszy się wcale dzielnie w paru
potyczkach, otoczony pod Wrześnią przemagającymi
siłami wojsk pruskich, złożył broń (3 maja 1848 roku),
a rozproszona ruchawka rychło wytopioną została. Pań-

stwo otrzymało w ślad za tem konstytucję i zastosowano ją też do Poznańskiego; nie było atoli już wówczas rzeczą tajną, że konstytucyjne prawa tamy nie położą wynaradawianiu i niemczeniu Poznańskich ziem w dalszym ciągu, co też dalszy przebieg stosunków polsko-pruskich w zupełności potwierdził.

Czyż przypominać to, na co własnemi oczyma patrzyliśmy i patrzymy? Czyż nie dość wymienić imienia Bismarcka? Czyż nie dość wskazać na nieustanne, bezowocne protesty posłów polskich w parlamencie pruskim i niemieckim? jak posłowie ci, wyzywani nieustannie, drażnieni, wyrządzani, przerzucają się od polityki układów i ułatwienia rządowi *modus vivendi* z ludnością polską do polityki biernego oporu, a każda z nich tylko upokorzenia i klęski im przynosi? Kolejno jak ogniwa łańcucha opasującego powoli dzielnice poznańskie, wysuwają się z gehenny stosunków terażniejszych polsko-pruskich: prześladowanie religji katolickiej, niemczenie urzędów i szkół, usuwanie urzędników i nauczycieli Polaków z zajmowanych posad w stronach ojczystych, przerzucanie ich do Prus zachodnich a osadzanie zajmowanych przez nich stanowisk przez Niemców nadpływających do Poznańskiego jak do jakiejś zamorskiej kolonji, na eksploatację wydanej; dalej uchwalenie olbrzymiego funduszu na wykupienie ziemi z rąk właścicieli polskich i utworzenie osobnej komisji kolonizacyjnej; niemczenie nazw miejscowości rdzennie polskich; rozwiązywanie, upewnionych przez konstytucję, stowarzyszeń polskich, nie z polityką niemających wspólnego; wyrzucenie z Poznańskiego dziesiątków tysięcy osiadłych tam od dawna Polaków, niepoddanych pruskich....

Wystarczy. Wystarczy przypomnieć, że stojąc na progu XX wieku, historyk zbrojny wiedzą w odległą przeszłość sięgającą, a świadek stanu obecnego polsko-pruskich stosunków, w następujących słowach streszcza kilkowiekowiekowy ich przebieg: „Państwo pruskie — powiada — jest spadkobiercą tych dążności

niemieckich, które się objawiły jeszcze w X stuleciu, dążność do wytępienia Słowian i powiększenia ich ziemiami swojej ojczyzny. Brandenburgja, kolebka tego państwa, powstała na ziemiach wytępionych Słowian, Prusy przypadły Brandenburgom w spadku po Krzyżakach, jako lenno polskie; Pomorze, Wielkopolskę zabrali Polsce po rozbiorach; Śląsk Austrii. Wszędzie na gruzach Słowian, a mianowicie Polaków, wzrosło to państwo; od starych prusaków, narodu litewskiego pochodzenia, przywłaszczyło sobie nawet terazniejszą swoją nazwę. Od czasu też pierwszego rozbioru dążyły Prusy do wynarodowienia zabranych Polsce krajów i okazywały się zawsze najnieprzyjaźniejszymi dążeniami Polaków do poprawy swoich losów, a chociaż czasem ucisk polskości z chwilowych powodów tam zwalniał, to tylko na to, aby z tem większą powrócić zaciętością.“

Oto obraz nieklamany niczem, który w skarbnicy dziejów brandenburgsko-pruskich złożyć możemy na wieczną rzeczy pamiątkę, my, których żelaznej pięści niemieckiej nie udało się wytępić doszczętnie jak Szwedów i Wendów, Obotrytów i Lutyków. Pozostaliśmy, aby w dwuchsetlecie korony pruskiej, na pruskiej tarczy herbowej przekreślić obłudną dewizę *Sum cuique*, i położyć na niej napis: *Vae victis!*

Czesław Jankowski.

.....ZAKOCHAŁ SIĘ DJABEŁ
W SUCHEJ WIERZBIE”...

*Z pustem wnętrzem bez tona,
Na głos słońca już głucha,
Magie wznosi ramiona
Wierzba niska, skłębiona
I sucha.*

*Nad wód stoi przezroczą,
Czarne wokół niej krzaki,
Wieczne noce ją mroczą,
Suche piersi jej loczą
Robaki.*

*Skoro północ uderzy
Na wieżycach we dzwony,
Strasząc nocnych pasterzy,
Rozkochany czart bieży
Słęskniony.*

Ogniem znaczy ślad drogi,
 Słodkie pieśni marzenie,
 Nisko kłoni swe rogi
 I całuje jej nogi —

Korzenie.

Z pustem wnętrzem bez łona
 Na głos słońca już głucha,
 Nagie wznosi ramiona
 Wterzba niska, skłębiona
 I sucha.

I, gdy są już we dwoje,
 Czarł wzruszouy i blade
 Stroi lubą w powoje,
 Deklamując jej swoje

Ballady.

On — jej tarcza! obrona!
 — Dzwoni mężnie pieśń śpiewna —
 Srogie smoki pokona
 On — królewicz, a ona —

Królewna.

Czarne zęby wyszczerza
 Cały drżący z zachwytu,
 Cichym szepłem pacierza
 Tajemnice jej zwierza

Wszechbytu.

*Z pustem wnętrzem bez łona
 Stoi wierzba wciąż sucha
 Nagie wznosi ramiona
 Niska, czarna, skłębiona
 I głucha.*

*Kiedy zorza zagości,
 Djabeł traci nadzieję,
 W wichrze polnym się złości,
 W zawiedzionej miłości
 Szaleje.*

*Furje lecą mu z pyska,
 W świecie szafy złe budzi,
 Płuje w ofiar ogniska,
 Zdrady, mordy jad ciska
 Na ludzi.*

*Ciało swoje rwie drżące,
 Drogi czarne krwią plami,
 Dusić boskie chce gońce,
 I zagasić chce słońce
 Skrzytałami.*

*Rzuca skargi w niebiosy,
 Lzy mu płyną z pod powiek,
 I przeklina swe losy,
 I na głowie rwie włosy
 — Jak człowiek.*

*Bezistnienie go mami,
 Ciągnie, woła zdradziecko —
 I twarz kryje skrzydłami,
 I cichemi łka łzami*

— *Jak dziecko.*

*Z pustem wnętrzem bez tona,
 Na głos słońca już głucha,
 Nagie wznosi ramiona
 Wierzba niska, skłębiona
 I sucha.*

*Nad wód stoi przezroczą,
 Czarne wokół niej krzaki,
 Wieczne noce ją mroczą,
 Suche piersi jej toczą*

Robaki.

Wincenty Kosiakiewicz.

Walka z nędzą i żebractwem.

W wielkich miastach mieszka się wygodniej i przyjemniej, niż gdzieindziej. Byłem był jako tako zamożny, mam komfort w domu, rozrywki po za domem. O wszystkim zaraz się dowiaduję, wszystko zobaczyć mogę. Ale się w mieście wielkiem oddycha powietrzem, zarażonem mióstwem chorób, w dodatku nie wszystkie są natury fizycznej, nie wszystkie grożą ciału naszemu.

Wielkie miasta - wielkie warsztaty postępu—stworzyły niejedną kwestję trudną do rozwiązania. Ale po nad wszystkim góruje kwestja nędzy, nędzy nie jednostek, lecz całej skupionej masy, całej klasy ludności, z tem zaś wiąże się i sprawa zdrowotności, i bezpieczeństwa, i spokoju i t. d. Nędza to rezultat wielu czynników: nieszczęścia i lekkomyślności, i trudnych warunków życia ludzkiego i próżniactwa. W każdym wielkiem mieście istnieją i istnieć muszą zastępy biedaków, dziś głodnych, jutro unierających z zimna; dziś nieszczęśliwych, jutro występnych.

Jakkolwiek patrzeć zechcemy na te zastępy, z współczuciem czy z pogardą, czy z gniewem, zawsze dla miasta będzie to kwestja niezmiernie ważna, co z niemi zrobić?

Pozwolić, aby unierali gdzieś po norach? — niepodobna. Niepodobna nie tylko dlatego, że pojęcia człowieka dzisiejszego na to by się nie zgodziły, że serca nasze by nie zniosły czegoś podobnego, ale i dla tego, że nędza pozostawiona sama sobie bez pomocy, bez hamulca miałaby następstwa zgubne dla miasta, dla społeczeństwa, dla cywilizacji. Jak niepodobna budować miastu obok nieosuszonego bagniska, zięjącego zarazą, tak samo zupełnie było by występkiem nie tylko przeciwko miłosierdziu, ale i przeciwko mądrości, aby odnęty bagniska społeczne go gnęły, nieosuszone, niedczynfekowane.

Wszyscy wiedzą, iż niepodobna, ale środki skuteczne nie są łatwe do wynalezienia. Rатовano ludzi ginących z nędzy miłosierdziem. Miłosierdzie jest wielką cnotą, jest pierwiastkiem, który uszlachetnia społeczność: gdzie tylko drga miłość bliźniego, tam ono przemawiać musi, a bez miłości bliźniego niema istnienia dla człowieczeństwa; ale miłosierdzie łagodzi jedynie niedolę jednostek, nie zmniejszając prawie dolegliwości społecznej, ono nieraz nie rozróżnia nędzy od występnego rzemiosła żebraczego; ono potrzebniejsze jest dającym niż biorącym, jako praktyka cnoty, jako zaspokojenie potrzeby serca.

Przeciwko niedoli, płynącej z próżniactwa, przeciwko żebrakom zawodowym, probowano środków karnych. Tu i owdzie posunięto surowość do ostatnich granic—żebractwo się tylko udoskonaliło, nauczyło się kryć pod najrozmaitszymi pozorami, pozawiażywało organizacje zarazem potężne i subtelne, zdumiewające subordynacją i pomysłowością.

Wreszcie wnsunięto jako środek ratunku, pracę.

Sprobowano tego przede wszystkim w Anglii wiele już lat temu. Inne kraje ociągały się długo, nie chciały lub nie umiały naśladować przykładu. Dziś wszędzie prawie w Europie zakładają instytuty pomagania jednostkom, pogrążonym w nędzy, przez pracę. Do czego to doprowadzi ostatecznie, jeszcze nie wiadomo. Wszędzie przebywamy okres próby. Nadzieje są wielkie, ale pewności wcięż niema. W każdym razie jest to punkt, na który w tej chwili zwrócić się pilna uwaga społeczeństw, rządów, monarchów. Powstaje wszędzie literatura, wydawane są pisma, temu przedmiotowi poświęcone wyłącznie.

Sądzimy, że wobec tego pożądanem jest poznanie, co się gdzie indziej w tej materji dzieje. W tej myśli zamieszczamy poniższą korespondencję z Paryża.

Paryż w maju 1901 roku.

Ileż to ludzi w olbrzymim Paryżu, pozbawionych jest chleba i dachu nad głową. Ileż to nie posiada żadnych środków do życia, żadnego zajęcia, żadnego fachu. Można ich spotkać nad brzegami Sekwany; tu w brudnej wodzie przemawiają nogi, pokaleczone od bosych wędrowek; widzi się ich pomiędzy krzakami fortów, a nawet w samym środku miasta zasiadają na cokułach pomników, zjadają ochłapy, rzucone na targach i ulicach, lub też śpią na schodach świątyni.

Ów starzec o pięknej, wyrazistej twarzy, okolonej mleczną brodą, wygląda na filozofa, a za parę groszy zamiata chodnik przed kawiarnią.

Ten znowu łachmaniarz biegnie za dorożkami, wyciągając rękę brudną i chudą. Tamten żebrze litości smutnemi oczyma.

Przyjrzyjmy się ich twarzom — namiętności wypisały na nich swe dzieje: lenistwo, pijaństwo doprowadzają ich zwykle do żebractwa. Od żebractwa do występku, od włoczęgostwa do zbrodni — droga niedaleka. Wielu z tych biedaków dąży niechybnie do więzienia, na galery.

Jak przyjść z pomocą tej nędzy?

Myśl ratowania ludzi przez pracę jest we Francji stonkowo niedawną, a zrodziła się w sposób następujący:

Było to w ostatnich miesiącach 1870 r. podczas oblężenia Paryża. Mer VIII-go cyrkułu, jednej z najbogatszych dzielnic miasta, otrzymując duże zasiłki, rozdawał je darmo. Biedacy, zwłaszcza kobiety i dzieci, (bo mężczyźni byli na walach) zbiegały się tłumnie ze wszystkich dzielnic miasta.

W owym czasie pułki regularne i szeregi „gwardji ruchomej“, rozsiane po okolicy i wśród fortyfikacyj, umierały z zimna nie mniej, jak od kul nieprzyjacielskich.

Najprostszym sposobem przyjścia z pomocą mężczyznom, było dać zarobić kobietom pieniądze, których nie dawało się darmo, płacąc za szycie kamizelek i pasów flanelowych. W ten sposób powstało towarzystwo wspomagania przez dostarczanie pracy.

Myśl i jej wykonanie zawdzięcza Francja p. Mamoz. Inni poszli za jego przykładem. Zrodzone z inicjatywy prywatnej *stowarzyszenie wspomagania przez pracę* rozwinęło się bardzo szybko i przybrało już najróżnorodniejszą postać.

Przejrzymy główne instytucje, zaczynając od najskromniejszych i stopniowo dochodząc do tych, które służą najlepiej zamierzonemu celowi.

Jałmużna zmienia się na zarobek, na pracę konieczną, lecz łatwą.

Zacznijmy od stowarzyszeń wspomaganie przez pracę VIII i XVII cyrkułu paryskiego.

Specjalnością ich jest niesienie pomocy włóczęgom niepoprawnym, nie posiadającym żadnego fachu, nie mogącym nabyknąć do systematycznej pracy. Tym, tanie kuchnie



Obiady bezpłatne.—Obraz Gonentte'a.

Codziennie rano tłum biedaków ciśnie się do drzwi, w celu otrzymania miski zupy i kawałka chleba.

tak zwane „souples populaires“ dają od czasu do czasu rądelek zupy i kawałek chleba. Przytulki noclegowe udzielają im niekiedy schronienia pewniejszego i wygodniejszego od arkad mostów. Ma się rozumieć, tacy próżniacy i niedołądzy mogą wykonywać jedynie pracę łatwą, a więc rąbią kłody w drobne drzazgi, używane do podpałki.

Pojdźmy za jednym z takich biedaków, któremu członek

instytucji dał *bon pracy*. Śladami jego dojdziemy do ul. Salneuve, w XVII cyrkule.

W głębi długiego korytarza drzwi z napisem, objaśniającym, że te podwoje otwierają się tylko dla ludzi, którzy chcą pracować. Wewnątrz widzimy oszkloną szopę: tu każdy siedzi na kłodzie i przygotowuje wiązki drewniek. Potem zbierają wióry grabiami, związują je i maczają w smole, aby się łatwiej rozpałały. W tej szopie panuje taki łoskot i hałas, że trzeba sobie uszy zatykać i niepodobna słyszeć się wzajem.

A spotyka się tu niezwykle typy! Oprócz kilku robotników, chwilowo beczynnych, co za dziwna klientela. Spojrzyjcie na tego mężczyznę z obwisłą wargą. Zkąd przybył? Gdzie pójdzie? Niewiadomo: On sam zapewne nie umiałby odpowiedzieć na podobne pytania.

A tamten drugi, o wyniszczonym żółtym profilu starego aktora z *café concert*. A ów o zawieszonym wąsie, wygląda na robotnika, który nie jeden most i niejedną szosę zbudował. Ten z czapką na bakier, rad jest, że go fotografują. Inni nie chcą, by odtwarzano ich rysy; boją się, żeby ich podobizny nie zostały przesłane prefekturze policji.

Oto jeszcze jeden typ: włosy długie, wygląda na artystę. Dalej starzec rozczochrany, brudny, w jego oczach łagodnych i mętnych odbija się zgubna namiętność do alkoholu.

A cóż powiedzieć o cudacznych strojach, które się tu zbiegły: stare garnitury kraciaste, długie, wyszarzane surduity, wytworne niegdyś żakiety, słowem wszelakie ubiory, które ci biedacy znaleźli, dostali, lub wyciągnęli z cudzych kuferków.

Różnorodność kapeluszy nie mniejsza: stare kepi, cylindry, kaski korkowe, a wszystko zavalane, pomięte, przypomina harmonijkę.

Wielu pomiędzy tymi ludźmi odznacza się łagodnością, z oczu ich bije nieśmiałość i smutek; widać, że zaciążyła na nich ręka przeznaczenia. Nie są to zbuntowani, robią raczej wrażenie zbitych psów lub okaleczonych szkapin.

Kobiety pracują oddzielnie. Ma się rozumieć, nie rąbią drzewa. Sporządzają etykiety, z numerami porządkowemi, przywiązywane do bagażów pasażerskich na kolei.

Pomiędzy 1-ym stycznia a 31-ym października 1898, instytucja wsparła 1889 mężczyzn i 3231 kobiet, dając im do wykonania roboty, które przedstawiają tyle godzin pracy, iż tworzy się z nich 39,550 dni.



W pracowni zakładu.

Pensjonarze zakładu są zajęci tupaniem szczapek drzewa na podpalkę.

Niegodny frymark. — Giełda na „bilety pracy“.

Wszelako pomoc, udzielana w ten sposób, nie wystarcza. Przedewszystkiem jest dorywcza, chwilową. Bilet (bon) daje prawo do trzech dni pracy. Cóż pocnie oalej biedak z paru miedziakami w kieszeni?

Ten system sprzyja niejednemu nadużyciu: frymarkowi bonami pracy.

Reprezentują one pewną sumę, są niejako wartością handlową, nadają się zatem do spekulacji.

Wielu jest niepoprawnych próźniaków, którzy za nic na świecie nie przyłożą ręki do niczego. Taki próźniak otrzymał bon pracy.

Bierze go niechętnie: to mu wcale nie dogadza, spodziewał się czego innego; trochę miedziaków, któreby zaraz przepił. Raczy jednak wziąć, co mu dają, niesie ten bon do nędzarza prawdziwego, odprzedaje mu go za pół ceny, a czasem nawet za cenę wyższą; jest spekulantem w łachmanach.

Czasem trafia się kilku zgłodniałych amatorów, wtedy wszczyna się licytacja; podobne „giełdy“ odbywają się w bramach, na strychach, po szynkach.

Czy może być co wstrętniejszego nad taki wyzysk nędzy przez nędzarzy i nędzników? Bon staje się wówczas premją, udzielaną próźniactwu.

Zakład na przedmieściu Saint - Germain wspomaga nie- szczęśliwych, dostarczając im pracy stałej.

Należy więc przedewszystkiem postarać się, aby zarobek wpływał w całości do rąk tego, który pracę wykonał; aby pomoc była skuteczną; trzeba zająć się stale wspomaganym, dostarczyć mu środków do życia.

Niektóre zakłady dopięły tego celu, a między innymi instytucja na przedmieściu Saint - Germain.

Mieści się ona przy ul. Montparnasse w domku partelowym, bielonym wapnem. Na dachu zatknięta flaga. Codzień od siódmej zrana u tych drzwi stoi cały szereg biedaków. Wprowadzają ich po jednym do p. Bini, dyrektora zakładu. Jestto człowiek bardzo ruchliwy, inteligentny;

poznaje odrazu z kim ma do czynienia. Przy jego boku stoi naczelnik robotników w białej bluzie. Oni dwaj stanowią cały personel zakładu.

Wybadać zgłaszających się jest rzeczą niełatwą. Trzeba



Kobiety w domu pracy.

Przygodne pracownice zajęte są praniem, krochmaleniem, mydleniem bielizny. Wykonują one te czynności, dla których nie jest potrzebne odpowiednie przygotowanie.

pytać o tyle, aby się czegoś dowiedzieć; ale nie wypytywać zanadto; należy szanować pewne niedole, pewne tajemnice przeszłości, która nie zawsze jest bez skazy.

— Skąd pan przychodzisz?

Nędzarz namyśla się, jak gdyby zapomniał.

— Z przytułku noclegowego — odpowiada wreszcie.

— Jesteś pan bez zajęcia. Od jak dawna?

— Od dwóch tygodni.

— Czyś pracowity?

Biedak waha się z odpowiedzią, obraca w rękę kapelusza, zapina marynarkę na jedyny jej guzik.

-- Tak — odpowiedział wreszcie głosem przyciszonym.

— Czy doprawdy?

Nędzarz spuszcza głowę, przyznaje się, że lubi niezależność, świeże powietrze. Obawia się, że powiedział za wiele. Już na drzwi spogląda, jak gdyby chciał uciec, ale głos dyrektora dodaje mu otuchy.

— No, no, wdrożysz się pan do pracy — powiada pan Bini. Papiery w porządku. Świadcstwa nieźle. Nauczysz się pracować porządnie.

— Dobrze, panie — odpowiada biedak, z błyskiem radości w oczach.

I oto już jest przyjęty; dają mu porządne ubranie; wprowadzają go do warsztatu, gdzie go czeka robota łatwa: sortowanie fiszbinów ze starych gorsetów; odkłada na bok lepsze, mogące jeszcze służyć; używane są w bardzo wytwornych fabrykach gorsetów. Dalej nędzarze wyciągają i sortują, wedle kolorów, stary włosień, z którego wyrabiane będą nowe materace i poduszki, po dezynfekcji, ma się rozumieć. Wyskubane strzępki starej wełny posłużą także do odnawiania starych kapeluszków. Tam znowu sortują się sznurki, dalej wycinają się kawałki papieru na adresy.

Za te prace nędzarz nie otrzymuje zapłaty, lecz przytułek i pożywienie. Jeżeli ma rodzinę, wolno mu mieszkać w domu, dostaje po 80 cent. dziennie.

Może szukać pomieszkania, zarząd mu w tem nawet pomaga. Wszyscy członkowie dowiadują się i rozpytuja o miejsce dla człowieka, posiadającego takie a takie rzemiosło. W ten sposób, zanim nędzarz zostanie pozostawiony sam sobie, dadzą mu pewien fach, pewien sposób do życia.

Głównem zadaniem tej instytucji: zapewniać pensjonarzom byt niezależny.

Zakład przygarnia jednych, odsyła drugich do miejsc rodzinnych.

Od swego utworzenia, w r. 1892, zakład przygarnął 2631 mężczyzn i 619 kobiet, czyli razem 3250 osób. Z liczby tej 1060 otrzymało za pośrednictwem instytucji posady ogrodników, mechaników, litografów, kluczników, praczek, wszyscy mają byt zabezpieczony, wszyscy zostali ocaleni od nędzy, od próżniactwa, a może i od występków. Jeden ze wspomnianych jest dyrektorem więzienia w Dokar; inny dyrektorem fabryki w Besançon.

Podczas mojej rozmowy z dyrektorem zakładu wszedł jegomość, ubrany przyzwoicie, nawet wykwintnie. Przybywał oznajmić o swoim ślubie z młodą panią z dobrej rodziny. Szczęście było mu z oczu.

Po jego odejściu, dyrektor rzekł do mnie:

— Widziałeś pan tego chłopca. Jest obecnie rachmistrzem w dużym magazynie bławatnym. Ktoby to powiedział, że to nasz dawny pensjonarz. Zakołatał tu przed laty pięćciu. Przez podarte spodnie przezierają mu nagie kolana. Był żywym łachmanem. Dopuszczał się jakichś nieformalności w domu bankierskim, w którym był urzędnikiem. Wypędzono go. Popadł w nędzę. Jego żal był szczery. Odczułem to w głosie, i przyjąłem go tutaj. Widziałeś pan, na co się wykierował.

Takich „cudów“ może dokazać rozumnie pojęte miłosierdzie.

Zakład przygarnia nędzarzy paryzkich, pomaga do powrotu w strony rodzinne ludziom, przybyłym z prowincji dla szukania w Paryżu fortuny, a którzy natomiast znaleźli tu nędzę.

Takich zawiedzionych jest bardzo wielu; zwabia ich do stolicy nadzieja łatwego zarobku; sprzedają kawał gruntu po „ojcach“, robią zawiniątko z odzieży i przybywają do Paryża z pięćdziesięciu frankami w kieszeni.

Oszołomieni gwarem, ruchem, znajdują się nagle wśród pustyni, jaką jest Paryż dla ludzi, którzy nie mają tu niko- go; jeśli jakiś sprytny oszust nie wyłudzi od nich naraz ca- łego mienia, błakają się na chybił trafił, szukając zajęcia. Wszędzie przepelnienie.



Na ulicy Montparnasse

Wyjmowanie fiszbinów, zdalnych jeszcze do użytku, — ze starych gorsetów.

za dymem własnej chaty. Lecz jakże do niej wrócić?

Jeśli udadzą się do zakładu, ten ułatwi im powrót. Nie da pieniędzy do ręki, bo nędzarz mógłby je stracić. Kupuje mu się bilet, odprowadza

go się na kolej, oddając pod opiekę konduktora, który go odstawia do miejsc rodzinnych.

W ten sposób zakład wyratował 1152 ludzi od nędzy i zagłady.

Zresztą nie znają żadnego r z e m i o s ł a. Szczupłe zasoby wyczerpią się niebawem, a wtedy ogarnia tych nieszczęśliwych żal za ziemią rodzinną,



Stare sematy, rozsortowane odpowiednio, służyć mogą do wyrobu filcu.

Praczkі i stolarze. Siostry St. Antoine.

Najważniejszą działalnością może się poszczycić zakład, utworzony na tych samych podstawach, lecz zamożniejszy i prowadzony na większą skalę.

Jest nim gościnny przytułek pracy, założony w Auteuil, w r. 1880 pod kierownictwem p. Leona Léfébvre i sióstr Najświętszej Panny Kalwaryjskiej; przełożoną jest siostra Saint - Antoine.

Celem tego zakładu, jak opiewają statuty jest: udzielać bezpłatnego czasowego przytułku, bez różnicy narodowości i religii każdej kobiecie, pozbawionej dachu, a pragnącej zarabiać uczciwie na życie, oraz pomagać im w znalezieniu uczciwego zajęcia, któreby zapewniły im przyszłość. Taki sam zakład powstał w r. 1892 dla mężczyzn w gmachu przyległym.

Wchodzimy do istnego ula. brzęczącego pracą.

Zacznijmy od oddziału kobiet. Oto naprzód łąka, zasadzona drzewami; od jednego do drugiego przeciągnięte sznury na których zwinne i czyste dziewczęta zawieszają bieliznę. Nowoprzybyłych uczą przedewszystkiem prania. Otrzymują one wzamian po 1 fr. 50 cent. dziennie gotówką, a mieszkanie i pożywienie za bardzo niską opłatą; nadto mają pół dnia na tydzień dla poszukiwania zajęcia.

Dalej pralnie. Kilkadziesiąt par rąk mydli bieliznę w kamiennych basenach. Ogłusza cię straszny hałas: to mechaniczne przyrządy do prania zgrzytają i piszczą. W przyległej sali ogromne metalowe cylindry prasują bieliznę, nadając jej świetny połysk.

Wszędzie porządek, wzorowa czystość, a przytem mile uderza wesołość robotnic; śpiewają, śmieją się przy pracy.

Jak smutnem, jak występniem może, byłoby ich życie, gdyby ten zakład dobroczynny ich nie przygarnął!

Mężczyźni zajmują budynek środkowy, tak iż dla obu refektarzy jest tylko jedna kuchnia. Pensjonarze uczą się stolarstwa i ciesielstwa. Pod dozorem naczelników warszta-

tów wyrabiają meble z niepoliturowanego drzewa, wiadra do stajni, wieszadła na uprząże, ławki ogrodowe, stoły kuchenne, pułki, szafy jesionowe i t. p.

Codziennie pełne wozy odwożą towar do miasta; albowiem praca jest tutaj produkcyjna i dopomaga w znacznej mierze do utrzymania zakładu.

Stolarstwo nie jest jedynem zajęciem mężczyzn. Ci, którzy są do niego niezdatni, gręplują materace, skubią włosień.

Dla pomieszczenia tych ludzi urządzony jest o dziesięć minut drogi od warsztatów hotel ze 103 łózkami. Po przedstawieniu biletu na nocleg, każdy może tam wejść do ósmej wieczorem. O siódmej zrana wszyscy muszą być na nogach.

Zarobek mężczyzn wynosi po 2 fr. dziennie; za mieszkanie płacą 35 cent.; za jedzenie w stosunku do konsumpcji, zbytecznym byłoby dodawać, że mięso i jarzyna liczone są po cenach najniższych.

Kobiety mogą przebywać w tym zakładzie czterdzieści dni, zaś mężczyźni dwadzieścia dni najwyżej, lecz przeciętnie pozostają tam dwa tygodnie; przez ten czas znajdują zarobek.

Gmachy mogą pomieścić 100 mężczyzn i 160 kobiet, a więc w ciągu roku dają przytułek 5000 ludziom. Przez lat piętnaście znalazło tu schronienie 38,518 kobiet, zarobiły przeciętnie 70,000 fr.; stosunek tych, którym wyszukano zajęcie, wynosi 78 na 100.

Wreszcie w r. 1898 do pierwotnej instytucji przyłączono zakład, dający pracę w domu.

Celem jego: dostarczać szycia ubogim matkom, które nie mogą opuścić dzieci i gospodarstwa. Dla sprzedaży tych robót urządzone są dwa sklepy w Paryżu i w Auteuil.

Ubody robotnicy stają się drobnymi właścicielami.

Dotychczas widzieliśmy tylko zakłady, za pomocą pracy wspomagające w mieście. Ale jest jeszcze inna pomoc, świeżo wytworzona, a rozwijająca się szybko, odpowiada bowiem zasadzie sprawiedliwej; jest to wspieranie za pomocą pracy na roli.

Taka praca jest daleko zdrowsza, niż miejska. Czy nie możnaby każdemu robotnikowi, któremu nie wystarcza dzienny zarobek, oddać do rozporządzenia kawał gruntu, któryby on sam uprawiał?

Sprzedż jarzyn dopomogłaby mu utrzymać siebie i rodzinę. Dając grunt, udzielonoby mu daleko większą zapomogę, niż gdyby mu wręczono pieniądze, wydane na wynajęcie pola i pokrycie koniecznych wydatków. Ale przede wszystkim byłoby to wielką zapomogą moralną.

Francuz przywiązany jest do ziemi, a to przywiązanie tradycyjne zespala się z wielu cnotami. Rodzina zogniskowałaby się na tym szmacie ziemi, pracowanoby wspólnie, wdrażanoby się do oszczędności, przezorności i pracowitości, do życia przyzwoitego, normalnego.

Ubody robotnik, pozostawiony dawniej na pastwę wszelkich pokus, i służalczej zależności, stałby się drobnym posiadaczem.

Taki cel przewodniczył założeniu Ogródków dla robotników.

Kobieta rozumna i z sercem, pani Hervien, była pierwszą wykonawczynią tego wzniesłego zadania. Jako właścicielka dużej fabryki sukna w Sedanie, stykała się z robotnikami i ubolewała nad ich nędzą. Od lat wielu wspomagała biedną rodzinę, złożoną z dziesięciu członków, ta rodzina mimo częstych wsparć, pogrążona była w ustawicznym niedostatku.

Otóż pani Hervien wpadła na pomysł szczęśliwy: zamiast pomocy w gotówce, wynajęła tym ludziom ogródek, zaopatrzyła ich w narzędzia, nasiona i nawóz. Zabrano się do roboty, z początku bez zapalu, ale niebawem rozwinęło

się zamięłowanie; jarzyny zaczęły wschodzić, dając nie tylko pożywienie, ale nawet zyski. Taki był porządek przedsię-



Positek po pracy.

Po ukończeniu pewnej części pracy, biedny otrzymuje miskę gorącej zupy.

biorstwa Ogródków robotniczych w Sedanie. W roku 1893 wynajęto dwa pola, przestrzeni 14,000 metrów kwadratowych,

podzielono je na 27 rodzin. Co rok nowe pola oddawane są do rozporządzenia coraz to nowych rodzin.

Przy współdziałaniu pań z Sedanu, pani Hervien prowadzi w dalszym ciągu to przedsięwzięcie dobroczynne, mimo trawiącej ją choroby. Żyje ona tylko dla tych, których wspomaga.



Nędzarz.

Starzec o pięknej postawie, z długą brodą i długimi białymi włosami, — uprząta za kilka groszy — trotuar przed kawiarnią.

Dopuszcza ich do siebie każdej chwili; wysłuchuje ich próśb, ich skarg; jeśli tylko może z domu wyruszyć, odwiedza swoje ogródki; dopytuje się, radzi, zachęca, wkłada w to zadanie zapał młodzieńczy, pomimo iż wiek posrebrzył już jej włosy.

Ogródki, rozposcierające się dokoła miasta, zajmują przestrzeń 200,000 metrów kwadratowych; 321 rodzin, złożonych z 1251 członków, utrzymuje się z ich uprawy. Idąc za przykładem pani Hervien, jezuita, O. Volpette otwo-

rzył podobną instytucję w środowisku robotniczym, w Saint-Etienne. Od założenia, w roku 1894, O. Volpette rozdał 410 rodzinom, złożonym z 2460 osób, 18 hektarów ziemi, tworzącej 410 ogródków.

Na wynajęcie gruntu, na kupno narzędzi, nasion, nawozu, na sprowadzenie zaopatrzenie w wodę wydano 15,498 fr. 40 cent.; w trzech pierwszych latach — 9248 fr. 70 cent.; jarczyny w tym okresie przedstawiły wartość 34,400 fr. A zatem pomnożono o pięćkroć do sześciukroć zapomogę, udzieloną.

Moralne rezultaty, już osiągnięte, przewyższyły wszelkie nadzieje. Jeden ze świadków tych usiłowań Ojca Volpette w Saint-Etienne stwierdza, że w robotniku, przedzierzgniętym w drobnego właściciela, wyradza się zamiłowanie do życia przyzwoitego, regularnego, do oszczędności.

„Otrzymawszy ogródek, robotnikowi chodzi o jaknajwiększy z niego dochód, oszczędza, żeby mieć za co kupić nawóz; (zarząd go zwozi, ale nie kupuje); aby dostać rozmaitych nasion, gdy zarząd dostarcza tylko kartofli. W ten sposób rozwija się inicjatywa osobista i poczucie odpowiedzialności, dzięki którym nieszczęśliwy robotnik, przygnębiony dotychczas i zniechęcony bezużytecznością swoich wysiłków i nieprzewyciężonemi niekiedy przeszkodami w walce o byt, nabiera otuchy, krzepi się nadzieją“.

Przedsięwzięcie Ogródów robotniczych w Saint-Etienne zrodziło drugie; budowę domów dla robotników.

Zapoczątkowanie wyszło już nie od O. Volpette, lecz od samych robotników. Te domy są różnorodne: jedne bardzo proste i małe, inne zbudowane z cegły lub kamienia, mają dwie izby duże i widne, obórki, szopę na warsztat stolarski, a nawet gołębnik.

Dzieje tych budowli są ciekawe. Pierwsza została wzniesiona przez dawnego górnika, niezdolnego już do pracy w kopalni. Miał 200 metrów ogródka, psa, kózę, kota i wreszcie żonę, z którą żył w ciągłej niezgodzie. Domek, który sobie zbudował, ma 4 metry długości, 3 metry szerokości i 2 wysokości, ściany pochyłe, nierówne, dach kryty dachówką, gontami, kamieniami, kawałkami blachy. Rozumiejąc, że trzeba go ozdobić, posadził dynie, liście rozpostarły się szeroko, owoce rodzą się na dachu. Pies, kot, koza a nawet żona są zadowolone; życie płynie zgodnie.

Inne domki, daleko lepiej zbudowane, odznaczają się wielką czystością, dając schronienie licznym rodzinom.

Ogródki oddzielone drucianymi siatkami, aby nie stracić jednego cala ziemi, grunt często nieurodzajny, wymaga starannej i pracowitej uprawy, aby mógł wydawać kapustę, sałatę, kartofle.

Wyobraźmy sobie te skromne, proste domeczki, dające jednak robotnikom błogie poczucie, że mieszkają u siebie, że własnoręcznie zbudowali te ściany na gruncie, który za swój uważają.

Wszak to najwarowniejsza twierdza, chroniąca od nędzy, żebractwa, pijaństwa i rozpusty.

Widzimy jakie owoce przyniosła już po kilku latach myśl wspomagania nędzy przez pracę. Wyświadczone usługi, i otrzymane rezultaty, są widoczne, namacalne.

Dziś już można łatwo obliczyć, ile dobrego przyniosą podobne instytucje w miarę rozwoju.

Zapewne, nie stłumią nędzy, nie można się też spodziewać, aby stłumiły namiętności i nałogi. Nie zastąpią miłosierdzia, które jest konieczne wobec naglących potrzeb, nieuleczalnej choroby. Nie powinny też robić nieuczciwej konkurencji pracy dobrych robotników, przez obniżenie ceny zarobków.

Istnieją na tem polu pewne niebezpieczeństwa, których uniknąć należy, są pewne udoskonalenia, które skutecznie trzeba; ale zasada jest dobra i słuszna. Przeciwwstawia się nędzy lekarstwo skuteczne, wpływające z samej natury chory. Jeśli prawdą jest, że lenistwo bywa głównym czynnikiem nędzy i najgorszą sprężyną zepsucia, zatem lenistwo zwalczać należy. Wspomaganie przez pracę opiera się na stwierdzeniu zasad moralnych, zarówno jak ekonomicznych, stara się uświęcić to niezaprzeczone prawo każdej ludzkiej istoty: prawo do życia wśród pracy.

Z PRASY.

W Poznańskim.

W ostatnim zeszycie „Biblioteki Warszawskiej” znajdujemy artykuł „Stosunki społeczne w Poznańskim”. Straszna walka o narodowość, jaką rodacy nasi toczą z rządem pruskim i z dużą częścią społeczeństwa niemieckiego, nie tylko nas interesuje, ale pali. To rzecz nie tylko sercu tkliwa, ale ważna! Każdemu w mózgu tkucze się pytanie: czy wytrzymają? I każdy chciałby mieć odpowiedź pewną.

Nie tylko my w tę stronę zwracamy trwożne oczy. Inne narody interesować się poczynają zarówno wściekłością napadu, jak wytrzymałością obrony. Nic dziwnego, stary świat nasz wiele już widział, ale w tem szamotaniu się o ju narodowe wiele jest nowego, nieznanego. W prasie francuskiej, szwajcarskiej, włoskiej coraz ukazują się artykuły o sprawach poznańskich, dzienniki narodów słowiańskich poświęcają im często sporo miejsca. Świeżo zajmuje się parę pism rosyjskich.

Wspomniany artykuł w „Bibliotece Warszawskiej” udatnie historje stosunków streszcza, rzuci wiele światła i zawiera niejedną myśl trafną. To też dajemy go czytelnikom naszym.

Gdy mieszkaniec Królestwa Polskiego lub Galicji przyjeżdża do Księstwa Poznańskiego i widzi po raz pierwszy kraj i ludzi, odnosi zapewne smutne wrażenie, że dla narodowości polskiej tu niema nadziei.

Na kolejach żelaznych, na ulicach i w urzędach, polskiego języka prawie nie usłyszy, wszędzie znać wiekowe rządy pruskie, po wszystkim przeszedł obcy, niwelujący strychulec. Nawet chłop wielkopolski, o którym był słyszał może, że to najsilniejsza podpora polskości, nie jest już tym

polskim chłopem, do którego oko jego przywykło, nawet krajobraz zatracił ogólnie poczciwy, swojski charakter. A gdy przyjrzy się ludziom dłużej, utwierdzi się zapewne jeszcze w swoim mniemaniu. Mody i nawyknienia niemieckie oponowują bezwiednie coraz szersze warstwy ludności. Niemiecki język, tak bogaty w wygodne i utarte zwroty, wciska się w każdą rozmowę. Niemiecka nauka i sztuka działają silnie na rozumowanie i wyobraźnię. Czyż-by więc rzeczywiście cel germanizatorów był już osiągniętym i czyż-by obyczaj niemiecki, owo „Deutsches Wesen“, o którego wyższości tyle słyszymy, już wniknął w krew polskiej ludności? Warto się nad tem bliżej zastanowić.

Księstwo Poznańskie od stu lat blisko przedstawia anormalne zjawisko organizmu żyjącego bez głosu, bez środowiska, w którym-by się skupiały jego czynności życiowe, i z którego-by nowe prądy do peryferji się rozchodziły. Poznań nie był miastem stołecznem, Kraków i Warszawa absorbowwały z dawien dawna życie polityczne i umysłowe Wielkopolski. Gdy więc przez kongres wiedeński związek ten naturalny został ostatecznie przerwany, księstwo Poznańskie przez tę amputację zostało zupełnie zdezorientowane. Odrębnością przeszłości i cywilizacji, oraz pewnem gburowatem parweniuszostwem, Berlin zrażał tych wszystkich, którzy zasmakowali w wykwintnej kulturze Paryża lub Paryża północy, Warszawy. A istniał w początkach dziewiętnastego wieku jeszcze żywy związek z cywilizacją francuską, ożywiony przez epokę napoleońską, a podtrzymywany później przez ciągle stosunki z paryską emigracją. Wielu znowu z pomiędzy poznańskich obywateli spędziło młode lata na służbie wojskowej lub cywilnej w Warszawie, niektórzy z nich brali nawet czynny udział w duchowym i literackim jej życiu. Około tych jednostek górujących nad resztą społeczeństwa inteligencją, wykształceniem i wspomnieniami, grupowało się życie towarzyskie i umysłowe prowincji. Stopniowo jednak zasoby te wyczerpywać się zaczynały. Stosunki z Francją ustawały, w Warszawie życie przycichło, należało więc skądinąd soki odżywcze czerpać. Trudno było bowiem stać o własnych tylko siłach. Polski ruch umysłowy nie odpowiadał na różnych punktach uprawnionym wymaganiom panującego społeczeństwa. Literatura nasza 19-go wieku, tak niezmiernie bogata i piękna, utrzymywała w wysokim stopniu przywiązanie do kraju i ideałów rodzinnych, nie wnikała jednak we wszystkie codzienne potrzeby narodu. Stworzona w znacznej części przez tych, co żyjąc za granicą tęsknili po kraju, nosi ona charakter prawie wyłącznie ide-

alny, czasem wprost elegijny, rzadko kiedy praktyczny. Pobudzała ona więc do miłości kraju, do heroizmu i ofiary, nie uczyła jednak prozaicznej pracy i narzędzia w rękę nie wkładała. Wzrost pracy oraz rozwój literatury naukowej, zawodowej i popularnej, nie szedł jednym krokiem z rosnącymi wciąż wymaganiami i potrzebami społeczeństwa. Trzeba więc było z konieczności u obcych się zapożyczać. Najbliższymi ze wszech miar byli Niemcy. Naród niemiecki, rozwijający się ogromnie pod względem oświaty i nauki, podawał na każde zapotrzebowanie materiały, aż nadto obfity. Co więc było niezbędnem brano ze źródła niemieckiego, a bez czego obyć się było można, tego ze względów patriotycznych, dla wygody i wreszcie z pewnej antypatii wrodzonej do ciężkiej niemieckiej formy, nie brano wcale i — jakoś się obywno. Stało się to jednak dla życia nietylko duchowego ale i materialnego Wielkopolski nad wyraz zgubnym. W obecnym czasie, kiedy tradycyjnie zachowawczy kierunek ustąpić musiał dążeniom postępowym, pobudzonym nieustannie przez gorączkową konkurencję na wszystkich polach, kiedy narody nawet najpracowitsze musiały i muszą wszelkich sił dokładać, aby w walce o byt nie zginąć, w takiej-to chwili skazaliśmy się dobrowolnie na duchową inercję i bierność. Mimowoli nasuwa się porównanie z trwożliwym sługą ewangelicznym, który z obawy przed utratą powierzonego talentu, zakopał go w ziemi, aby oddać nienaruszonym. Niestety, w świecie kto nie postępuje, cofa się, a kto nie działa, ginie.

Długie lata społeczeństwo poznańskie leżało, częścią leży jeszcze, w umysłowym letargu. Polskie usposobienie, do wygody, nawet do lenistwa skłonne, zachęcało jeszcze do trwania w tym stanie odrętwienia. Wszystkie hasła brzmiały negatywnie, obrona tradycji, zachowanie dobytku, stanie na straży godności narodowej, oto do czego naród wciąż wzywano, nikt prawie nie wołał, że trzeba iść wciąż naprzód, że nieustanne wyteżanie sił tylko wyratować nas może, że wreszcie tylko żywy i silny organizm potrafi się odmładzać i asymilować sobie obce żywioły. Nie uwzględniano więc prawie otwierających się wciąż względy nowych pól nauki i czynności ludzkiej, a przykład w tym względy dawały zamożniejsze klasy, poświęcając się z upodobaniem studjom prawa, tej negatywnej par excellence nauki. Materialny i moralny spadek po przodkach odziedziczony, uważano zbyt często nie jako zadatek dalszej pracy i dalszego rozwoju, lecz jako nienaruszalną całość, którą w całości przejąć, uszanować i dalej przekazać wypada. Tak więc na niejednym polu

zachowaliśmy z tradycji to, co bez wysiłku i pracy utrzymać się dało, a zatem balast niepotrzebnych nieraz nawyków, a ducha ożywczego zatraciliśmy powoli. Społeczeństwo poznańskie stało się bezbarwnem i anemicznem. Nie mogło żyć pełnem życiem własnem, narodowem, a z Niemiec przejmowało też nie najlepsze własności. Zdaje się bowiem, że jest to reguła przy zapożyczaniu się u kultury obcej, że najpierw przejmuje się strony ujemne i błahe, a rdzeń zalet i dodatnich ideałów puszcza się mimochodem. Z Francji wzięliśmy w 18-ym wieku ogładę światową, frazesa o wolności, lekkomyślność; oszczędności nie umieliśmy sobie przyswoić. Podobnie zachowało się społeczeństwo Wielkopolskie w stosunku do Niemiec. Poza rozwojem politycznym i woj-skowym Niemcy w ciągu ubiegłego stulecia odznaczyły się przedewszystkiem ogromnym przyrostem naukowego i filozoficznego dobytku, a w ostatnich dziesiątkach lat wprowadziły świat w zdumienie nadspodziewanym rozwojem handlu i przemysłu. Otóż na tych właśnie dziedzinach nie obudziło się w Księstwie Poznańskim ani poważne współzawodnictwo, ani nawet szczere naśladowanie. Brano to, czego walka o byt niezbędnie wymagała, o resztę mało się troszczono. Najbardziej zaśniedziała klasa ludności niemieckiej, pruskie jun-kierstwo, najsilniej jeszcze oddziaływało na społeczeństwo wielkopolskie.

Na wzór pruskich junkrów zasklepiło się obywatelstwo poznańskie w ciasnem kole pojęć, prac i rozrywek wiejskich, niebaczne, że wkoło niego młode życie budzić się i pulsować poczynąło. Pracował więc każdy, nieraz ciężko a jałowo, w roli, a pod jego boki rozrastały się miasta, budził się handel i przemysł, krzewiła się prasa i oświata ludowa, znajdując na usługi swoje tylko wybiórki z klasy obywatelskiej, która ciągle jeszcze skupiała w sobie największy dobrobyt i wykształcenie. Tymczasem przysły na rolnictwo niepowodzenia, klęski i długotrwałe przesilenia. Zaczęto się burzyć, zasklepiac się coraz bardziej, nabierać pojmowania życia ciasnego, filisterskiego i beznadziejnego.

Ten stan rzeczy, który, po dawnem hucznym i lekko-myślnem życiu, był może niezbędną i w pewnej mierze zbawienną reakcją, oddziaływał deprymująco na duchowe życie społeczeństwa. Wytworzyła się w umysłach atmosfera płasko pozytywna, która tylko w zysku, pieniądzach i materialnem używaniu cel życia upatrywać się zdawała, drwiła z wszelkich idealniejszych popędów, a czynności nie obliczone wprost na materialny zarobek uważała za mrzonki półgłówków. Tak wypadła przetłómaczona na polskie niemiecku

trzeźwość i praktyczność. Staliśmy się miernymi kopiami, kiedy trzeba było być po prostu samym sobą w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tylko w tych warunkach mogliśmy żyć i rozwijać się normalnie dalej.

To też błąd na tym punkcie popełniony obniżył poziom życia umysłowego i dał się odczuć we wszystkich niemal dziedzinach życia społecznego. Swoboda duchowa, która wypełnia godziny wczasu amatorstwem uaukowem lub artystycznym dyletantyzmem, zginęła prawie bez śladu. W braku szlachetniejszych rozrywek, opromienionych odbłyskiem kultury umysłowej i wykwintnego gustu, lubowano się prawie jedynie w zdawkowym komforcie i zbytku, w dobrej kuchni, koniach, polowaniach etc. Ci nawet, których zadaniem jest lub być powinno przechowywanie tradycji i poszanowanie wyższej cywilizacji oderwanej od troski o jutro, wielcy panowie i bogaci obywatele, z nielicznymi wyjątkami wprzęgli się do pracy rolnej i mają myśl prawie wyłącznie zajętą zagadnieniami dotyczącymi ogółu klas rolniczych. U niejednych jest i było w tem sporo amatorstwa. Nieraz powiedziec-by można, że oko pańskie, zamiast konia tuczyć, głodziło go bez litości, niemniej jednak przyznać trzeba, że ta jednolita dążność wszystkich warstw ludności do jednego celu uzbroidła społeczeństwo w pewną siłę i jędrność, której innym dzielnicom polskim brakować się zdaje. Szkoda tylko, że stało się to kosztem owego szlachetnego wdzięku, jaki nadaje ogląda umysłowa, wdzięku, będącego siłą zarazem, gdyż jemu w niemałej części zawdzięczaliśmy dar łatwego przyswajania sobie obcych elementów. Żadna jednak siła zupełnie nie ginie, i ta więc, pod inną postacią tylko, objawiła się znowu nabytą przez wieki cywilizacją. Przenosząc się z całym taborem do obozu rolniczego, szlachta wielkopolska umiała nadać temu nowemu polu działania pewien szlachetniejszy charakter. Obywatel wiejski, którego zwykliśmy widzieć w utarczkach z żydowskim faktorem lub w naradach z ekonomem rutynistą, zaczyna zbliżać się w Wielkopolsce do typu angielskiego gentleman-farmera, traktującego swój zawód z zamiłowaniem i znajomością rzeczy. Samo zajęcie stało się czystsze, wytworniejsze, oparte raczej na umiejętności obliczania i przewidywania, niż na mechanicznym doglądaniu i pilnowaniu robót polnych. Zawodowe wykształcenie wzrosło w ostatnich dziesiątkach lat bardzo znacznie.

Trudno spotkać wśród ziemian wielkopolskich człowieka, nie posiadającego choć elementarnej znajomości w swoim zawodzie. W niepośledniej mierze przyczyniły się do tego

towarzystwa rolnicze, rozgałęzione na całą prowincję, a zbierające się na walne zebrania raz do roku w Poznaniu. Kierowane umiejętnie i sprężyste przez prezesa swego, pobudzają one najszerze warstwy ziemiaństwa do pracy rozwaznej i myślącej oraz do zapoznania się z coraz nowymi nabytkami nauki, tak teoretycznej, jak doświadczalnej. To też rozpowszechnienie wiadomości z dziedziny chemji, fizyki, biologji i pokrewnych nauk jest wśród ogółu rolników stosunkowo znaczne. Temu też w niemałej części zawdzięczać możemy postęp ekonomiczny, który Księstwo Poznańskie w ostatniem półwieczu uczyniło. Trudno zaprzeczyć, że te nauki ściśle i czysto przyrodnicze nie mogą zastąpić w rozwoju jednostki nauk ogólnoludzkich, gdyż zawsze humaniora pozostaną dla umysłów wyższych najlepszą szkołą i drogą rozwoju, wymagają one jednak umysłu tak swobodnego od kłopotów codziennych, że wśród społeczeństwa pracującego mało znajdują miejsca. W każdym razie czynność umysłowa jaka bądź, choćby spowodowana względami praktycznej natury, jest tysiąckroć lepszą od bierności i lenistwa, i trzeba powitać z radością postęp na tem polu, jako reakcję przeciw zastoju, który długi czas w społeczeństwie wielkopolskiem panował.

Nie należy przytem zapominać, że przez cały wiek dziewiętnasty ekonomiczne warunki, ciężące dotkliwie na rolnictwie, a zwłaszcza na wielkiej własności ziemskiej, stanowiły tło, na którem rozwijało się życie Wielkopolski. Poczawszy od wojen Napoleońskich nie zasnęła ona właściwie ani chwili swobodnego i normalnego rozwoju. Zaledwie zagrożone zostały ciężkie rany, zadane przez kilkunastoletnie wojny, gdy wprowadzono w czyn uwłaszczenie włościan. Rzecz sama w sobie racjonalna i ekonomicznie zdrowa, wymagała jednak od społeczeństwa ogromnego materialnego wysiłku, a klasą, która go odczuła najsilniej, było to naturalnie znowu obywatelstwo wiejskie. Dlatego było ono w chwili, kiedy rozpoczęły się przesilenia gospodarskie w całej Europie i kiedy zmiana systemu rolniczego wymagała nowego wkładu kapitału, nie tylko kapitału tego pozbawione, ale było zadłużone już znacznie i weszło w szranki, uginając się pod ciężką nadwagą. Nie dziw też, że nieustająca troska o chleb powszechni odjęła mu polot i fantazję, której do harmonijnego rozwoju wszystkich władz umysłowych potrzeba.

Jeżeli mówimy tu wyłącznie prawie o stanie szlacheckim, obywatelskim, to dla tego, że on jeden prócz ludu wiejskiego, o którym poniżej, miał odrębny swój charakter,

tworzył stan historycznie rozwinięty, żyjący własnym życiem duchowem. Stan średni, mieszczański, nie posiada dotychczas cech wyraźnych, nadających mu odrębną indywidualność. Wydał on i wydaje z siebie jednostki wybitne, górujące umysłem i stopniem cywilizacji po-nad ogółem, lecz takie jednostki wszędzie zdarzyć się mogą, nie dają jednak miary całej klasy społecznej. Wystarczy wspomnieć tu d-ra Marcinkowskiego, który wyprzedził całą swoją generację o lat kilkadziesiąt, a założeniem towarzystwa pomocy naukowej stał się odrodzicielem, jeżeli nie wprost twórcą, rozwoju niższych warstw społeczeństwa wielkopolskiego. Ogólnie mówiąc, twierdzić można, że charakter duchowy mieszczaństwa wielkopolskiego, jak i może polskiego w ogóle, jest zapożyczony od szlachty, choć bezwiednie nieraz i mimowoli, albo też od sąsiedztwa niemieckiego. I dziwić się temu trudno. Jeżeli bowiem prawdą jest, że na kierunek, jaki życiu nadajemy, wpływa niepomierne ideał, jaki nam wyobraźnia przed oczy stawia, to dotychczas w polskim stanie mieszczańskim nie było takiego elementu, który-by imaginację elektryzować i za sobą pociągać potrafił. Nie zaznał on jeszcze tego długotrwałego dobrobytu, który jedynie wyższą kulturę wytworzyć może i jest wstanie opromieniać całą warstwę narodu ponętą aurelą. Nie egzystował u nas nigdy zamożny patrycjat, jak w miastach włoskich lub hanzeatyckich. Tam od wieków mieszczanin uosabiał wytworność i ogładę, urbanitas, u nas tego nie znano wcale. W oczach szlachty, a nawet ludu, mieszczech, łyk, był zawsze istotą podrzędną, o umyśle ciasnym i wyłącznie na zysk skierowanym. Nie dziw, że nie pociągał ku sobie, i że nawet w łonie własnego mieszczaństwa kto się dorobił majątku, starał się wyjść ze swej sfery i podszyć się pod świetną, butną i okazałą szlachtę. Choć istota rzeczy zmieniła się teraz niemało i życie swobodne częściej w mieście, niż na wsi spotkać można, jednak dawne nawyki i poglądy zupełnie jeszcze nie zagięły i widzimy dotąd mieszczańskich, którzy na szlachetcyzną pozować-by chcieli. Z drugiej strony wpływ niemiecki jest w stanie średnim poznańskim nadzwyczaj wielki. Wiele rodzin jest niemieckiego pochodzenia, inne lata całe w Niemczech spędziły, wszyscy prawie mężczyźni czerpali naukę teoretyczną i praktyczną z Niemiec, i przeżyli najlepsze lata życia w niemieckich ożywionych centrach, wobec których słabo pulsujące życie Poznania, a tembardziej prowincji, mierną wydawać im się musi odbitką.

Mimo tego bezwiednego nasiąknięcia niemczyzną, świadomość narodowa w tej właśnie klasie posunięta jest nieraz

do radykalizmu i dowodzi tylko prawdziwości faktu tak często napotykanego, że poczucie odrębności lub nawet nienawiści warstw towarzyskich lub narodowych między sobą nietylko się nie zmniejsza ze zmniejszającymi się różnicami, które je dzieli, lecz, przeciwnie, stosunkowo wzrasta i potęguje się.

Nie można jednak nie przyznać, że duch gorącego, czasem może nawet gorączkowego, patriotyzmu, oddziaływa znowu i na ustroj życia duchowego tej klasy. Pobudza on ją do zbliżenia się ku tradycji narodowej, zachęca do pielęgnowania języka polskiego, dźwigania nauki krajowej, i t. p. Przytem uwzględnić trzeba, iż jeżeli stan średni nie stoi zbyt wysoko na skali cywilizacyjnej, to prócz przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych nader niekorzystnie na niego wpłynęły. Samym duchem żyć nie można. W miarę więc, jak przestały istnieć dla Księstwa Poznańskiego stanowiska materialnie uposażone, a umożliwiające i ułatwiające pracę umysłową, w miarę jak usuwać poczęto Polaków z profesur gimnazjalnych, bibliotek i archiwów, resztki życia umysłowego wśród tych warstw zamierać poczęły. Było-by się to częściowo wyrównało, gdyby była w równej mierze wzrosła czynność na polu praktycznym. Lecz i to nie nastąpiło, a przynajmniej nie w dostatecznej mierze. Polska gazeta, polskie przedsiębiorstwo lub fabryka, mają wielką trudność w wyszukaniu siebie odpowiednich kierowników i pomocników, odpowiednich ze wszech miar nowoczesnym wymaganiom. Wynika to z tego, iż przez długie lat dziesiątki społeczeństwo polskie ograniczało się prawie wyłącznie do życia wiejskiego. Kto nie chciał lub nie mógł iść w tym kierunku, musiał szukać pola działania poza granicami Księstwa Poznańskiego. Stąd powstała emigracja inteligencji do Galicji, częściowo i do Królestwa, stąd zaludniły się miasta niemieckie wielką ilością kupców, przemysłowców i techników polskich, którzy, nie znajdując w kraju odpowiedniego zatrudnienia, poszli szukać go gdzieindziej i w znacznej części przepadali dla polskiej narodowości. Są oni bowiem w trudniejszym położeniu od prostych robotników, idących za zarobkiem do niemieckich fabryk. Robotnik taki uważa czas tej pracy, zwykle ciężkiej i mozolnej, za stan przejściowy, który odbyć musi, żeby mózdz powrócić do swoich zamożniejszym i niezależniejszym. Wymagania jego intelektualne są niskie, polska gazetka i książka do nabożeństwa wystarczają mu w tym względzie, a towarzystwa polskiego w wielkich centrach fabrycznych nie brak teraz prawie nigdy. W ostatnich latach wielkie zapotrzebowanie robotników ugruntowa-

to jeszcze niezależność zapatrywań i opinii w klasach robotniczych, a samowiedza swej siły, która przerzuciła wielu do obozu socjalistycznego, nadała wszystkim odwagę swych przekonań i poczucie niezależności od moralnego wpływu chlebodawcy. Inaczej rzecz się ma z mieszczaninem lub wykształconym pracownikiem. Ten, wpadając w otoczenie niemieckie, a będąc w stanie zrozumieć je i żyć jego życiem, podlega samą siłą rzeczy wielostronnym zewnętrznym wpływom. Często kończy się na małżeństwie z Niemką, a wtedy dzieci prawie niechybnie się niemieczą, zachowując tylko polskie przekręcone nazwisko.

Pozorna sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy faktem, że w Wielkopolsce na posady trudno znaleźć Polaków, a znaczna ich znowu ilość emigruje do Niemiec, tłumaczy się ekonomicznymi względami. Przemysł wielkopolski, jako młody i początkujący, nie może posad swoich tak korzystnie dotować jak niemiecki, musi zatem w walce konkurencyjnej o tęgi fachowy ludzi drugim miejscem się zadawałniać i to jest dlań ciężkim bardzo warunkiem w dotrzymaniu pola swemu rywalowi. Fakt tej ciągłej powolnej emigracji poza granice Księstwa Poznańskiego ma bardzo doniosłe znaczenie. Tłumaczy on wraz z dawniejszą emigracją do Ameryki powolny procentowy przyrost ludności polskiej w stosunku do ogólnej niemieckiej, przyrost nie będący odpowiednim do bardzo silnego liczebnego rozwoju polskiego ludu, gdy się tylko uwzględnią cyfrę urodzin i śmierci. Na górnym Szląsku oraz w Prusach wschodnich i zachodnich, wynarodowienie takie silniej jeszcze się zaznacza. Niemal każdy, co w krajach tych wychodzi ponad pewien szczebel społeczny, traci grunt polski pod nogami i ulega atrakcji wielkiego niemieckiego kolosa. Niemcy też uważali to za tak naturalne i konieczne, że fakt, iż w ostatnich latach stosunki te, wskutek zaostrzonej walki narodowościowej, trochę na korzyść Polskości się zmieniły, wprowadza ich w zdumienie i gniewne oburzenie.

Mówiąc o liczebnem znaczeniu ludności Polskiej, potrącamy samo przez się o lud wiejski i roboczy, który ilością najsilniejszy, wzbudza skutkiem swego szybkiego rozwoju i dochodzenia do świadomości najwyższe zainteresowanie w obydwóch obozach. Lud wiejski znajduje się obecnie na przełomie pomiędzy dwiema epokami. Do niezbyt dawnego czasu tryb życia jego nie różnił się wiele od tego, jaki prowadzili zapewne Piast i Rzepicha. Praca tradycyjna w roli mały przemysł domowy, wystarczający na opędzenie koniecznych potrzeb codziennych, książka do nabożeństwa w nie-

działę, wieczorami opowiadania i gawędy, oto co zapełniało życie generacjom po sobie postępującym. Co u góry się działo, mało ich obchodziło, oni jak mrówki żyli blisko ziemi, z ziemi byt czerpali, do niej przywiązaniem przyrośli, nie wychodzili zwykle poza horyzont wioski, w której się urodzili. Takie wiekowe wychowanie nie mogło bez śladu zagać. Choć więc stosunki się zmieniły, pozostało w naturze włościanina Wielkopolskiego wiele zachowawczych swojskich rysów. Przedewszystkiem chciwość na ziemię, pociąg do pracy w roli i wierne przywiązanie do wiary i obyczajów katolickich. Poza tem jednak wstąpił weń duch nowy. Pod okiem administracji pruskiej, niezycziwej lecz ścisłej i sumiennej, rozwinął się dobrobyt i pewien stopień wykształcenia doszedł do najniższych warstw ludności. Dalsze kroki zrobił jednak lud sam, niezależnie od pomocy rządowej, opierając się w potrzebie o obywatelstwo i duchowieństwo swoje. W miarę jak rósł dobrobyt, wzrosły i wymagania życiowe, i praca na ich zaspokojenie stała się intensywniejsza. Rozpoczęła się więc dla niego ta nieustanna dążność naprzód, która każdą klasę ludności ogarnia, gdy na drogę postępu raz wkroczy. Obudzony wczoraj do nowego życia, lud Wielkopolski porównać można do dziecka, które żyć zaczyna, pełne jest ciekawości, próbuje sił swoich, robi coraz nowe odkrycia, myli się w obliczaniu odległości i potrzebnych wyteżeń, a przytem rozwija się tak szybko, pojmuje i przyswaja sobie tak wiele, że z dnia na dzień zmianę i postęp spostrzegać można. Szkoła niemiecka nauczyła go czytać, teraz czyta on już nie to, co rząd-by sobie życzył, on czyta gazetkę dla niego wydawaną, rozchodzącą się aż w najodleglejsze zakątki, a budzącą w nim drzemiące poczucie odrębności; teraz on stara się już przyswajać sam sobie umiejętności zawodowe, bądź to rolnicze, bądź rzemieślnicze, dające mu możność waleczenia z powodzeniem o byt materialny; teraz czuć poczyna, co mu się należy i umie przeciwstawić uczynionej mu krzywdzie bierny a nawet i głośny protest. Wiecie ludowe, które, przeciwnie do rozsiewanych przez niemieckie gazety pogłosek, nie są wynikiem jakiejś mistycznej wielko-polskiej agitacji, lecz odpowiadają szczerze potrzebom i życzeniom ludu, rozpowszechnienie pism ludowych, z których najpoczytniejsze „Przewodnik katolicki“ rozchodzi się w pięćdziesięciu przeszło tysiącach egzemplarzy, biblioteki ludowe, kółka rolnicze, związki robotników i t. d., wszystko to są dowody, jak czynnem jest tu wewnętrzne życie, którego mechaniczne środki prześladowcze nie są już w stanie stłumić.

Nie można przy tej okazji pominąć milczeniem faktu, iż rząd pruski, tak zręczny nierazi i chytry, przedsięwziął wobec ludu polskiego najniezręczniejszą politykę. Nie mamy się z tego co cieszyć, gdyż eksperymentu jego, skuteczne czy nie, odbywają się na naszej skórze jak in anima vili; stwierdzić jednak możemy, że są dalekie od osiągnięcia zamierzonego celu. Przed niezbyt dawnym czasem można było łagodnością, ustępstwami i materjalnemi faworami stłumić może poczucie odrębności narodowej wśród ludu polskiego, zrobić z niego rzeczywiście po polsku mówiących Prusaków. Nie drażniąc go walką kulturalną i szkołą niemiecką, odejmując komisji kolonizacyjnej polityczne odium przez pozwalanie ludności polskiej korzystania z jej dobrodziejstw, można było zapewne lud pomału pozyskać, a klasy wyższe usunąć nieznacznie z pola bitwy, wiążąc je za pomocą tysiącznych środków, jakimi rząd rozporządza, i zachęcając je do wyprzedawania się kolonizacji przez to właśnie, że charakter narodowy byłby jej odjęty. Po pewnym przeciągu czasu znalazłby się był rząd wobec narodowości złożonej prawie wyłącznie z ludu wiejskiego, i to ludu, któryby w znacznej części był swój i warunki istnienia rządowi zawdzięczał. Nie potrzeba bardzo materjalistycznego poglądu na świat, aby dojść do wniosku, że w tych warunkach duch narodowy byłby bardzo zbladł, nawet wśród najczernerwieńszych. Stało się inaczej i obecnie stosunek jest już zaostrozony, nieufność tak silnie rozbudzona, że nawet w razie jakiegoś zwrotu w polityce polskiej rządu, byłoby potrzeba generacji całych, aby załagodzić wytworzone sprzeczności. Postępowanie rządu polega na zupełnem zapoznaniu faktu, że stopień poczucia narodowego nie zależy od tego, czy naród jest lub nie w rzeczywistej lub idealnej zależności od drugiego narodu, i czy przechowuje lub nie nieskazitelność tradycji i języka własnego, lecz od nierozumowanej często sympatji lub antypatji i od wspólności pewnych ogólnych religijnych i społecznych ideałów. Widzimy przecież, że irlandzcy Celtowie, mimo że przejęli oddawna język swych ciemieńców, nie przestają stać w żywej z nimi sprzeczności, kiedy ciż sami Celtowie w Bretanji, mimo zachowania języka i obyczajów rodzimych, czują się synami Francji i wiernie jej służą. Tkwi w tem pewien rodzaj sprawiedliwości dziejowej, nie mistycznej wcale, ale wprost realnej i koniecznej.

Niemaló przyczyniły się też do rozdrażnienia polskich mas ludowych nieustające, mniej lub więcej jawne, zaczepki, które rząd kieruje przeciwko religji katolickiej. Sam Bis-

marck przyznawał później, że się w walce kulturalnej pomylił i składał winę na swoich pomocników i doradców; system jednak wrogi katolicyzmowi trwał dalej i, choć zgoda była pozornie zawartą, władze rządowe nie zaprzestawały różnych szykan i prowokacji. System ten, zamiast osłabić, wzmocnił tylko uczucia religijne ludu, a punkt oparcia, jaki znajdował w swoim duchowieństwie i w katolickiej partji niemieckiej, zachęcał go do stanowczości.

O stosunku Polaków do niemieckich katolików nie tu pole mówić obszerniej, wymagało-by to osobnego studjum, uwzględniającego różne kwestje, które się z biegiem czasu wśród lokalnych warunków rozwinęły; co do duchowieństwa polskiego, to jest ono podobne do społeczeństwa całego, z którego wyrosło. Zdolności indywidualnych i wybitnych posiada może niezbyt wiele, za to przeciętna jest bardzo dobra, i duch, który je ożywia, zasługuje ze wszech miar na uznanie. Uwzględniając nawet zarzut, że pewna dbałość o dobrobyt i komfort przekracza czasem granice pożądane, to przeciwstawić temu można wielką ofiarność, tak w mienu jak i własnej pracy, i poświęcenie własnej osoby, jakiego w ciężkich chwilach dawało dowody i jakie po dziś dzień w każdej poważnej potrzebie okazuje. Główny zarzut, jaki przeciwnicy czynią polskiemu duchowieństwu w Księstwie Poznańskim, jest ten, że nieraz podporządkowuje religję pod narodowość i używa jej niejako za narzędzie do osiągnięcia politycznych celów. Zarzut taki usprawiedliwić się chyba daje tylko wyjątkowo, wogóle jednak jest niesłuszny. Co prawda, pojmowanie religji katolickiej przez lud nasz nie jest schematyczne i oderwane. Przeciwnie, przenika całe życie jego i wiąże się nierozzerwalnie z narodową i obyczajową jego tradycją. Oderwać kościół od narodowości byłoby to dlań pewnego rodzaju świętokradztwem, które-by wprowadziło zamęt we wszystkie jego pojęcia etyczne. Religja jest mu bowiem nie laską, na której się tylko opiera, ale raczej kością pacierzową, która jedynie utrzymuje cały jego moralny organizm. Trzeba więc to uznanować i przemawiać doń językiem, który jest mu zrozumiały. W tym też względzie duchowieństwo wielkopolskie spełnia tylko swój obowiązek i nie można się dziwić, jeżeli obok katolicyzmu Rzymskiego pielęgnuje czasem katolicyzm, który by częstochowskim nazwać można.

Wogóle zauważyć można, że w społeczeństwie wielkopolskiem element narodowy gra rolę przeważną. Nie zawsze nawet utrzymuje się we właściwych granicach i opiera się na zdrowych zasadach. Zbyt często patriotyzm pojęty jest

tylko jako nienawiść do uciskających Prusaków. Na takiej podstawie trudno przyszość budować. Jakkolwiek-by się pojęło narodowość, czy to jako uosobienie wyższej idei w historii, czy też wręcz realnie, jako rodzaj stowarzyszenia w ekonomicznych celach, zawsze narodowość musi mieć jakieś pozytywne zadanie, które spełniać powinna, jeżeli nie ma obniżać, zamiast wynosić, charakterów, rozstrajać, zamiast organizować, stosunków. Nacjonalizm nienawistny i ciasny jest karykaturą tylko zdrowego i silnego patriotyzmu. Nacjonalizm taki nasuwa porównanie ze stanem ekonomicznym, w którym zarobek opiera się nie na produkcji bogactw, lecz na wyzyskiwaniu bliźniego. Tu jak tam niema jutra, bo niema realnej i stałej podstawy. Uwzględnić jednak trzeba, iż rząd i naród niemiecki w niepośledniej mierze same się do tego przyczyniły. Niesłusznem przesładowaniem rozbudziły instynkt narodowy mas, a przytem wszczepiły w swych poddanych polskich element, który się przeciw niemu samemu obrócił. Wychowując Polaków na swój obraz i podobieństwo, Prusacy wytworzyli w nich pojęcie narodowości takie, jakiego Polacy sami z siebie nie mieli. Twarda bezwzględność i ekskluzywność są naturze polskiej rdzennie przeciwne. Charakterystycznymi rysami jej są raczej: giętkość, posunięta do miękkości, łatwość asymilowania się do nowych stosunków i bierność wobec stanowczej i konsekwentnie przeprowadzonej woli. Dawne te właściwości ludności wielkopolska zatracą coraz bardziej, coraz bardziej wstępują w to miejsce nabyte od Niemców rysy. Da się to zauważyć nawet w codziennej obserwacji, że ci, którzy faktycznie najwięcej wpływowi niemieckiemu podlegają, są zwykle najzaciętszymi Niemców przeciwnikami. Przytem można śmiało twierdzić, że postępowanie rządu niemieckiego jest z gruntu złem. Przez gwałtowne germanizowanie i komisję kolonizacyjną tworzy on kraj o ludności mieszanej pod względem religijnym i narodowym, stwarza więc na przyszłość pole do niewygasających niesnasek i sporów, których wicki nie są nieraz zdolne rozwiązać.

Streszczając ten pogląd na stosunki w Wielkopolsce, powiedzieć można, że rozwój tego kraju postępował stopniowo, bez gwałtownych przeskoków, otwierających pole działania dla wybitnych zdolności, ale i bez wyraźnych zastojów. Wypełniał on pomału luki, które bieg historii był wytworzył, i wśród tej organicznej pracy zaniedbał trochę stronę zewnętrzną i światową. Wytworzyły się jednak stosunki zdrowsze, niż były poprzednio. Ustrój dawniejszy, dzielący społeczeństwo na dwie równoległe nad sobą położo-

ne warstwy; na mniej lub więcej ciemny i nieświadomiony lud, i na szlachtę będącą jedynym wyrazem duchowego życia narodu, zmienił się już znacznie i dąży do dalszego jeszcze przekształcenia. Części składowe, tak szlachty jak i ludu, oderwane od pnia, który je wydał, wytworzyły stan średni, inteligencję i mieszczaństwo.

Powstało przez to ważne ogniwo, bez którego w nowych czasach społeczeństwo normalne rozwijać się nie może. Tem też tłumaczy się głównie fakt, że w Księstwie Poznańskim kwestja żydowska nie egzystuje wcale w tych rozmiarach, co w Galicji lub w Królestwie Polskiem. Proletariat żydowski nie istnieje tu zupełnie, nie wtrąca się też nikt w stosunek obywatela do włościanina. Zbliżenie szlachty do ludu mogło więc rozwijać się bezpośrednio. Cały tryb życia, pojęcia i interesa materialne, wreszcie wspólne biedy, zbliżyły do siebie te dwa odrębne stany. Obywatelstwo, zrastając się bezpośrednio z ziemią, traciło polor i ogładę światową, zyskiwało jednak stopniowo realniejsze pojmowanie obowiązków i zadań swoich i zaczęło rozumieć nie teoretycznie i w zasadzie tylko, ale przez twardą życiową szkołę potrzeby kraju i ludu. Stąd też twierdzić można, że pewne cnoty obywatelskie, niepokazne i mało widoczne, czystsze są w Księstwie Poznańskim, niż w innych polskich stronach. Absenteizm, mieszkanie w mieście i uważanie majątku ziemskiego za krowę dojną, mającą dać pewną dozę dobrobytu, ustąpiło miejsca wyższemu pojmowaniu roli ziemianina. Pierwotnie twarda konieczność skłoniła wielu do stałego zamieszkiwania wsi i do zajęcia się rolą, z czasem jednak zaczęto poznawać bliżej to pole działania, zaczęto przekonywać się o tej prostej zasadzie, że z próżnego nie należy, że bez pracy samo z siebie nic się nie robi, że jeżeli żyjemy wpośród stosunków zacofanych, to dla tego, że nie dosyć pracowaliśmy, aby lepsze stworzyć, że wreszcie niegodnym stanem dla narodu aspirującego do cywilizacji jest stosunek ludności taki, w którym wszystkie ciężary są po jednej, wszystkie prawa i wygody po drugiej stronie, gdzie klasa robocza żyje wyłącznie troską o chleb powszedni bez możliwości dzwignięcia się ponad stan pierwszego inwentarza roboczego, a zamożniejsze warstwy, niepomne, że z tej samej ziemi wyrosły, bawią sercem i myślą w departamencie niższej Sekwany.

Nie tailśmy wad, jakie się w społeczeństwie wielkopolskiem rozrosły; chcąc być bezstronnym, trzeba więc podnieść i zalety. Każda praca obywatelska znajdowała zawsze w łonie ziemianstwa żywą pomoc i ofiarność. Czy to w wal

kach parlamentarnych o niesienie ofiary z swej osoby, swego czasu i miłości własnej, czy też gdy chodziło o wsparcie materialne dla młodzieży klas niższych, zawsze znajdowali się ludzie szlachetni, którzy, nie licząc się z ofiarami, nie żalowali swego mienia i pracy, by czynić to, co im obowiązek społeczny nakazywał. Uposażenie towarzystwa pomocy naukowej, dźwignięcie stanu średniego, jedność myśli z duchowieństwem i z ludem, oto zasługi szlachty, które wiele braków, wiele pozytywnych nawet błędów okupić są zdolne.

Z drugiej strony lud poczuł i zrozumiał, że przyszedł na niego czas podjęcia sztandaru, którego same wyższe warstwy utrzymać już w rękach nie mogły. Trzymanie się wiary katolickiej, narodowości i tradycji rodzimej, przynosi ludowi polskiemu same ciężary, a żadnych korzyści. Polak, wchodzący z temi uczuciami w kompromisy, ma przed sobą otwartą karierę i zapewniony dobrobyt. Kto więc twierdzi, że chłop chłopem jest i będzie, że z natury niezdolnym on jest zrozumieć wyższej bezinteresownej myśli, niech przyjrzy się temu ludowi, który walczy pracą codzienną, ciężką i niepozorną, a przeciwstawia pokusom i grozom zimną zaciętość i bezwzględne non possumus.

Stan średni wreszcie, zaledwie urodzony, już podjął walkę o idealne dobra narodu i rzuca się z młodzieńczym zapalem do pracy o ich zachowanie.

Poznańczyk.



Amerykanka.

— Pokoik jest zachwycający, zupełnie w moim guście! I wyznam pani otwarcie, że chciałabym go zatrzymać, gdyby pani nawet podwójnej zażądała sumy. Jeżeli się więc pani zgadza, czy mogłabym się wprowadzić dziś jeszcze?

Pani Boretius, wdowa po nauczycielu gimnazjalnym, i córka jej Helena słuchały i przypatrywały się z największym zdziwieniem młodej nieznajomej, która wyczytawszy ogłoszenie w dzienniku o umeblowanym pokoju do wynajęcia, natychmiast się do nich zgłosiła. Gdy panna Helena, otworzywszy sama drzwi, dowiedziała się o celu wizyty, była najpewniejszą, że tej eleganckiej panie nie spodoba się mały, ciemnawy pokoik. Nie tylko bowiem wykwintny i gustowny ubiór, ale całe zachowanie się jej, pełne wdzięku i taktu, upewniały Helenę, że ma doczynienia z osobą z najwyższego towarzystwa. Nieznajoma mogła mieć najwyżej 21 lat. Wysokiego wzrostu, nadzwyczaj zgrabnej kibici, miała twarzyczkę, ożywioną parą czarujących oczu, tak pojętną, że, patrząc na nią, obie kobiety były pod jej urokiem. Mówiła po niemiecku bardzo poprawnie i biegle, jedynie akcent zdradzał, że jest cudzoziemką.

Między różnemi innemi rzeczami, które w przeciągu krótkiego kwadransa czasu wypowiedziała, objaśniła, że jest amerykanką, a przyjechała do Niemiec wczęści dla przyjem-

ności, w części dla kształcenia się artystycznego. Którą ze sztuk pięknych uprawia, nie powiedziała, ale srebrzysty dźwięk głosu, a szczególnie swobodny, melodyjny śmiech podpowiadał pani Boretius, że to musi być śpiew.

Stojąc na progu, zapewniła, że czuje się nad wyraz szczęśliwą, iż tak pomyślnie trafiła:

— To jest właśnie, czego pragnęłam — mówiła. A obrzucając wzrokiem skromne umeblowanie, nie mogła się go nachwalić: tu szczególnie podobały jej się jakieś portrety rodzinne, tam znów skromna biblioteczka profesora - nieboszczyka, to wreszcie jakaś robótka wykonana przez Helenę — słowem, na każdym kroku spotykała coś godnego uwagi i pochwały.

Pani Boretius nieśmiało i ociągając się nieco wymieniła cenę pokoiku, dodając, że dotąd nikt się odpowiadający jej wymaganiom nie trafił, że w rzeczy samej mieszkanie jest doskonałe, a i ona sama dołożyła wszelkich starań, aby je uczynić wygodnym. Lecz uprzejma nieznajoma nie tylko, że się nie targowała, ale przeciwnie, dziwiła się tak skromnej cenie.

— Naturalnie, może się pani wprowadzić choćby dziś jeszcze — mówiła uradowana pani Boretius. Widzi pani, iż wszystko gotowe na jej przyjęcie.

— Doskonale! W takim razie każę natychmiast sprowadzić rzeczy moje z hotelu. Tylko jeszcze jedna kwestja. W ogóle dość dużo mam wolnego czasu, a przytem jestem tu zupełnie obcą. A że potrzebą życia mego jest, abym miała kogoś obok siebie życzliwego, z kimbym i pogawędzić rada, proszę, dajcie mi, panie, małeńki kącik przy waszym stole. A kącik w sercach waszych zdobywać będę już sama.

Niepodobieństwem byłoby czegokolwiek odmówić temu zachwycającemu i miluchnemu stworzeniu. Ale pani Boretius wyraziła obawę, czy skromny ich sposób życia zdoła zadowolnić młodą, może wybredną, pannę. Amerykanka, śmiejąc się, proponowała w każdym razie próbę, na co się chętnie zgodzono.

— Za godzinę będę z powrotem — mówiła nieznajoma, która się już poprzednio przedstawiła jako Ada Robin z miasta St. Louis. — A teraz, gdy już ugoda stanęła, muszę paniom wyznać, że tego, jakkolwiek uroczego pokoiku, za nic bym nie wynajęła, gdyby mi się tak odrazu nie były podobały wasze twarze, szanowne panie. Mam zwyczaj iść zawsze za głosem mego serca, nie zastanawiając się zbyt, i dotąd nigdy tego nie żałowałam. Jestem pewna, że wkrótce będziemy serdecznymi przyjaciółkami.

Podawała obydwom rękę i wyszła.

Helena, która w ciągu ostatnich dziesięciu minut w milczeniu, z najwyższym podziwem, przypatrywała się nieznajomej, teraz zwróciła się do matki:

— Jakież to śliczne stworzenie! Daj Boże, aby się jej u nas spodobało i abyśmy jej wkrótce nie stracili. Wydaje mi się, że po jej wyjściu ciemniej się tutaj zrobiło.

— Tak, w całej jej istocie jest coś takiego, co mimowolnie chwyta za serce — dodała matka. Myślę tylko, że musi też być szczęściem popsuta i że ta serdeczność, jaką powzięła tak szybko dla nas, jest niczem więcej jak przemijającą chwilką dobrego humoru. Doświadczenia życiowe uczyniły mię podejrzliwą, i niewierzącą w jakiś pomyślniejszy zwrot naszego losu.

Helena smutnie skłoniła głowę. Milcząca i cicha odeszła do przerwanych przez odwiedziny mis Robin zajęć gospodarskich, które spełniała zazwyczaj przy pomocy na wpół głuchej posługaczki. I ona też była jeszcze młodą, jakkolwiek o cztery lub pięć lat starszą od przyszłej lokatorki. Ale nie miała w sobie ani odrobiny porywającego uroku i powabu Amerykanki. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Przyrzawszy się uważniej szczuplej lecz słodkiej jej twarzyczce, można było dojrzeć w kątach ust dwie zmarszczki, nadające jej wyraz zgnębienia. A i cała jej postać, jakkolwiek kształtna i powabna, odziana w skromną domowej roboty sukienkę, o ileż gorzej się przedstawiała przy elegancko ubranej Amerykance. To też Helena daleką była od porównywania się z miss Adą, a zachwyt, z jakim na nią patrzyła,

najlepiej świadczył o najzupełniejszym przyznaniu tamtej nad sobą przewagi.

Jeszcze zapowiedziana godzina nie była upłynęła, gdy nowa lokatorka zjawiła się z pakunkami.

Jeżeli już sama powierzchowność jej osoby dawała wyobrażenie o dużej zamożności, to liczba i zawartość pakunków potęgowała je jeszcze. Gdy wszystkie ciężkie, mocno okute kufry zniesiono do małego pokoiku, miss Ada prosiła serdecznie Helenę o pomoc przy rozpakowywaniu rzeczy.

Biedna dziewczyna, córka nauczyciela gimnazjalnego w małym miasteczku, a obecnie, po jego śmierci, ciche i skromne życie prowadząca wraz z matką, Helena dotąd nie miała pojęcia o tak zbyt kosztownych strojach, jakie w tej chwili oglądała. Milcząc, w niemym zachwycie, układała cienką, wykwinętą bieliznę Amerykanki, przeróżnemi kosztownemi ozdobioną koronkami i haftami, od czasu do czasu dając tylko krótkie odpowiedzi nieustannie gawędzącej miss Adzie Robin.

Kiedy już dwa olbrzymie kufry były opróżnione, Amerykanka wyprostowała swoją zręczną postać, dotąd nieustannie nachyloną, i westchnąwszy, zawołała:

— Ach jakże to nudne zajęcie! Pocieszam się tylko tem, że nie prędko oddam się takiej pracy. Jeżeli odemnie będzie zależeć, nie opuszczę tego rozkosznego schronienia aż do samego powrotu do Ameryki.

— A my będziemy się starały o ile sił naszych, aby to schronienie prawdziwie przyjemnem i wygodnem dla pani uczynić.

Ada, rzuciwszy się na staroświecką sofę, serdecznie schwyciła obie ręce Heleny i przyciągnęła ją do siebie.

— Czy naprawdę tak będzie? Ach to ślicznie ze strony pani. Będziemy przyjaciółkami, nieprawdaż?

— Jesteś pani bardzo dla mnie łaskawą, panno Robin; ale znasz mię tak mało; boję się, czy przyjaźń moja będzie dla pani pożądaną i cenną.

— Zobaczymy! Pozwól mi pani być innego zdania — zaśmiała się Amerykanka. — Ale dotychczas, nie wiem, jak mam panią nazywać. Chcę, abyś mię pani nazwała pro prostu

Adą. Znam tylko pani nazwisko, lecz to tak brzmi sztywno i zimno. Chciałabym tak panią zwać, jak jej matka i ów najserdeczniejszy, którego napewno posiadasz.

Delikatna twarzyczka Heleny pokryła się rumieńcem.

— Imię moje Helena — odpowiedziała ze spuszczoneym wzrokiem — ale...

— Helena! Prześliczne imię — zawołała Ada, nie czekając końca zdania. — Prawdziwie, nie można było dać ci bardziej odpowiedniego. Ależ, mój skarbie, czemuś się tak zarumieniła? Jakże jesteś z tem zachwycająca! Naprawdę, powinnabyś zawsze mieć takie kolory! Czy tylko przypadkiem nie obraziłam cię moją serdeczną uwagą? — spytała troskliwie.

Helena wstrząsnęła głową:

— Nie, bynajmniej — upewniała. — Nie jest to przecie tajemnicą, że jestem zaręczoną.

— Szkoda! Bo gdyby to było tajemnicą, możebyś mię uczyniła swą powiernicą. — A więc wkrótce wyjdiesz za mąż i porzucisz nas?

— O, to jeszcze nie prędko nastąpi, prawdopodobnie nie prędej jak po roku dopiero.

Ada chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy dało się słyszeć lekkie stukanie do drzwi: pani Boretius zapytywała, czy panna Robin weźmie udział w ich dzisiaj skromnym obiadku? Amerykanka odpowiedziała twierdząco, a w gorących i uprzejmych słowach zapewniała, iż cieszy się zupełnie jak dziecko, że nareszcie zasiądzie w tkliwym familijnem kółku, a nie, jak dotąd, przy śmiertelnie nudnym i obojętnym stole restauracyjnym

Najbardziej podejrzliwa i niedowierzająca osoba nie mogła by posądzić w tej chwili Adę o nieszczerłość, to też pani Boretius otworzyła dla młodej dziewczyny całe swoje serce, tem bardziej, gdy ta z taką ufnością garnęła się doń. Niejednokrotnie podczas obiadu amerykanka wyrażała głęboką wdzięczność dla obu pań za ich dobre serce i przychyłność dla niej, czuła się między nimi tak szczęśliwą.

Położenie materialne pozwalało jej urządzać się jak najwygodniej, nawet zbyt kownie.

— Od kilku już miesięcy mieszkam w Niemczech. Jakiś czas przepędziłam w Berlinie, następnie w Dreźnie, a obecnie tutaj przyjechałam, gdyż wskazano mi w tym mieście naj-sławniejszą nauczycielkę śpiewu.

Gdy przy wzmiance o śpiewie pani Boretius wyraziła ochotę usłyszenia go, miss Ada z największą grzecznością i uśmiechem odpowiedziała:

— Naturalnie, chętnie spełnię życzenie pani. Choćby nawet jeszcze dzisiaj. Wieczorem zwykle jestem poetyczniej usposobioną niż we dnie i lepiej śpiewam. Tym czasem, zaspokój pani moją ciekawość i nie miej mi jej za złe, ale pojąć nie mogę, jakim sposobem tak godna i rozumna osoba — wdowa prawdopodobnie po uczonym i zasłużonym człowieku, mogła być zmuszoną do zarabiania na kawałek chleba wynajmowaniem pokojów?

Pani Boretius lekko westchnęła, poczem twarz jej przybrała tęskny i smutny wyraz jak zwykle, gdy zaczynała mówić o przeszłości.

Opowiadała więc całą historję biednego filologa — zresztą tak powszechną i powtarzającą się nieustannie — ich ciche i spokojne życie, dopóki śmierć nie zabrała im męża i ojca, pozostawiając je obie z bardzo maleńką emeryturą.

— Oszczędności żadnych robić nie byliśmy w stanie — ciągnęła dalej. — Jakieś kilkaset odłożonych marek zabrała choroba męża. Tak więc dopomagamy sobie wynajmowaniem pokojów, gdyż z samej emerytury nie byłybyśmy w stanie się wyżywić.

— A dlaczegoż Helena nie obrała sobie jakiego zawodu? — zapytała Amerykanka — Przecież dziś już tyle jest dróg otwartych dla kobiety.

Helena, milcząc, patrzyła uparcie w talerz, gdy matka żywo pochwyciła:

— Czemuż ukrywać przed panią? — samaby się i tak wkrótce przekonała o stanie rzeczy. Rozumie się, że Helena z ła-twością znalazłaby miejsce pracownicy inteligentnej, ale temu stoi na przeszkodzie społeczne stanowisko jej narzeczo-nego. Ze wszystkich nieszczęść, któremi mię Bóg doświad-cza, to to narzeczeństwo największem jest chyba.

— Mateczko droga—błagalnie szepnęło dziewczę i dwie duże łyzy zawisły na spuszczonej rzesach.

Widocznie pani Boretius pożałowała swych ostrych słów, bo dalej mówiła łagodniejszym tonem.

— No, daj Boże, aby się to jak najpomyślniej zakończyło. Panno Robin, niemiej mi pani za złe tych gorzkich słów. Nie wiesz, jak to dla matki bolesne patrzeć, że tyle dobrych i korzystnych partji córka jej odrzuca dla człowieka, który nie wiem, czy kiedy będzie w stanie poprowadzić ją nareszcie do ołtarza.

— A więc to taka romantyczna miłość! — zawołała Ada wesolo. — To cudownie! Gdym tylko się przyjrzała smutnej i strapionej twarzyczce Helenki, domyśliłam się odrazu, że w tej sprawie coś się święci nie dobrego. Musisz mi, droga, wszystko opowiadać. Okrutnie lubię takie małe roman-siki.

Pomimo błagalnego spojrzenia córki, matka zaczęła wtajemniczać lokatorkę w całą tę serdeczną sprawę. Opowiadała, jak Helena poznała przed sześciu laty na jakimś balu młodego oficera, dla którego wkrótce powzięła serdeczne uczucie. Nazywa się Bruno von Saldern, a był wówczas porucznikiem w pułku, stojącym w miasteczku, gdzie mieszkali Boretiusowie. Kilkakrotnie udawało się młodym widywać w tajemnicy przed rodzicami, a gdy pewnego razu profesor odkrył tajemnicę swej jedynaczki, usłyszał od niej, że nigdy w życiu nie wyrzeknie się miłości dla Brunona. Tegoż samego dnia młody oficer oświadczył się formalnie o rękę Heleny. Cóż, kiedy okoliczności nakazywały utrzymywać to narzeczeństwo w tajemnicy, gdyż, nie mając majątku i utrzymując matkę, wdowę po poległym na wojnie majorze, Saldern nie mógł złożyć wymaganej przez władzę kaucji na uzyskanie pozwolenia żenienia się. Już był zdecydowany porzucić pułk, osobiste ambicje złożyć w ofierze miłości i przyjąć posadę miejskiego urzędnika, sądząc, że ta mu prędzej niż zawód wojskowy pozwoli stworzyć ognisko domowe. Ale jednocześnie postępkami tym boleśniewy zranił od kilku lat chorą matkę, i możeby skrócił jej życie. Zrobił więc ofiarę ze swego szczęścia na ołtarzu obowiązku rodzicielskiego.

Następstwem zaś tego postanowienia było zerwanie stosunków z rodziną Boretiusów. Profesor stanowczo zabronił córce myśleć o lejtenancie von Saldern. Pozornie kochankowie poddali się woli rodzicielskiej, ale gdy potem Helena odtrącała jednego po drugim z licznych konkurentów, widocznem było, że dawna miłość głęboko zakorzeniła się w jej sercu.

Gdy zmarł profesor, Saldern, będący już wówczas oberlejttenantem, zbliżył się do osieroconych kobiet i swoją troskliwością i delikatnym sposobem obejścia tak sobie zjednał stroskaną wdowę, że nie tylko chętnie przyjmować zaczęła różne drobne od niego usługi, lecz nawet nie była przeciwną odnowieniu dawniejszych narzeczęńskich stosunków. Pomimo to, nie można było ani marzyć o bliskiem połączeniu się, a Saldern dłużej ukrywać już nie mógł, że matka jego za nic na świecie nie chciała przystać na jego ożenienie się z biedną dziewczyną.

Jakże wtedy pani Boretius żałowała swej słabości dla młodych! Czemuż pozwoliła na to powtórne zbliżenie się ich! A właśnie znów zjawił się jakiś zamożny i stateczny konkurent, na którego Helena ani patrzeć nie chciała.

Nareszcie niedawna śmierć pani von Saldern nadała inny kierunek tej całej sprawie. Bruno, uwolniony od obowiązku synowskiego, natychmiast podał się do dymisji, a gorąco protegowany przez swą dawniejszą władzę, wstąpił do służby policyjnej w dużem mieście portowem, gdzie po wysłużeniu dwóch lat próbnych, ma otrzymać dobrze płatne, bo bardzo odpowiedzialne i ważne stanowisko.

Więc znów pani Boretius musiała ułedz prośbom i namowom kochanków, a nawet zgodziła się przenieść do owego miasta, aby byli bliżej siebie. Ślub odbędzie się więc za kilka miesięcy, gdy tylko Bruno otrzyma upragnioną posadę.

Ada Robin słuchała całego tego opowiadania z największą uwagą.

— To jest naprawdę wzruszająca historia — rzekła, gdy pani Boretius skończyła — jedna z tych, które, o ile wiem, często zdarzają się w Niemczech. W Ameryce walczy się jednak energiczniej o swoje szczęście. Ale czemu,

droga Helenko, tak smutnie masz ciągle główkę schyloną, gdy nareszcie wszystkie przeszkody są już obecnie z waszej drogi usunięte? Nie taką powinna być minka szczęśliwej i kochanej. Wreszcie twój narzeczony ma prawo do wesołych ocząt i miłego uśmiechu.

— Nie umiem być inną, niż jestem — odpowiedziało dziewczę cicho i nieśmiało. — Bruno wierzy mi i tak, wie że go kocham i że jestem szczęśliwą.

— Rozumie się, że musi ci wierzyć, kiedyś mu tak wiernie dotrzymywała miłości. Ale pomyśl tylko, że jednak te ubiegłe sześć lat nie uczyniły cię młodszą, a to nie dobrze być tylko wspomnieniem dawnej piękności i młodości dla ukochanego. Powinien się z tobą żenić nie z obowiązku, z poczucia honoru, ale dlatego że jesteś dla niego zawsze pojętną a upragnioną szczęściem. Nie miej mi za złe rad moich, Helenko, posłuchaj ich raczej i nie szpec swęj ładnej twarzyczki takim ponurym wyrazem, a jeszcze bardziej brzydkim ubraniem. Pozwól mi się w to wtrącić, a zobaczysz, jakie śliczne stworzenie z ciebie uczynię.

Helena wstała, i patrząc na Amerykankę swemi jasnymi, wielkimi oczyma, rzekła łagodnie, lecz stanowczo.

— Nie, panno Robin, nie użyję żadnej sztuki, aby się memu narzeczonemu okazać w lepszym świetle. Zdaje mi się, że wówczas kłamałabym i przed sobą samą i przed nim. Ale oceniam twe dobre względem mnie chęci i z całego serca dziękuję za przyjacielską radę.

Niezadowolony wyraz twarzy matki najwyraźniej wskazywał, że nie pochwałała zdania córki i już miała na ustach słowo przygany, gdy Amerykanka, chcąc temu przeszkodzić, skoczyła ze śmiechem srebrzystym, czarownym, objęła Helenę serdecznie ramieniem i, zanim się ta spostrzegła, wycalowała gorąco w oba policzki.

— Prawdziwa niemiecka Gretchen. Zupełnie taka, jaką wyśpiewał poeta—zawołała ucieszona.—O nie, nie chcę grać roli jej uwodzicielki. Kto wie, czy ty byś nie była lepszą dla mnie mistrzynią niż ja dla ciebie!

Pani Boretius była zachwycona taką szczerością, nawet Helena z wdzięcznością spojrzała na piękną cudzoziemkę.

Ta jednak szybko położyła koniec tej czulej scenie, bo, spojrzawszy na zegarek, oświadczyła, że jeszcze ma do załatwienia parę interesów na mieście, ale obiecuje wrócić na kolację i dotrzymać danej poprzednio obietnicy.

— Jednak — zawołała jeszcze, stojąc we drzwiach swego pokoju — chyba będę miała przyjemność poznania twego narzeczonego, droga Heleno? Kiedy już znam cały miłosny romans, chętnie chciałabym zobaczyć i bohatera.

Zamiast córki odpowiedziała matka.

— Oczekujemy go właśnie dziś wieczorem, gdyż to właśnie jego wolny dzień.

II.

Jakież było zdumienie Brunona von Saldern, gdy, przestąpiwszy próg stołowego pokoju, ujrzał nagle nieznanome niewieście zjawisko. Czy to przypadkiem, czy umyślnie, Ada tak usiadła przy stole, że światło wiszącej lampy padało wprost na jej złote bujne włosy i śliczną twarzyczkę. I w tem oświetleniu wyglądała tak czarująco, że młody człowiek, olśniony, zatrzymał z niemem uwielbieniem na niej swe spojrzenie i dopiero, gdy Helena podeszła parę kroków ku niemu, oprzytomniał, zwrócił się do narzeczonej i serdecznie uścisnął. Poczem Helena przedstawiła go nowej lokatorce.

Jeżeli uznanie i podziw Ady nad wiernością swej cichej przyjaciółki trąciły przedtem nieco ironią, to teraz, poznawszy jej narzeczonego, zrozumiała ją.

Przedewszystkiem ukazała się jej oczom wysoka, kształtna postać, z śmiało zarysowanym profilem, z ciemnym zarostem i bardzo sympatycznym wyrazem twarzy. Od pierwszej chwili zapoznania tak był w postępowaniu z młodą Amerykanką szczery i prosty, że zrozumiała dlaczego zdobył serca tych dwóch kobiet. Więc i ona, jakby należą-

ca do ich rodziny, szczebiotała swobodnie, a mając świetną ogładę towarzyską, wkrótce oczarowała to małe grono. Pani Boretius z przyjemnością przysłuchiwała się dowcipnej rozmowie Brunona z Adą, tylko Helena coraz bardziej pochylała swą ciemną główkę..

W tem, jakby wyrzucając sobie, że blisko już od pół godziny nie zwrócił uwagi na narzeczoną, podszedł do niej i pełnym uczucia tonem rzekł.

— Wybacz mój skarbie, żem dziś nie był zupełnie punktualny. Byłbym o godzinę wcześniej przyszedł i nie dał ci tak długo czekać, gdyby mnie w ostatniej chwili nie zatrzymano na służbie. Oto telegrafowano z Berlina, że pewien niebezpieczny złoczyńca, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, ma przejeżdżać przez nasz port do Ameryki. Musiałem więc, jako zastępca inspektora policji, wtajemniczyć naszych urzędników we wszystkie nadesłane wskazówki i szczegóły i wydać odpowiednie rozporządzenia.

Helena była z tego tłumaczenia się najzupełniej zadowolona, Ada natomiast podchwyciła z ciekawością:

— Jakto? Niebezpieczny złoczyńca! To musi być zajmujące! Opowiedz nam pan co o tem więcej, panie von Saldern!

— Owszem. Nie popełnię bynajmniej zdrady stanu, jeżeli powiadomię panią o faktach, opisywanych już w tyłu dziennikach — odpowiedział Bruno, ubawiony jej dziecinną ciekawością. — Chodzi tu o sprytnego oszusta, który za pomocą sfałszowanego czeku okradł jeden z największych domów handlowych w Berlinie na sumę 250,000 marek.

Pani Boretius splasnęła rękoma:

— Boże mój! Ćwierć miliona marek! Czyż to możliwe, aby ludzie mogli tak kraść?

— W każdym razie muszą to być ludzie nadzwyczaj sprytni, że im się takie rzeczy udają — powiedziała Ada z niekłamany podziwem, a pan von Saldern uśmiechnął się na te słowa:

— Co nie przeszkadza, że popełniają jednocześnie największe niedorzeczności, jak naprzykład nasz ptaszek.

— Jakże niedorzeczności? — zapytała Ada, której błyszczące, ciekawe oczy wpatrywały się nieustannie w oblicze mówiącego. — Cóż, co pomoże do schwytania go?

— Cóż, co stanowczo utrudni mu bardzo ucieczkę. Oto zapomniał zabrać swój pugilares, z którego wziął ów sfalszowany czek; zostawił go na stoliku przy kasie.

— Ach, to naprawdę bezprzykładna niezręczność. No, i w tym pugilarzesie oczywiście znaleziono jego papiery legitymacyjne?

Urzędnik spojrzał na nią ze zdumieniem:

— Jak pani pysznie kombinuje, panno Robin! Istotnie, tak było: w pugilarzesie znaleziono nie tylko dowody legitymacyjne prawego właściciela czeku, lecz też i paszport i różne dokumenty z nazwiskiem Tomasza Webba, którym się widocznie złodziej miał posługiwać w ucieczce. Znaleziono również bilet kolejowy, wydany Tomaszowi Webb, na przejazd do jakiegoś portu Ameryki południowej. Widać że łotr poczynił wszelkie przygotowania do szczęśliwej ucieczki, i pewnie zguba pugilaresu cały mu plan popsuka.

Adę bawiła niezmiernie ta niezręczność oszusta, cieszyła się z niej serdecznie; nareszcie rzekła:

— Co prawda należałoby mu współczuć, bo to musi być okropne uczucie: doprowadzić do skutku rzecz tak ryzykowną i niebezpieczną i nagle przez własną nieuwagę dać się złapać w pułapkę. Tylko, że ten człowiek da sobie pewnością radę i bez papierów. Szkoda tylko, że nie można będzie wiedzieć, jak to uczyni.

— O, łaskawa pani — zaprzeczył Seldern — masz pani zbyt słabe pojęcie o policji niemieckiej. Ręczę słowem honoru, że ów mniemany pan Webb, który, mówiąc nawiasem musi być pani współziomkiem, stąd nie wyruszy w podróż przez ocean.

— A z czego pan wnosi, że stąd chce wyjechać?

— Są pewne wskazówki, że tutaj ma jakieś stosunki, przez które stara się o nowe legitymacje. Niestety, jeszcześmy na trop nie natrafili. Ale cała nadzieja leży w urzędnikach policyjnych, którzy są bardzo przebiegli i doświadczeni. A że przytem interesowany bank wyznaczył nagrodę

za złapanie złoczyńcy w sumie dziesięciu tysięcy marek, jestem najpewniejszy, że jeden przez drugiego będzie się o nią starał.

— Naturalnie posiadacie panowie i dokładny rysopis tego oszusta?

— Oczywiście. I ponieważ pani raczysz okazywać tyle zainteresowania się jego osobą, może zechcesz poznać i ów rysopis. Oto jest!

To mówiąc, Bruno wyjął z pugilaresu kartkę, z której czytałopis zbrodniarza, Amerykanka, złożywszy śliczną główkę na białej, opartej o stół rączce słuchała z największą uwagą i ciekawością:

— „Wiek: od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Wzrost: wysoki, chudy. Twarz: ostre rysy i nadzwyczaj blade. Bujny ciemno blond zarost i gęste, faliste takiegoż koloru włosy. Znaki szczególne: mała, głęboka blizna nad lewem okiem. Mowa: łamany język niemiecki z wyraźnym akcentem angielskim“. — No, jakże się pani podoba portret jej bohatera?

— Nie jest bynajmniej Apollinem — śmiała się Ada. Ale rzeczywiście z tak dokładnym rysopisem nie trudno będzie pańskim policjantom go poznać, jeżeli wedle pańskiego przypuszczenia, naprawdę tutaj się zjawi.

Podczas całej tej rozmowy Helena siedziała milcząca i zadumana, a i panią Boretius najwidoczniej nudził ten zajmujący dla Ady temat. Więc, korzystając z chwilowej przerwy, przypomniała Adzie obietnicę śpiewania. Amerykanka z największą ochotą powstała i zbliżyła się do fortepianu, gdy nagle zatrzymała się i, patrząc na Salderna, rzekła:

— Gdy obiecywałam szanownej pani śpiewać, sądziłam, że tylko panie obiedwie będą memi słuchaczkami. Naprawdę, obecnie niewiem, czy...

Ale Bruno zerwał się z krzesła i w gorących wyrazach zapewniał ją, że będzie niepokieszonym, jeżeli jego obecność pozbawi panie tej wielkiej przyjemności.

Amerykanka nie dała się też długo prosić. Z gracją

usiadła przed fortepianem, który niegdyś, w dalekiej przeszłości cieszył się dźwięcznymi tonami.

Po krótkiej przegrywce zaczęła ślicznym srebrzystym acz nie rozległym sopranem jakąś tęskną piosnkę Schumanna. W rzeczy samej nie była skończoną mistrzynią w śpiewie, ale ujmująca jej powierzchowność, błyszczące i rzewne spojrzenie, układ kształtnych ust i czarujące wprost ułożenie, taką idealną tworzyły harmonję piękną, że trudno było w niej dostrzedz jakie niedostatki.

To też Saldern jak oczarowany nie odrywał wzroku od tej wdzięcznej postaci, od tych cudnych rąk białych sunących zwinnie po klawiszach.

Gdy skończyła, wyraził jej nieklamane uwielbienie, prosząc, aby śpiewała więcej.

— Dobrze — odpowiedziała, śmiejąc się — ale już nie w tym samym rodzaju. Ten niemiecki sentymentalizm nie pasuje do mnie. Czy chcecie państwo, abym wam zaśpiewała parę wesołych amerykańskich piosenek.

Odpowiedź naturalnie była twierdząca i w jednej chwili znalazła się Ada w swoim żywiole. Maleńkie, melodyjne, choć błażej treści kawałki z angielskim tekstem, po mistrzowsku wykonane, sprawiły na słuchaczach nadzwyczajne wrażenie. Bruno podczas śpiewu stał oparty o krzesło Heleny, lecz potem coraz bardziej zbliżał się do fortepianu, jak gdyby jakaś niewidzialna siła go tam ciągnęła, i prawdopodobnie sam nie wiedział, jak wielki podziw i uwielbienie malowały się na jego twarzy dla uroczej śpiewaczki.

Wtem ona zamknęła szybko fortepian.

— No, teraz dosyć! — zawołała. Musicie mieć państwo śliczne pojęcie o moim talencie. Nie, nie! Nie mówcie mi komplementów, nie lubię ich, nie uwierzyłbym w ich szczerłość. — Dobranoc, szanowna pani profesorowo! Proszę mi wybaczyć, jeżeli byłam zanadto szczerą, co się nie chwali dobrze wychowanej pannie! Postaram się poprawić.

Mówiąc to, podała rękę pani domu, następnie zwróciła się do milczącej ciągle Heleny i darząc ją siostrzanym uściskiem:

— Dobranoc, cicha, lękliwa ptaszyno! — rzekła. — Może nareszcie odzyskasz mowę, gdy ja, wichrzyciel spokoju, zniknę.

Brunonowi lekko tylko skinęła główką; a jemu ciężko było oczu oderwać od drzwi, które się za nią zamknęły.

Szczególna cisza zaległa pokój, przed chwilą tak pełny śpiewu i gwaru. Saldern chciał wszezać pogadankę, zaczął o tem i o owem, Helena odpowiadała na pytania jak zwykle spokojnie i łagodnie. Ale myśli młodego człowieka były gdzieindziej. Nie kończył zaczętego zdania, lub nagle głęboko się zamyślał, to znów wpatrywał się w ten punkt, gdzie poprzednio Ada siedziała. Wszystkie trzy osoby przy muszały się widocznie do grzeczności względem siebie i zaraz każdej lżej się zrobiło, gdy Saldern zabrał się do odejścia.

I dziś, jak zwykle, tkliwie ucałował narzeczoną, ale w oczach jego zjawił się jakiś dziwny, obcy wyraz, jakby nie ją widział, lecz tamtę, co wszystkie zmysły jego opanowała niepodzielnie.

— To jest prawdziwie anielskie stworzenie z tej Amerykanki — rzekła pani Boretius, gdy została z córką sam na sam. — Wątpię, czy jakkolwiek mężczyzna mógłby patrzeć na nią obojętnie.

— Tak, mateczko, i ja tak myślę — odpowiedziała Helena, zwykłym swym miękkim, bez cienia gniewu, głosem. Ale umilkła zaraz i długo w nocy leżała z otwartymi, pełnemi łez oczami, gdy matka spała głęboko.

III.

Stosunki pomiędzy młodą Amerykanką a jej gospodyniami stały się następnych dwu dni jeszcze serdeczniejsze. Panna Robin uważała się najwyraźniej za należącą do ich rodziny, a pani Boretius niejednokrotnie powtarzała, że czuje się o dziesięć lat młodszą, od chwili, gdy to miłe, wesole

stworzenie ożywia ich cichy dom. Nawet już parę razy czyniła córce wymówki, że nie odplaca się Adzie równą jej serdecznością i przyjaźnią.

— Ma zupełną rację, gdy cię prześladuje skrytością i małomównością. Istotnie, to nie uchodzi młodej dziewczynie uważać się, jakby za coś wyższego i być taką nieprzystępną.

Helena nie odpowiadała na te i tym podobne zarzuty, ale też i nie zmieniała swego postępowania. Spokojnie i swobodnie jak dawniej oddawała się gospodarskim zajęciom, a narzeczonemu ukazywała zawsze tą samą słodką, bladą twarzyczkę z lekkimi piętnami przebytych długoletnich zmartwień i smutków.

Zajęcia służbowe Brunona w ostatnich kilku dniach musiały widocznie znacznie się zmniejszyć, jeżeli zamiast jak dawniej trzech razy na tydzień, obecnie mógł co wieczór, odwiedzać narzeczoną, a jednocześnie i Adę, której oddawał nieustannie jakieś niewielkie przysługi i grzeczności. Spełniając jej prośbę, zajął się też między innymi zameldowaniem jej w biurze policyjnym i z dokumentów, które mu wręczyła w tym celu, dowiedział się, że ma zaledwie 20 lat i jest córką doktora z St. Louis. W nagrodę za podjęte trudy śpiewała mu Ada piosenki angielskie, a młody człowiek za każdym razem coraz się więcej niemi i nią zachwycał. I tak serdeczne, przyjacielskie zawiązały się między nimi stosunki, że Bruno ośmielił się zaprosić Adę na bal publiczny, wydawany z powodu założenia pewnego stowarzyszenia, na który miał się udać z narzeczoną. Pani Boretius od śmierci męża nie przyjmowała udziału w żadnych publicznych rozrywkach, a uważając, że Helena może się na balu znajdować pod opieką narzeczonego, postanowiła ów wieczór przepędzić u jednej ze swoich znajomych.

Amerykanka przyjęła z wielką radością propozycję Brunona, uważając się bowiem za siostrę Heleny, nic w tem niestosownego widzieć nie chciała. I od tej pory o niczem innym nie mówiła jak tylko o balu. Lecz nie o sobie myślała jedynie. Głównie chodziło jej o to, aby Helena ładnie wyglądała. Gdy młoda dziewczyna na jej usilne prośby poka-

zała skromną sukienkę, przygotowaną na projektowany bal, Ada stanowczo osądziła, że jest prosto niemożliwą.

— Ale przecie niepodobna w tak krótkim przeciągu czasu uszyć innej — zauważył Bruno nieśmiało, pomimo, że był tego samego zdania co Ada, i suknię, którą kiedy indziej wydałaby mu się zupełnie odpowiednią, dziś uważał za niemożliwą. Wreszcie Ada położyła koniec wszelkim debatom zwykłym sobie sposobem działania.

— Nie, rzeczywiście zapóźno jest na sprawienie nowej sukni; zresztą, sądząc po toaletach tutejszych pań, które spotykam na ulicy, wątpię, czy potrafiłoby w tem mieście stworzyć coś ładnego. Ale właśnie przywiozłam z sobą z Ameryki dwie świeżutkie balowe suknie i jestem pewna, że jedna z nich doskonałą będzie dla Helenki. Jakieś niewielkie zmiany potrafię sama zaprowadzić, jeżeli nie znajdziemy zręcznej krawcowej, bo nie myśl pan, panie von Saldern, że umiem tylko śpiewać i próżnować!

Młody człowiek uważał za obowiązek ucałować jej za te słowa rączki i serdecznie podziękować za uprzejmą ofiarę w imieniu swej narzeczonej, która obok nich siedziała milcząca. Ale jak tylko panna Robin wyszła od swego pokoju po obiecaną toaletę, Helena oświadczyła stanowczym tonem, który niemile dotknął Brunona, że nigdy nie wystąpi w pożyczonej sukni.

— Cóż to znów za przesadzone pojęcia! — zawołała pani Boretius, widząc lekko marszczące się brwi przyszłego zięcia. Rzeczywiście nie możesz się narażać na śmiech innych kobiet i powinnaś być wdzięczną pannie Robin za jej życzliwość dla ciebie.

Helena nic nie odpowiedziała, ale widać było z jej twarzy, że nie zmieniła postanowienia.

Wtedy Saldern odezwał się cierpko:

— Jeżeliś miała tę przyjacielską usługę stanowczo odrzucić, trzeba było to uczynić odrazu. Ale nieprzyjęcie jej teraz, gdym się już na nią zgodził, nie rozumiejąc twego upartego milczenia, byłoby zniewagą dla panny Robin, a mnie by postawiło w przykrej sytuacji.

Helena podniosła niego oczy, w których ujrzał tak głęboką boleść, że pożałował ostatnich słów swoich. Ale nie mógł już ich załagodzić, gdyż na progu ukazała się Amerykanka z przejrzystą błękitną tiulową sukienką, przybraną wspianiami koronkami.

— Ta będzie odpowiedniejsza — mówiła wesoło, nieuważając pomieszania na twarzach narzeczonych. — Ten kolor świetnie przypada do twojej twarzy i włosów, a ja obowiązuję się uczynić z ciebie prawdziwą królową balu, jeżeli mi w tem nie zechcesz przeszkadzać.

Helena nie sprzeciwiała się już więcej, a nawet zdobyła się na ciche słówko podziękowania. Saldern miał ochotę natychmiast zobaczyć narzeczoną w tym pięknym stroju, ale Ada potrząsnęła głową przecząco:

— O, nie. To będzie niespodzianka, której niech pan nie psuje zbytnią ciekawością.

I gdy jeszcze pani Boretius jej przywodziła, a Helena nie przeczyła, musiał Saldern odstąpić od swego żądania. Przez resztę wieczoru Bruno starał się jak dawniej być swobodnym i ożywionym, więc zaczął wesoło coś opowiadać Adzie, to znów udzielał wiadomości o niezłapanym dotąd złodzieju — ale widocznem było, że humor jego był sztuczny. Poraz pierwszy od czasu długiego narzeczeństwa zaszło nieporozumienie między nim a Heleną, a pełne smutku i żalu spojrzenie jej nieustannie miał przed oczyma.

Ada za to była w wyśmienitem usposobieniu, jak zresztą zawsze. Radaby była i tę swą nową przyjaciółkę ożywić i wciągnąć do zabawy. Wtem pani Boretius przypomniała sobie, że dziś po obiedzie przyszedł na jej ręce list do panny Robin, więc przepraszając za chwilowe przetrzymanie, oddała go jej.

Ada, spojrzawszy na charakter pisma na adresie, zawołała z niekłamana radością:

— Ach, to od mego brata! Jakże się cieszę, bo już od tak dawna nie dawał znaku życia o sobie.

Podeszła bliżej lampy i otworzyła kopertę. Ale czytając, smutniała coraz bardziej.

— Spodziewałam się lepszych wiadomości — mówiła, wolno składając zapisany arkusik. Boję się, drogie panie, czy wbrew mojej woli, nie będę zmuszoną wkrótce was opuścić.

Pani Boretius zbladła ze wzruszenia.

— Czyżby brata pani spotkało jakie nieszczęście?

— Miał zamiar spędzić tę zimę na studjach w Rzymie i Florencji. Obecnie pisze mi, że zmienił plan ułożony, gdyż czuje się od kilku tygodni bardzo cierpiący i pragnie wracać jak najprędzej do Ameryki. Przedtem jednak chciałby się ze mną zobaczyć, a nawet przepędzić wspólnie parę tygodni. Otóż prosi, abym wynajęła w jakimś cichym zakątku miasta mieszkanie dla nas obojga. Jutro już ma przyjechać, więc poprostu dziś jeszcze muszę znaleźć mieszkanie, bo niepodobna, abyście państwo mieli gości jeszcze i chorego.

— O uczyniłybyśmy to z największą radością, gdyby tylko to się dało — rzekła serdecznie pani Boretius. Ale jedyne schronienie, jakie możemy odstąpić, jest to małeńki pokoik, prawie komórka o jednym oknie, w którym niepodobna przez umieścić brata pańskiego.

Ada Robin zdawała się nad tem namyślać.

— Można będzie jednak popróbować, jak to będzie? — Brat mój zupełnie nie jest wymagający i nie rozpieszczony, nie przywiązujący zbyt wiele wagi do pozornego komfortu. Jestem pewna, że byłby tu ze wszystkiego zadowolony. Tylko waham się, czy mogę przyjąć dla niego to schronienie od pań. Gdyż wskutek choroby stał się dziwakiem, nieraz ma takie chwile, że do nikogo słowa nie chce przemówić i siedzi wówczas najchętniej samotnie w pokoju. Nie, nie będzie miłym lokatorem.

Pani Boretius bardzo wymownie i wyczerpująco starała się zbić wszelkie Ady obawy. Nawet Bruno, przerażony samą myślą utraty tak miłej przyjaciółki, jasno przekonywał, że wszystko da się załatwić wedle życzenia chorego gościa i w końcu stanęło na tem, że Morton Robin zajedzie przede wszystkim do mieszkania pani Boretius, i wtedy dopiero przeniesie się z siostrą do innego, gdy sam tego zażąda.

Ada gorąco dziękowała wszystkim za życzliwość i dobre chęci, a odchodząc do swego pokoiku po raz pierwszy podała rękę Brunonowi, mówiąc:

— W przyszłości niejednokrotnie korzystać będę z pańskiej uprzejmości, panie von Saldern — gdyż niestety, brat mój jest bardzo niepraktyczny i niezaradny. Czy mogę liczyć na pańską pomoc i radę bez obawy narażenia się zbyt mocno?

Spojrzenie, którem Ada obdarzyła Brunona przytem pytaniu, o mało nie wywołało z jego strony zbyt gorących i czułych obietnic, tak czuł się szczęśliwy, że służyć jej może. Ale obecność pani Boretius i jej córki powstrzymała niewłaściwy wybuch. Poprzestał więc na wyrzeczeniu kilku słówek zwykłej towarzyskiej grzeczności.

— Dziękuję panu — szepnęła, lekko ściskając jego rękę. — W każdym razie przyjazd mego brata nie przeszkodzi mi być na balu i bawić się na nim tak, jak sobie obiecuję.

IV.

Nazajutrz przed wieczorem udała się Ada na dworzec kolejowy na spotkanie brata, a w godzinę później wracała już z nim razem. Istotnie musiał być bardzo chorym, bo pomimo ciepła jesiennego nasuniętą miał czapkę podróżną mocno na czoło, a szyję owiniętą w ciepłą białą chustkę po uszy. Wolniutko i co krok się zatrzymując, wstępował na wązkie schody, kaszląc i oddychając ciężko.

Pani Boretius, wyczekująca na progu, z litością przyglądała się jego chudej, mizernej, ogolonej bladej twarzy. Pan Morton, ujrawszy gospodynię domu, grzecznie uchylił czapki, z pod której ukazały się gładko przyczesane czerwono-rude włosy, z jednej strony spadające na czoło. Słabym, bezdźwięcznym głosem szepnął parę słów, dziękując za gościn-

ne przyjęcie. Ada tłumaczyła chorego, iż tak jest zmęczony podróżą, że musi parę chwil poleżeć w spokoju. Zaprowadziła go więc sama do przeznaczonego dlań pokoiku. Pani Boretius z niecierpliwością oczekiwała przyjścia Ady, bojąc się nieustannie, że skromne mieszkanko nie zadowolni jej brata.

Tym większa była jej radość, gdy Ada, wróciwszy po chwili do jadalnego pokoju, oznajmiła w imieniu brata, że pokoik bardzo mu się podoba, że zadowolony z cichej dzielnicy miasta, a najwięcej rad z tego, że nikt, jak go zapewniała siostra, nie będzie rościł najmniejszych pretensji do jego towarzystwa.

Panie Boretius obawiały się nieco z początku, czy z chorym dziwakiem nie będzie zbyt wielkiego kłopotu, lecz wkrótce przekonały się, że pan Morton Robin jest najspokojniejszym i najidealniejszym lokatorem, jakiego można było wymarzyć. Jadał sam jeden w swoim pokoju, nie wymagając od Ady nawet towarzystwa, która przebywała jak dawniej, w familijnem kółku, ożywiając je jak zwykle swym świetnym humorem, bynajmniej nie popsutym złym stanem zdrowia brata. Pierwszego zaraz wieczoru po przyjeździe był Robin na wspólnej kolacji przez kwadrans, zapoznał się z Brunonem von Saldern i na zapytanie tegoż o zdrowie odpowiedział swym cichym, bezdźwięcznym głosem, że głównie cierpi na ogromne wstrząśnienie systemu nerwowego, wskutek czego i oczy są silnie zaatakowane. Na obecnych zrobił wrażenie wykształconego i dobrze wychowanego człowieka, pomimo, że po niemiecku nie mówił tak biegle jak siostra, do której zresztą nie był zupełnie podobny.

Ada w ciągu dnia zaglądała kilkakrotnie do brata, ale głównie zajęta była przygotowaniem do balu, na który się wybierała z parą narzeczonych

Okazało się, że przy sukni Heleny trzeba było więcej zmian porobić, niż wydawało się początkowo i Ada pomimo przedstawień i matki i córki, sama je wykonywała. I ponieważ wszystko, do czego się dotknęła, i co otaczało tę czarodziejkę było wykwintne i wdzięczne, więc i z tej sukni zrobiła w końcu istne arcydzieło, a pani Boretius nie

miała słów dla wyrażenia zachwytu i podziwu, gdy ujrzała w dniu balu wystrojoną swą córkę. Ada osobiście ją ubierała i jawnie dumną była ze swego dzieła.

— No, ale teraz, zróbże weselszą minkę, droga Helenko — prosiła — bo ja swoje skończyłam, reszta do ciebie należy, aby ładnie wyglądać.

— Wybacz mi, panno Robin, że nie mogę spełnić twego żądania — odpowiedziało dziewczę. — Ale, niestety, nie umiem poprawić twarzy, jaką mnie obdarzyła natura.

Istotnie tylko jedna Helenka nie umiała ocenić zmiany, jaka zaszła w całej jej powierzchowności w tym uroczym stroju. Z kopciuszka stała się księżniczką z bajki. Ale ani śladu nie było w jej twarzy radości ni zadowolenia. Chcąc przymocować jakiś kwiatek na ramieniu, spojrzała po raz pierwszy w tej sukni w lustro i lekki rumieniec okraślił bladą twarzyczkę. Ale nie był to rumieniec zachwytu nad sobą, lecz wstydu.

Smutna usiadła w bawialnym pokoju, czekając na ubierającą się u siebie Adę, gdy wtem stanął na progu Bruno, olśniony widokiem swej pięknej narzeczonej.

— Jak czarująco wyglądasz! — zawołał tonem najwyższego zdumienia. — Prawdziwie panna Robin jest skończoną wrózką.

Zbliżył się, aby ją uściskać, ale Helena, nie mogąc powstrzymać żalu, który rozpierał jej piersi, opuściła główkę na ramię narzeczonego i głośnym wybuchnęła płaczem.

— Dziecko, co tobie? — pytał zaniepokojony Bruno. Płaczesz, gdy za chwilę udać się mamy na bal?

— Ach, Brunonie — prosiła cichym, i przerywanym przez płacz głosem, — czyż koniecznie, nieodwołalnie muszę iść w tej sukni na zabawę? O, pozwól mi włożyć inną lub zostać w domu!

Bruno ściągnął brwi zirytowany i powiedział tak ostro, jak nigdy dotąd:

— Ani jedno, ani drugie! I bardzo cię proszę, Heleno, uwolnij mię od podobnych kaprysów. Zaiste panna Robin nieszczególną powzięła by o tobie opinię, gdyby była świadkiem tej śmiesznej sceny.

Wtenczas po raz pierwszy słodki zwykle głos Heleny stał się szorstkim i zuchwałym:

— Czy istotnie tak bardzo zależy ci na zdaniu panny Robin, że tylko o niem myślisz, gdy cokolwiek mówię i czy-nię?

Saldern, który szybko i niecierpliwie chodził po pokoju, zatrzymał się przed nią:

— Tak, jeżeli chcesz wiedzieć, zależy mi bardzo na jej zdaniu. I bardzo bym pragnął, abyś ją sobie wzięła za wzór do naśladowania.

Dalszą rozmowę przerwało ukazanie się Ady, która wyglądała jak niebiańskie jakieś zjawisko w śnieżno-białej wspa-niałej toalecie, z promiennym uśmiechem na cudnych, po-wabnych usteczkach.

— Niech mi pan wybaczy, panie von Saldern, że tak długo dałam czekać na siebie. Ale pan wiesz, że niesło-wność jest nieodłączną wadą mojej płci.

Bruno chciał coś bardzo grzecznego i pochlebnego o jej wyglądzie powiedzieć, ale wszystko, cokolwiek miał wyrazić wydało mu się zbyt błahe i dalekie od prawdy,—poprostu nie mógł odpowiednich słów dobrać. Więc długo milczał wzru-szony i gdy płaszczem okrywał jej białe ramiona, i potem, w drodze do miejsca zabawy. Za to Ada szczebiotała nie-ustannie o różnych rzeczach, a między innymi dopytywała się, jak zwykle, czy złapano już nareszcie owego poszukiwa-nego złoczyńcę. Saldern odpowiedział przecząco, dodając, że najprawdopodobniej ukrywa się dodąd w Berlinie, jeżeli, co też możliwe, jakimś cudem nie przedostał się już przez gra-nicę niemiecką na morze.

— W każdym razie nie zwrócił się w nasze strony — dowodził stanowczo — gdyż niepodobna, aby przy tak nad-zwyczajnej gorliwości w poszukiwaniach naszych urzędników, nie wysledzono jego kryjówki. A o tem, żeby miał na któ-rym z odpływających z tego portu okrętów odjechać, niema co i mówić. Jednak ten łotr sprytniejszy jest, niżby się zda-wało, sądząc po wypadku z pugilaresem.

— A może, znajdując się w bezpiecznym miejscu, poza granicami niemieckiej policji, tryumfuje w najlepsze, że tak

z niej zadrwił — zaśmiała się Ada. — W takim razie nie będzie mógł mi pan zaprzeczyć, gdy kiedykolwiek pozwolę sobie zwątpić w nieomylność pańskiej policyjnej władzy.

Potem przeszli na inny temat rozmowy, nareszcie dojechali do celu. Helena przez całą drogę nie odezwała się ani jednym słówkiem.

V.

— Nie, pani. Niepodobna, abyś pani rzeczywiście miała ten zamiar. Pani tego nie uczynisz! Musi się znaleźć jakiś sposób, aby zniweczyć to postanowienie.

Tak mówił Bruno von Saldern do Ady w jednym z bocznych, ustronnych gabinetów sali balowej. Parę ostatnich godzin jej jedynie poświęcił; żadnego tancerza już do niej nie dopuszczał i gdy przed chwilą skarżyła się na nieznośne gorąco w sali, odprowadził ją tutaj, gdzie swobodnie i bez przeszkody mogli rozmawiać sam na sam. Zachowanie się obojga było bez zarzutu, przyzwoite, lecz choć mówili o rzeczach obojętnych na pozór, jednak jakiś gorący ogień w oczach i drżenie głosu świadczyło o silnie odczuwanych wrażeniach obojgu. Właśnie Ada, przerywając jakąś wesołą rozmowę, jak to bywało w jej zwyczaju, oznajmiła, że dzisiejszy wieczór uważa za pożegnalny, gdyż bezwarunkowo musi wkrótce opuścić to miasto. Odpowiedź Salderna najdobitniej świadczyła, jak go ta wiadomość dotknęła.

Ada mówiła dalej:

— Cóż robić! Jabym jak najchętniej została, ale nie sposób. Brat mój przybył tu w zamiarze odjechania wkrótce do Ameryki. Jakkolwiek ciężko by mi było znów z nim się rozstać, jednak widząc, jak bardzo szkodzi mu tutejszy klimat, w ostatnich paru dniach czuje się bowiem znacznie gorzej, samabym go wyprawiła na morze jak najprędzej.

Gdyby nie głupi wypadek z jego paszportem, mógłby wyjechać odchodzącym jutro statkiem.

— Jakiż to wypadek, panno Ado? Może ta przeszkoda da się jakoś usunąć?

— Chyba nie, gdyż o ile wiem, tutejsza władza jest bardzo surowa i pedantyczna. Otóż taka jest rzecz: wspominałam już panu, że mój brat jest niepraktyczny i nieradny. Okazało się to zaraz po jego przyjeździe, gdy, chcąc oddać pani Boretius jego paszport do zameldowania w policji, nie mogłam go znaleźć. Przerzuciłam wszystkie jego rzeczy — napróżno. W obecnym stanie jego zdrowia niepodobna czekać na nadesłanie z domu nowego paszportu, gdyż to odwlekłoby wyjazd najmniej na trzy lub cztery tygodnie, a do tego czasu chyba by biedny Morton w tym szkodliwym dla niego klimacie już nie dożył. Sam on to czuje — więc postanowiliśmy udać się jutro do Baden-Baden i tam czekać na paszport.

Przez długą chwilę Bruno milczał głęboko zamyślony. Nagle, jak gdyby powziął jakieś postanowienie, zapytał:

— A gdybym bratu pani pomimo braku potrzebnych papierów umożliwił wyjazd do Ameryki — czy miałyby pani jeszcze powód do opuszczenia nas?

Ada uśmiechnęła się:

— Możebym powód znalazła, tylko nie wiem, czy miałabym się z niego korzystać.

Ile wdzięczności za te słowa kryło się w oczach Brunona, trudno opisać. Więc zerwał się żywo i zaczął namietać białe rączki, bez końca.

— Co pan robi, panie von Saldern! Mógłby kto zobaczyć.

— Przyrzecz mi, panno Ado, że zostajesz, a ja ci daję słowo honoru, że brat pani wyjedzie bez najmniejszej przeszkody.

— Nawet wtedy, gdyby chciał jechać jutro?

— Nawet wtedy. Ale czy już pani przygotowała wszystko do podróży?

— Wszystko. Wczoraj informowałam się w biurze statków parowych, czy możnaby jeszcze dostać wolną kajutę

na statku „Dunaj”. Odpowiedziano mi, że można, ale trzeba się najpóźniej zgłosić o nią na trzy godziny przed odejściem statku. A „Dunaj” odpływa jutro o pierwszej po południu.

— To dobrze. Jutrzejszy dzień mam właśnie wolny od służby i przyrzekam osobiście zaprowadzić brata pani na pokład o naznaczonej godzinie.

— Nie mam słów na wyrażenie wdzięczności, jaką czuję dla pana, panie von Saldern.

Teraz jej oczy więcej mówiły niż słowa, i Bruno, czując się pod ich wszechwładnym urokiem, byłby może już nie mógł się pohamować w gorących wyznaniach przepelnionego namiętnością serca, gdyby Ada nie przeszkodziła temu, przypominając mu Helenę.

— Trzeba zobaczyć, co się z nią dzieje — mówiła. Szczerze bym pragnęła, aby ona również tak się świetnie bawiła, jak ja.

Bruno podał rękę młodej dziewczynie i poprowadził do sali. Ale napróżno szukali Heleny między różnobarwnym tłumem tańczących. Po kwadransie doszli do przekonania, że niema jej tu nigdzie. Saldern, naprawdę zaniepokojony, zapytywał wszystkich znajomych o nią, ale nikt od godziny przeszło jej nie widział.

— A więc natychmiast musimy wracać do domu zacydowała wkońcu Ada — najprawdopodobniej wróciła tam sama. Napróżno byłoby tu jej dłużej szukać.

Saldern nie sprzeciwił się temu, ale odbierając w garderobie palta, zapytał pilnującej ich kobiety:

— Czy nie przypomina sobie pani młodej osoby, z którą razem przybyliśmy? Czy jej pani później nie widziała?

— Owszem — odpowiedziała zapytana, — przed godziną stąd odjechała. Prosiła mię, abym, jeżeli pan się o nią zapyta, objaśniła, że z powodu silnego bólu głowy odjechała do domu. Ale zapewniała, że więcej nic jej nie jest i że nie powinien się pan niepokoić:

Saldern, który już był włożył palto na siebie, zrzucił w jednej chwili i, zdejmując z Ady okrywkę, z gniewem zawołał:

— A więc znów te dziecinne kaprysy! Śmieszneby to było, abym pozwolił tak sobą powodować. Nie! Zostaniemy bez żadnych skrupułów.

Ada niby to się z początku nie zgadzała, ale gdy Bruno, nalegając coraz bardziej, tłumaczył i przekonywał, że teraz właśnie okazać mu może obiecaną wdzięczność, uległa, i razem wrócili do sali balowej.

Pomylił się jednak Bruno von Saldern, myśląc, że równie wesoło i przyjemnie, jak poprzednio, bawić się będzie. Choć nieustannie prawie tańczył z Adą, która, jak elf leciuchna, wspierała się na jego ramieniu; choć na pozór wesoło rozmawiał o przeróżnych rzeczach i śmiał się i dowcipkował, jednak czuł na dnie duszy jakiś przykry niepokój, a głównie niezadowolenie z siebie samego. I gdy przed pół godziną o mało nie wypowiedział słowa, mogącego mieć wpływ na całą jego przyszłość, teraz jakby unikał niebezpiecznej poufniejszej rozmowy z Adą. Obraz Heleny nieustannie rysował się mu przed oczyma, a wspomnienie jej łagodnej, smutnej twarzyczki budziło uczucie niezmiernej litości i żalu. Zbrzydła mu już cała ta atmosfera balowa, tak jak gdyby wraz zniknięciem narzeczonej, gdzieś i cały urok zabawy odleciał, i doszło do tego, że propozycję powrotu do domu, uczynioną przez pannę Robin, przyjął z radością.

— Pozwoli pani się odprowadzić — zapytał, wsadzając Adę do dorożki? — Ale tem zapytaniem spełniał już tylko zwyczajną grzeczność towarzyską i poprostu ucieszył się, gdy Ada po przyjacielsku prosiła go, aby poniechał tej chęci.

— Nie mogłabym śmiało spojrzeć w oczy pańskiej narzeczonej — dodała cicho, gdy tymczasem silniejszy uścisk jej rączki mówił co innego. — Zresztą, lepiej dla nas obojga, jeżeli pojedą sama.

— Jak pani rozkaże! — odpowiedział, zrzekając się powtórzenia prośby. — A więc dowidzenia, do jutra przed południem. Punkt o jedenastej stawię się na miejscu.

Koła powozu unoszącego piękną Amerykankę zaturkotały w ciemności, a Bruno ze smutnem i zadumanem obliczem wracał samotny do domu.

VI.

Ciężką walkę duchową stoczył z sobą samym Bruno von Seldern tej bezsennej po-balowej nocy. Ale gdy pierwsze promienie światła wtargnęły przez okno do jego sypialni, znalazły go zupełnie odrodzonym. Głos honoru zwyciężył głos krwi wzburzonej przez zręczną uwodzicielkę. Wstał z uciszonym sumieniem i zupełnie pewny siebie. Postanowił więc dotrzymać danego pannie Robin słowa, ale jednocześnie przysiągł sobie unikać zbyt poufnych i bliskich z niebezpieczną pięknnością stosunków. Nie pojmował teraz, jak mógł choć na chwilę opuścić Helenę, która mu przez długie lata tak wierną i kochaną była, dla kobiety, którą znał jedynie z pięknej twarzy.

Idąc do domu profesorowej, spotkał na drodze jednego ze swych podwładnych urzędników, ciesząc się, że będzie mógł przez niego załatwić sprawę ulokowania brata Ady na statku „Dunaj“ i wylegitymowania go tamże, a natomiast obiecując sobie jak najprędze zobaczenie się z Heleną. Objaśnwszy więc urzędnika, o co chodzi, kazał mu czekać przed domem.

Helena sama osobiście otworzyła mu drzwi, ale na jego widok tak się szybko cofnęła, że Bruno nie mógł nawet serdeczniej przywitać.

— Bądź tak dobry zatrzymać się tu chwilę — rzekła cicho, wskazując bawialny pokój — ja natychmiast wrócę.

Naturalnie nie powinien się był spodziewać gorętszego przyjęcia z jej strony. A jaki bezgranicznie smutny był głos jej. Biedactwo! Otóż zrzucił siebie resztki fałszywej

męskiej dumy i będzie błagał o przebaczenie. Więc gdy po minucie weszła Helena blada, z podsiniałymi oczami, na pozór niby spokojna i pogodna, przybiegł do niej i, biorąc obie jej ręce w swoje, zawołał:

— Przebacz mi, droga moja! Ja wiem, że przezemnie cierpisz, i jest mi to niewymownie przykro. Przysięgam ci odpędzić złe duchy, które zesłały te kilka dni ostatnich dla nas.

Helena cofnęła ręce i usuwając się nieco od narzeczonego, rzekła poważnie:

— Przedewszystkiem Brunonie nie wiem, co ci mam przebaczyć? Nie, ja się zupełnie nie gniewam. Ale widzisz, przyszłam obecnie do przekonania, żeśmy oboje byli w błędzie, który powinniśmy naprawić, jeżeli nie chcemy być nieszczęśliwymi. Uczyńmy to śmiało i ucziwie, bez zawziętości i urazy. Zwracam ci więc twe słowo i proszę, zwolnij i mnie z danej przysięgi.

Saldern czuł się niepoczyszonym. Najgorętszemi i niewymowniejszemi słowami starał się przekonać Helenę, że fałszywie tłumaczy sobie jego zachowanie się podczas ostatnich kilku dni; że serce jego jedynie i wyłącznie do niej tylko należy i nigdy nie będzie należało do innej. Ale Helena słuchała go milcząca, ze spuszczoną głową i ramionami. Napróżno się spodziewał, że padnie mu w objęcia i w gorącym, serdecznym pocałunku udzieli przebaczenia.

Omylił się jednak.

— Kiedy to nie o to chodzi, Brunonie. Nigdy nie podejrzewałam, że mię porzucisz. Tylko, widzisz, ja teraz miałam sposobność poraz pierwszy w życiu porównać się z innymi, które również jak ja są dla ciebie dostępne, a które o wiele są ponętniejsze odemnie. Jestem już starą panną i nic we mnie niema godnego kochania. Że tybyś pomimo to gotów był pojąć mię za żonę, o tem nie wątpię, jak nie wątpię, że i teraz ciągle uważasz sobie za obowiązek dotrzymać mi wierności. Ale bym popełniła wielki błąd względem ciebie i siebie samej, gdybym się na to zgodziła. Więc jestem nieodwołalnie zdecydowana rozerwać nasze śluby.

Jeszcze raz próbował Saldern wszelkimi sposobami zmienić jej zdanie, ale gdy się przekonał, że wszystko na próżno, że nie przełamie uporu dziewczyny, dał przystęp w końcu swej dumie i oświadczył, że w takim razie nie pozostaje mu nic innego, jak przychylić się do jej żądania.

— Odejdę zatem, aby nigdy nie wrócić — zakończył. — Ale ty jedynie będziesz za ten czyn odpowiedzialną. Wybacz mi tylko jeszcze, że pomimo tego co zaszło, korzystać muszę z twojej gościnności. Muszę bowiem dotrzymać przyrzeczenia danego pannie Robin i w tym celu zmuszony jestem udzielić jej pewnych ustnych informacji.

To powiedziawszy, zamierzał zapukać do drzwi pokoju Mortona Robin. Helena śledziła go oczami, a w zmienionych rysach jej twarzy widać było, jak bardzo z sobą walczyła. Po chwili wahania zawołała drżącym głosem:

— Zaczekaj sekundę, Brunonie! Tak mi ciężko o tem mówić, gdyż obawiam się, aby moje pobudki nie były fałszywie zrozumiane. Ale panna Robin mówiła mi dziś rano, jakiego podejmujesz się zobowiązania względem niej, i jakkolwiek nie wiele tu mogę przeszkodzić, jednak nie podobna mi przemilczeć, że wiem, iż cię oszukują.

Saldern spojrzął na nią zdumiony:

— Co to znaczy, Heleno? Kto mnie oszukuje? Czy nie panna Robin?

— Ona albo jej brat, gdyż są z sobą w znowie. Ja tylko wiem, że ten mniemany chory od chwili swego tu przybycia odgrywa jakąś komedję, widocznie ciebie lub nas stara się otumanić.

— A co cię naprowadziło na ten domysł?

— Gdym wróciła wczoraj z balu, mamy nie było jeszcze w domu. Pan Robin widocznie nie słyszał, gdym drzwi wchodowe otwierała i sądził, że sam jeden jest w całym mieszkaniu. Usiadłam tu, w ciemnym pokoju, gdyż głowa okrutnie mię bolała, światło lampy raziło. Drzwi do oświetlonego pokoju panny Ady były na pół otwarte i z mojego miejsca mogłam widzieć dokładnie, co się tam dzieje. Otóż, jakie było moje zdziwienie, gdym zobaczyła pana Mortona nie schy-

lonego i niedoleźnego, jakiego znamy, lecz prosto i energicznie idącego, całkiem zdrowego człowieka. Przez chwilę chodził po pokoju tam i napowrót, mówiąc coś do siebie półgłosem, z czego nie wiele rozumiałam. Nagle wykrzyknął wyraźnie po angielsku: „Przekłeta historia, podła komedja! To chyba gorsze niż najciemniejsze więzienie!“ Potem stanął przed lustrem i bardzo uważnie przyglądał się swej twarzy. Strach mię zdjął wielki, w całej tej istocie było coś wstrętnego. Zaledwie mogłam oddychać.

W końcu poszedł do swego pokoju, a ja postanowiłam, skłonić mamę, aby mu wymówiła mieszkanie. Nieopowiadałabym tego tobie przedewszystkiem, ale, dowiedziawszy się, że masz mu ułatwić wyjazd do Ameryki, nie mogę się pozbyć trwogi i niepokoju straszego.

Saldern doznał wrażenia, jak gdyby kto wiadro wody zimnej wylał na niego. Schwycił się obiema rękami za nieprzytomną głowę, aż się Helena przestraszyła, widząc jego tak strasznie zmienione rysy.

— Czyż to być może! — szeptał. — Czy to być może!

W tej chwili z poza zamkniętych drzwi dał się słyszeć srebrny głos Ady!

— Czy nareszcie jesteś gotów, Mortonie? Pan von Saldern lada moment nadejdzie.

Saldern wyprostował się. Z ponurą a stanowczą twarzą zbliżył się do drzwi i zastukał. Na uprzejme: Ady „proszę“, wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Z bijącym sercem, strwożona stała Helena, przeczuwając coś straszego.

Wtem usłyszała przeraźliwy krzyk kobiecy i zaraz potem podniesiony głos Brunona:

— W imieniu prawa, aresztuję was!

Teraz sekundę trwała cisza zupełna. Potem dało się słyszeć głuche szamotanie się. Potem jakiś łoskot, jakby upadku dwóch ludzi, jakiś jęk słaby. A potem, otworzyły się drzwi raptownie i Morton Robin wraz z siostrą wypadli, biegnąc w szalonym pośpiechu do drzwi wchodowych. Helena chciała ich zatrzymać w drodze, ale o wiele od niej silniej-

sza Amerykanka odepchnęła ją na bok. Gdy wtem ujrzała coś nieoczekiwanego a strasznego zarazem: oto na progu pokoju Ady, trzymając się jedną ręką drzwi, a drugą, zbroczoną krwią, przyciskając do piersi, stanął śmiertelnie blady Bruno. Chciał krzyczeć widocznie, bo usta szeroko otworzył, ale zaledwie dostłyszalnym i jakimś dziwnym głosem wyszeptał:

— Pochwyćcie go... złodziej z banku... morderca! Hele no... tam... na dole... przy drzwiach... policjant...

Nie mógł dokończyć, gdyż resztki sił go opuściły, i bez zmysłów upadł na ziemię. Helena, na razie obezwładniona z przerażenia, teraz już zupełnie przyszła do siebie. W jednej chwili zbliżyła się do okna i zawołała jak mogła najgłośniejszą na ulicę:

— Trzymajcie ich — mordercy!

Następnie, nie czekając na skutek swego krzyku, przybiegła do omdlałego, otoczyła ramionami, obsypując tak pieśczołliwymi, miłosnemi wyrazami, jakich dotąd jeszcze nigdy nie wymówiły jej wargi.

Widok uciekających złoczyńców takie zrobił na stojącym przed domem policjancie wrażenie, że gdyby był nawet nie usłyszał okrzyku panny Boretius, byłby ich z największą pewnością zatrzymał. Tak więc ucieczka mniemanych Robinów nie udała się, a teje samej godziny okradziony bank berliński otrzymał telegraficzną wiadomość o schwytaniu tak długo poszukiwanego oszusta, przy którym znaleziono większą część skradzionych pieniędzy.

Późniejsze śledztwo wykryło, że łotr ów nazywał się James Hurley i był oddawna długo a napróżno poszukiwanym, głośnym na świat cały złoczyńcą. Mniemana miss Ada Robin była śpiewaczką ogródkową z New-Yorku. Jak się okazało, była współniczką Hurley'a, który przy jej pomocy o mały włos nie dostał się na wolność.

Bruno von Saldern, ugodzony sztyłem przez złoczyńcę w chwili, gdy chciał przeszkodzić ucieczce, otrzymał cięż-

ką ranę. Na usilne prośby Heleny pozostał w jej domu i był tkliwie przez nią pielęgnowany. Przez wiele dni trwało niebezpieczeństwo życia. Ale w końcu silna i młoda natura zwyciężyła i powstał z łoża boleści zdrów ciałem i duchem.

Naturalnie o zerwaniu między narzeczonymi nie było już mowy. Wszystko, co niegdyś ich dzieliło i zrażało, znikło, i chyba nawet w najpierwszych chwilach ich miłości nie byli tak szczęśliwi jak teraz, a Bruno częściej niż kiedykolwiek myślał z upragnieniem o coraz bardziej zbliżającym się dniu ślubu.

Zniżają się szczyty, otwierają się góry.

Za dawnych czasów ściana skalna, wznosząca się pomiędzy dwoma krajami, rozdzielała je nieprzebytą zaporą, czyniła je tak obcemi sobie wzajem, jak gdyby ocean je przedzielał.

Ale stan rzeczy zmienił się. Dzięki postępowi, w zakresie budowy kolei żelaznych, dzięki śmiałości i wiedzy inżynierów, góry zostały pokonane. Jedne przewiercone wskroś, po innych wspięto się w górę, na same szczyty. Zmieniło to odrazu i gruntownie stosunki pomiędzy różnemi narodami. Handel dokonał istnej rewolucji.

Pierwsze koleje po przez Alpy zbudowano w Austrii, korzystając z dość niskich wąwozów, które przeryniają wysokie ściany skalne w Tyrolu i Styryi.

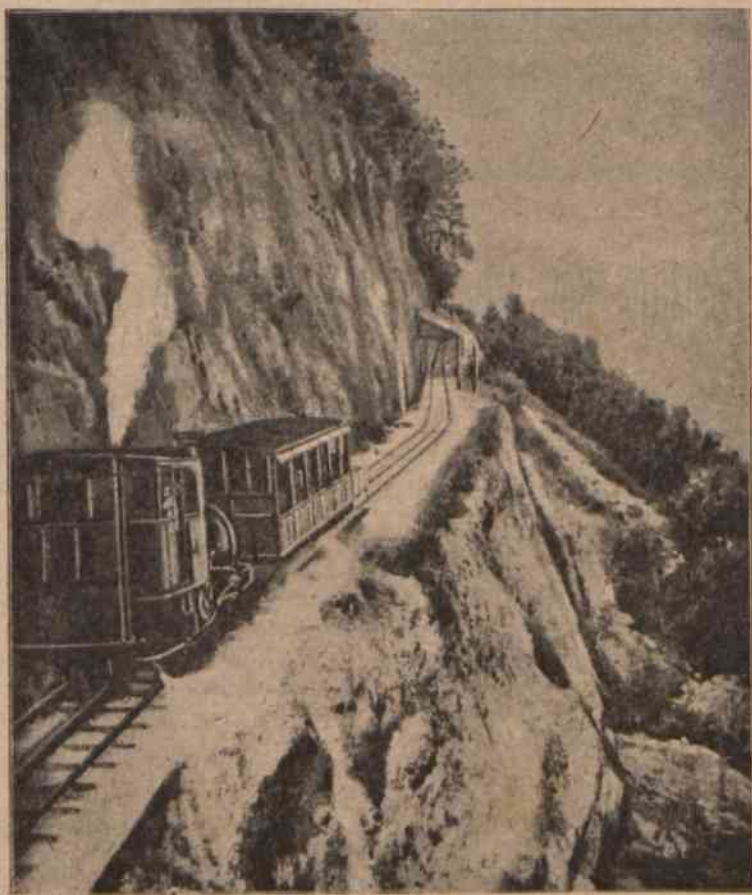
W r. 1853 otworzono kolej na Semmering, prowadzącą od Wiednia do Gram i łączącą stolicę austriacką z Trjestem, wielkim portem Austrjackim. Kolej biegnie na wysokości 881 metrów.

W czternaście lat potem przez wąwóz Breuner wytknięta została nowa linja, przeryniająca Alpy i łącząca Monachium z Weroną, południowe Niemcy z górnemi Włochami.

Ale takie nizkie i dostępne wąwozy są nieliczne i dla zwalczania przeszkody, jaką Alpy stawały stosunkom międzynarodowym, należało je przewiercić za pomocą tunelu.

W r. 1857 postanowiono zatem zbudować tunel w górze Cenis.

Przedsięwzięcie zdawało się niemożliwym do spełnienia.

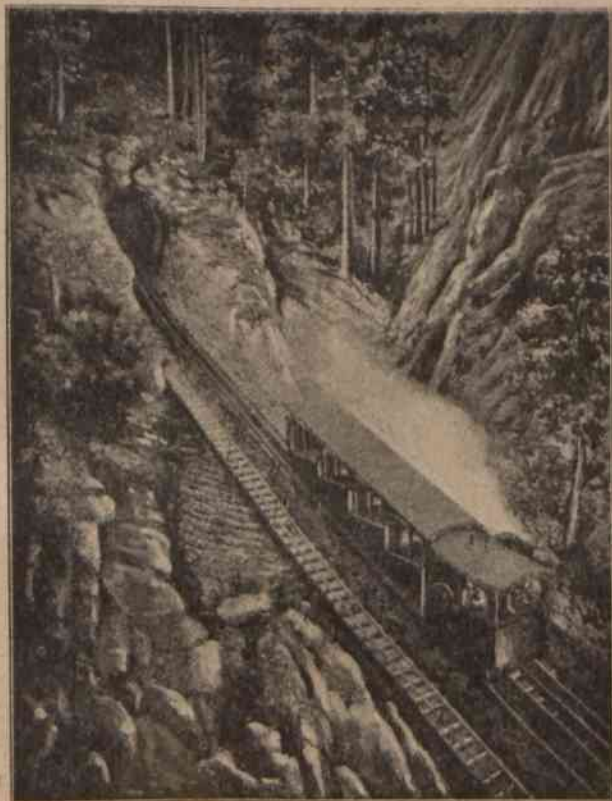


Szyny ułożone na brzegu skalnym tak, iż zdają się wisieć w powietrzu.

Podziemie musiało mieć dwanaście kilometrów. Jakże tu przewiercić skałę tak głęboką?

Nie można było nawet o tem myśleć przy narzędziach, używanych do owego czasu: pozwalały one posuwać się za ledwie o 14 metrów na miesiąc. W tym stosunku potrzebaby dwudziestu pięciu lat dla wykonania projektu.

Geniusz inżyniera sabaudzkiego, nazwiskiem Sommeil-lier umożliwił to dzieło olbrzymie. Wynaleziona przez niego



W innych miejscach szyny zanurzają się w głąb gór, biegnąc tunelami

maszyna poruszała się za pomocą ścieśnionego powietrza: Dzięki tej maszynie posuwano się 800—1200 metrów rocznie i 26-grudnia 1870 r. runął ostatni złam skalny, oddzielający oba skłony Alp.

Data owa jest początkiem nowej ery dla świata. Francja dokonała tego dzieła, przedsięwziętego przez Włochy.

W dwa miesiące po otwarciu tunelu zmarł jego twórca, Sommeilier. Dziś jego nazwisko znane jest tylko fachowcom, a jednak, jeśli Lesseps zbliżył Wschód z Zachodem, Sommeillier obalił góry, przeszkadzające narodom europejskim w stosunkach wzajemnych ze sobą.

„Niema już Pyrenejów!“ — mówił Ludwik XIV; słuszniej można by dziś powiedzieć, że nie istnieją już Alpy.

Zwycięstwo nad górą Cenis w kilka lat potem zdecydowało Niemcy, Szwajcarję i Włochy do przedsięwzięcia budowy tunelu przez Saint-Gothard.

Przewiercenie tej góry zostało dokonane wyłącznie przez Niemców, myśl została powzięta przez Bismarcka gwoli zwiększenia potęgi handlowej nowego Cesarstwa.

Ów tunel jest o 3 kilometry dłuższy od wywierconego przez Cenis. Ułożenie relsów wymagało nadzwyczajnej kunsztownej pracy.

Oprócz głównego tunelu, trzeba było przewiercić 55 mniejszych, ogólna ich długość wynosi 41 kilometrów. To też jadąc przez Gothard z Lucerny do Chiosso przebywa się 53 kilometrów pod ziemię. Ta kolej pod Saint-Gothardem jest cudem cudów. Żadna inna nie wyrównywa jej pod względem malowniczości. W niektórych miejscach szyny ułożone na brzegu skalnym, tak iż zdają się mieścić w powietrzu. W innych miejscach, zanurzają się w głąb góry biegnąc tunelami, wytkniętymi w kształt korkociągów, tak, że gdy dojeżdżasz do wylotu, nad samą głową widzisz wjazd do podziemia.

Na skłonie szwajcarskim dla osiągnięcia tunelu, kolej wznosi się na znaczną wysokość po nad ciemną doliną Reuss, zataczając podłużne kręgi jeden nad drugim, wreszcie, pnąc się wciąż w górę, wjeżdża do Włoch krainy, światła i wesela.

Ta śliczna kolej jest przytem jedną z większych dróg handlowych Europy. Ta linja stała się zgubną dla Francji i skierowała handel ku wschodowi, przez Hamburg, Rotterdam łącząc Antwerpię z Genuą; z każdym rokiem ruch

w porcie geneueńskim zwiększa się, zaś w marsyjskim pozostaje niezmienny.

W kilka lat potem otworzono tunel, wiodący przez Arlberg i łączący bezpośrednio sieć kolei szwajcarskich z kolejami austriackimi — Zurych, Saint-Gall, Winterthur, całą Szwajcarię przemysłową z Insbrukiem i Wiedniem.

Skutkiem budowy tych wszystkich kolei, które, dzięki milionom i ludzkiemu genjuszowi, przewierciły nawskroś



Kolej elektryczna.

Alpy, Szwajcaria stała się punktem, w którym zlewają się wielkie drogi handlowe Europy północnej i środkowej z jednej strony, zaś basenu morza śródziemnego—z drugiej.

Zaledwie skończono tę pracę, już rozpoczęto nową. Posuwano się na Symplon, a za lat parę kolej przechodzić będzie pod tą górą olbrzymią. Ten nowy tunel będzie naj-

dłuższym z alpejskich, przestrzeń jego od wjazdu do wylotu obliczono na 19 kilometrów, 731 metrów.

Wielką przeszkodę w tem przedsięwzięciu stanowi wysoka temperatura, panująca w podziemiu. Wiadomo, że ciepota zwiększa się w miarę, jak zagłębiający się pod powierzchnię ziemi; w Alpejskich tunelach temperatura wznosi się w stosunku do wysokości skał nad tunelem. We wnętrzu Saint-Gothard termometr wskazuje 35 stopni; trudno w atmosferze, przesiąkniętej wilgocią, znieść przez czas dłuższy tak wysoką temperaturę bez uszczerbku dla zdrowia. Przeszło 600 robotników zmarło skutkiem chorób, nabytych przy budowie tunelu.

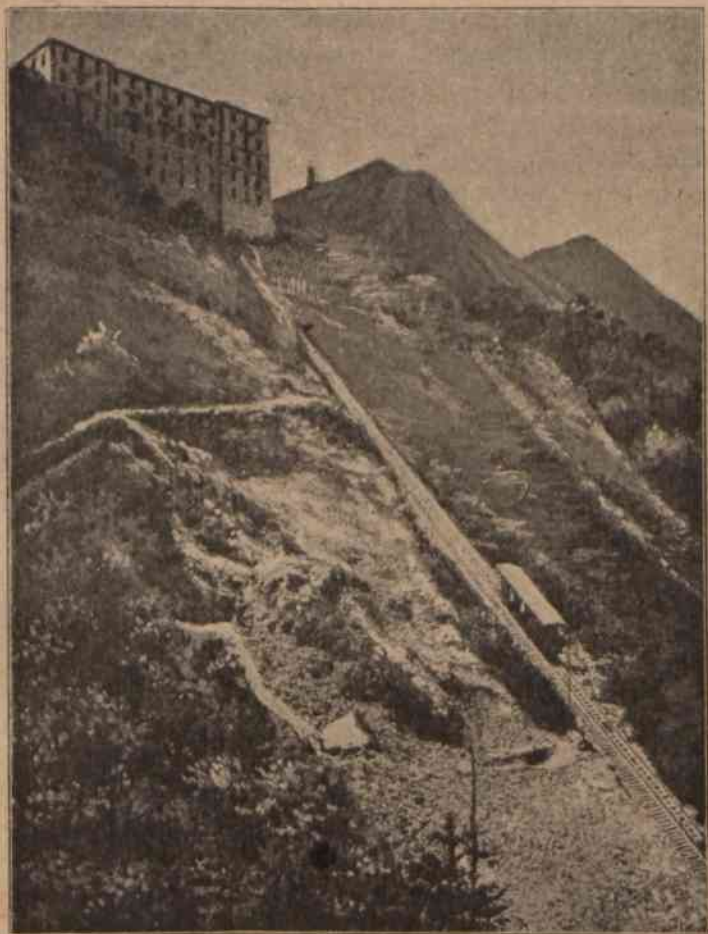
W Symplonie temperatura będzie przewyższać 40 stopni; musiano też ustawić bardzo kosztowną maszynę dla przewietrzania podziemia i wpuszczania doń suchego powietrza. Łatwo zrozumieć, jak wielkie trudności trzeba było przezwyciężyć, gdyby doszedł do skutku coraz częściej podnoszony projekt budowy tunelu przez Mont-Blanc.

Koleje przez Cenis, Saint-Gothard, Arlberg nie są zresztą najwyższymi położeniami w Europie. W Hiszpanii, Sierra-Guadarama, na linii, wiodącej od Bajonny do Madrytu, pociąg wznosi się aż do wysokości 1359 metrów, czyli o 200 metrów wyżej, niż na Saint-Gothard.

W Ameryce, na drodze przez Góry Skaliste, kolej dochodzi do wysokości 1280 metrów. W Peru lokomotywy wznoszą się na szczyt Andów, czyli do wysokości 2400 metrów.

Obfitość śniegów jest największą przeszkodą, stawianą przez naturę rozwojowi kolei żelaznych w strefach górskich i wysuniętych daleko na północ. Pomimo automatycznych rozkopywaczy, nie podobna czasem śniegu odgarnąć; to też musiano zamknąć koleje żelazne w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie w długich drewnianych galerjach, które je chronią jednocześnie i od śniegu i od nawałnic.

Ale koleje żelazne nie poprzestają już na wciskanie się we wnętrze Alp, na wspinanie na szczyt Andów, szerzą one handel na najdzikszych wyżynach.



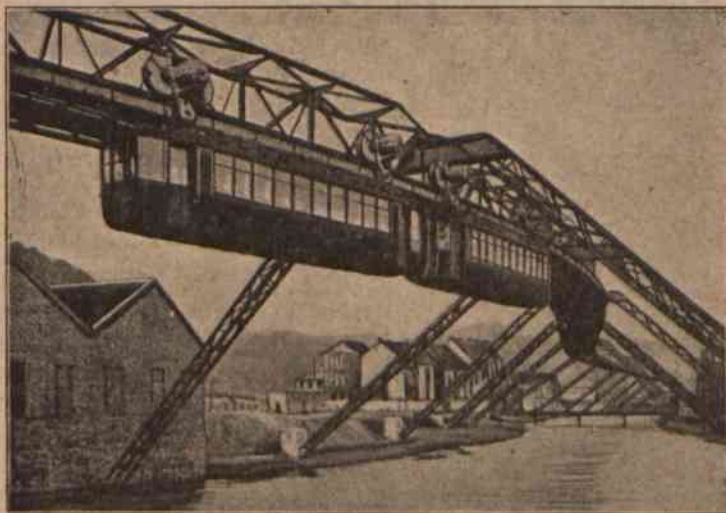
W Pirenejach.

W r. 1870 pierwsze koleje górskie zostały zbudowane w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii. Tym razem stara Europa nie dała się zdystansować młodej Ameryce, wy-

przedziła ją nawet w tym trudnym i niebezpiecznym pochodzie.

Już w r. 1858 zbudowano kolej, idącą powierzchnią góry Cenis. Wychodziła ona z Saint-Michel en Maurienne, przedzierając się po przez Alpy słynnym wąwozem, leżącym na wysokości 2300 metrów, potem w Suze spuszczała się znowu na stok włoski.

Aby móżdż przebyć strome góry bez wykolejenia się, lokomotywa i wagony były zaopatrzone w poziome koła, posuwające się po poprzecznych szynach; służyły one loko-



Kolej napowietrzna.

motywie za punkt oparcia przy wznoszeniu się na wyżyny. Taka jest zasada wszystkich kolei górskich. Tego samego systemu trzyma się wioślarz, gdy, wsuwając drąg z hakiem na dno rzeki, popycha łódź naprzód.

Alzatczyk, Mikołaj Riggenbach, udoskonalił ten system, jego wynalazek zapewniający bezpieczeństwo podróżnym, jest bardzo prosty. Koła dodatkowe nie posuwają się po szynie, są przedzielone wszerek grubymi i mocnymi rowkami, lokomotywa zaopatrzona w zębate koło, jego zęby wchodzą w za-

głębienia relsów, ztąd nazwa kolei zębatej, nadawana podobnym kolejom. Maszyna, znajdując stały punkt oparcia na każdym zębie, całą swą siłę spożytkowuje dla wspięcia się na następny stopień.

Pierwsza taka kolej została zbudowana na Righi. Wyrusza z Vitznau, nad brzegami słynnego jeziora Czterech Kantonów, wznosi się na 1363 metrów na przestrzeni 7 kilometrów; droga przedstawia cudowne widoki, nad jeziorem. Kolej prowadzi niemal na sam szczyt Righi (1880 m.), skąd,



Nad doliną Reuss.

jeśli niebo nie jest zasłonięte, co, niestety, często się zdarza, obejmuje się okiem panoramę Alp i szwajcarskich dolin.

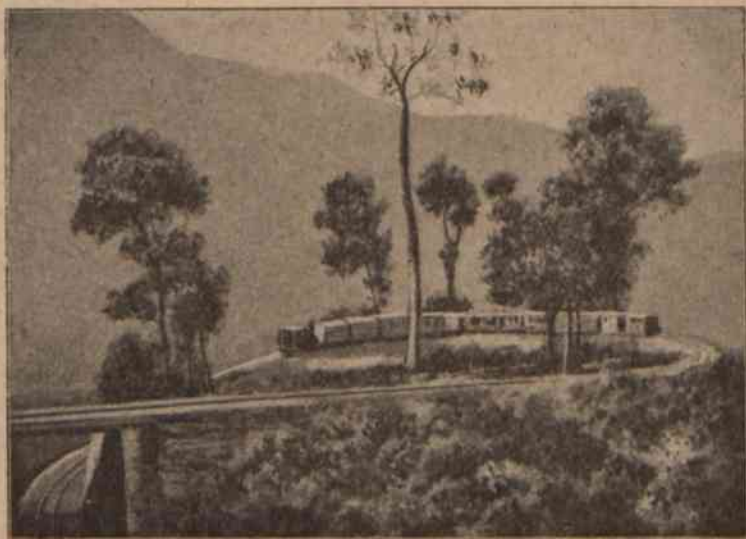
Powodzenie tej pierwszej kolei zdecydowało przedsiębiorców do budowy innych na tej górze i dziś szczyt jej dostępny jest i od strony Zug i od strony jeziora Czterech Kantonów.

Righi jest najbardziej pokrytą kolejami górą na całym świecie.

W pierwszym roku otwarcia drogi żelaznej, 46,000 turystów odbywało nią wycieczki na Righi; obecnie frekwencja zwiększyła się trzykrotnie; w r. 1898 ta kolej przewiozła 120,000 osób.

We wszystkich krajach górzystych starego i nowego świata zbudowano koleje podobne. Obecnie ogólna długość relsów, biegnących po górach świata przewyższa 950 kilometrów.

Jedna z kolei zębatych w Szwajcarji prowadzi na Pilatus, owego współzawodnika Righi, nad brzegami jeziora



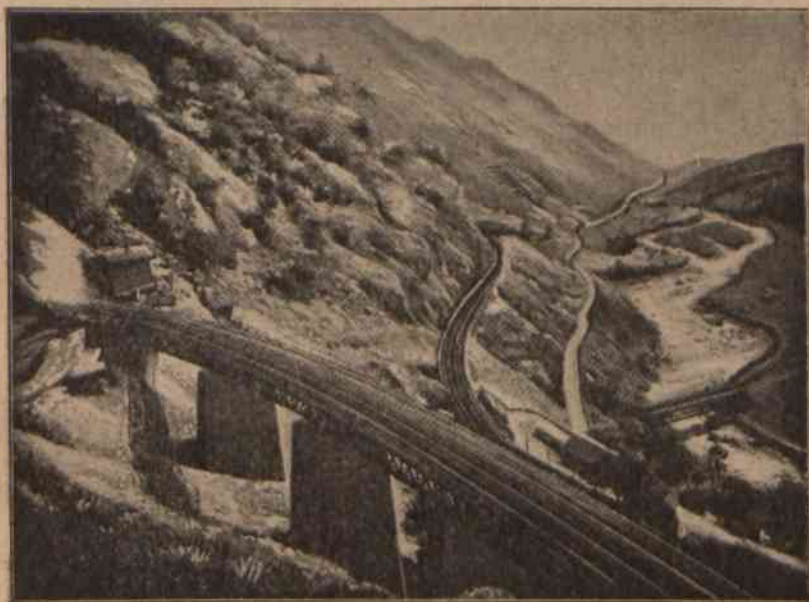
Kolej na Pilatus.

Czterech Kantonów; droga wiedzie nad przepaścią, ale osoby nerwowe mogą być zupełnie spokojne; przedsięwzięte środki ostrożności chronią od wszelkich wypadków; ani jeden nie zdarzył się jeszcze na kolejach zębatych. Zresztą wagony są zaopatrzone w tak potężne hamulce, że choćby maszyna została uszkodzona, pasażerowie stanęliby na miejscu.

Najwyższą koleją zębatą w Europie jest przechodząca przez Gornergrot, słynny belweder, sąsiadujący z Zermattem, zkad wzrok obejmuje niezrównaną panoramę gór: Cervin

i Rose. Elektryczność przenosi w krajobraz arktyczny. Ma się rozumieć, budowa tej kolei wymagała pracy olbrzymiej; trzeba było rzucać mosty nad przepaściami, wiercić tunele prostopadle. Kolej idąca od Visp przez dolinę Rodanu jest nie mniej stroma.

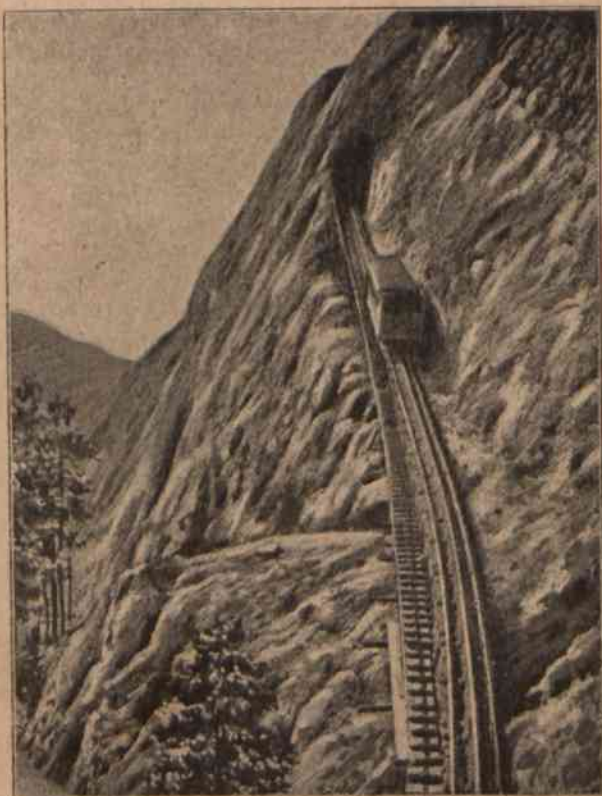
Wyjeżdża się z Visp, pociąg sunie spokojnie wzdłuż rzeki, nagle na końcu drogi przy Stalden dostrzegasz wzgórza, które zdaleka wydaje się zupełnie prostopadłe, a jednak



Kolej przez Gornergrot.

jest całe przernięte szynami. Czyż pociąg wspinać się będzie po tym szczycie? zapytujesz się z trwogą. Pociąg staje na chwilę. Słyszysz zgrzyt, to koło weszło w tryby, pociąg, dysząc ciężko, jakby zasapany, wspina się na górę, potem spuszcza się z niej powoli. Doznajesz takiego wrażenia, jak gdybyś wisiał na ścianie i szukał punktu oparcia nogami. Pod ciężarem wagonów zgrzytają relsy, jęczą hamulce, zda ci się, że wiesz nad przepaścią na wątłym drucie.

Wszedłszy raz na tę drogę szturmowania gór, inżynierowie nie cofnęli się przed żadną przeszkodą, targnęli się i na Jungfrau. Nie można było myśleć o przytwierdzeniu szyn do lodowców ani do ścian skalnych, pokrytych śniegami, który bywa zmiatany przez lawiny; to też postanowiono do-



Kolej na górze Cenis.

trzeć do szczytu góry, wierząc tunele przez całą grubość skał olbrzymich.

Siedm stacji ma być zbudowanych na przestrzeni dwunastu kilometrów. Siedząc na wygodnym, miękkim fotelu, w wagonie oświetlonym elektrycznością, turysta słyszeć bę-

dzie huk lawin a pomimo to doznawać uczucia zupełnego bezpieczeństwa. Kolej dosięgnie wysokości 4100 metrów.

Tu winda prowadzić ma podróżnych na szczyt góry, (4200). Część drogi jest już otwarta od r. 1898, lecz już jej nie ujrzy inicjator wspaniałego przedsięwzięcia, p. Guyer Zeller, zmarł bowiem przed laty dwoma.

Po tych sukcesach, śmiałość inżynierów nie ma granic, biorąc za dewizę: *Quo non ascendam?* (gdzie się nie wzniosę?) po zwyciężeniu Jungfrau, postanowili opanować Mont Blanc.

Rozpoczęto już studia nad wytknięciem kolei, któraby wiodła na szczyt tego olbrzyma Alp; już wykopują podziemne galerje.

W Ameryce również jak i w Europie wszystkie góry pokryte są kolejami zębatymi. Najśmielszą z tych linii jest wiodąca na górę Lowe w Colorado. Dodajmy, iż w tym kraju śmiałych przedsięwzięć kolej żelazna wspina się na wysokość 4200 metrów, na szczyt Pike's Peak. W Europie koleje zębate zostały zbudowane gwoili zadowolenia ciekawości ludzkiej. W Indjach wznoszone bywają w celach higienicznych. Latem pobyt na rozpalonych dolinach Gangesu jest dla Europejczyków zgubnym. Urządzono więc sanatorium w Darjeling, na pierwszych skłonach Himalajów i zbudowano kolej, wiodącą do tego uzdrowiska.

Wyrusza się z doliny i w ciągu siedmiu godzin dojeżdża się do wysokości 2100 metrów. Kolej przebywa naprzód wspaniałe lasy, w których jest się czasem narażonym na niebezpieczeństwo; kiedyś wagony zostały zatrzymane przez stado olbrzymich słońów. Trzeba było uciekać całą siłą pary.

Następnie pociąg wspina się na górę to wprost, to biegnąc w zygzaki. Po czterogodzinnej drodze dojeżdża się do strefy mgieł; rano było się w kraju podzwrotnikowym, wieczorem przybywa się do strefy północnej. Pociąg staje, aby podróżni mogli przywdziać ciepłą odzież. Przez kilka godzin droga prowadzi przez mgły, wreszcie rzadną, stają się podobne do lekkiej gazy i słońce opromienia panoramę Himalajów.

Inżynierowie niemieccy wymyślili jeszcze coś lepszego: kolej napowietrzną. Na żelaznych arkadach ustawili wagony ślizgające się po powietrzu, mające za punkt oparcia—już nie ziemię, lecz szczyt arkad.

W wieku bieżącym ujrzymy może kolej poruszaną za pomocą balonu. Próby podobne już były robione w Tyrolu. I cóż wtedy pozostanie jeszcze do zdziałania na drodze postępu?

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Jesień, tak samo, jak i wiosna, jest uprzywiejowanym sezonem ślubów, epokę, w której najwięcej paluszków ozdabia się—obrączkami. To też niniejszą pogadankę zamierzam poświęcić przedmiotowi, bardzo ważnemu dla osób, sposobiących się do stanu małżeńskiego, a mianowicie: wyprawie.

Za czasów naszych prababek oblubienice wносиły w dom małżonków stopy bielizny tak wielkie, że jeśli te panie oczekiwały się srebrnych, a nawet—złotych godów, mogły pokazać szafy, pełne zabytków z wyprawy.

Bo też w owym czasie wyprawa była instytucją niezachwianą, nie podlegającą kaprysom mody. Pracowano nad nią całymi latami: od chwili przyjścia na świat córki, dbaro więcej o trwałość, niż o wytworność, używano płócien, tkanych na ręcznych warsztatach domowych, a to płótno wystarczało na parę pokoleń.

Dziś moda mięsza się tak samo do sukien, jak i do bielizny stołowej, a zmienność spodniej części garderoby jest prawie tak wielką, jak i zwierzchniej. To też robienie wyprawy jest daleko trudniejsze i bardziej skomplikowane, niż przed laty dwudziestu, bodaj. Trzeba wyrzec się stosów bielizny, bo choćby płótno przetrwało próbę czasu (co jest wątpliwem), nie ostałyby się fasony. Trzeba wykluczyć tkaniny niezdarte, a tem samem gęste i ciężkie, które nie mogą iść w parze z modą obecną.

Dziś kładzie się większy nacisk na bieliznę stołową i pościel, niż na osobistą. Parę cyfr da wyobrażenie o tym

stosunku. Jeśli „biała“ wyprawa kosztuje 1000 rs., to 600 rs. przypada na bieliznę domową, a 400 na osobistą. Jeśli koszt jej wynosi 600 rs., to w tem bielizna domowa wyraża się w cyfrze 350 rs., zaś osobista w 250 rs. Przy wyprawie pierwszej kategorii, panna młoda otrzymuje dwa tuziny koszul dziennych zwyczajnych, tuzin wytworniejszych, dwa tuziny majtek, (jeden tuzin płóciennych, 9 barchanowych, 3 flanelowych), 18 koszul nocnych skromniejszych, 4 ozdo-



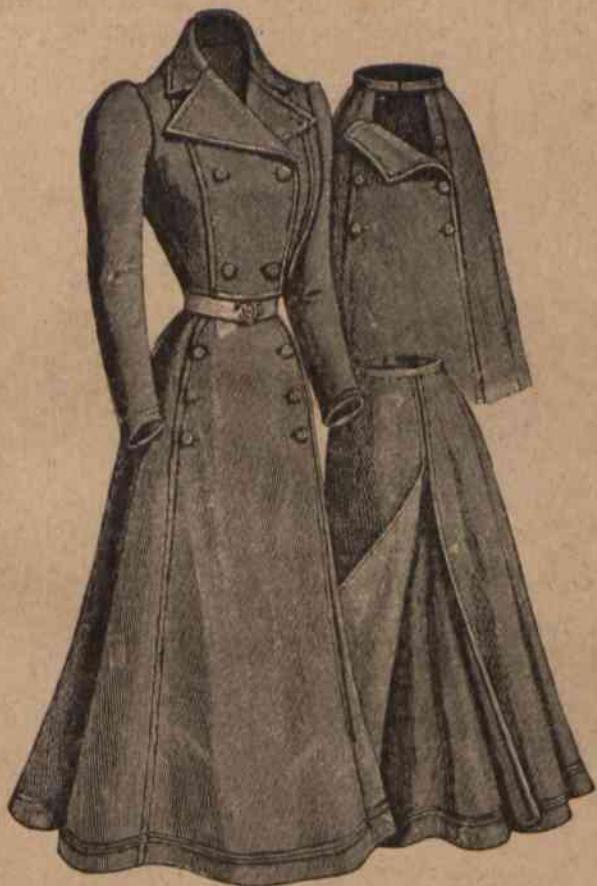
Paltot pół-długi.

Żakiecik jesienny z kołnierzem futrzanym.

zne. Sześć prostych staników na gorset, 2 ozdobne z koronkami i wstawkami, 6 kaftaników białych. Dwa tuziny chustek płóciennych, jeden tuzin batystowych, 12 par pończoch z czarnego *fil d'Ecosse*, 6 par wełnianych cienkich, 6 par pół bawełnianych, jedna para czarnych jedwabnych i jedna para jedwabnych białych (do ślubu). Trzy penioary białe pikowe lub dymkowe; conajmniej cztery białe spódnice

z dużymi falbanami, oszytymi koronką lub haftem, trzy krótkie flanelki; białą niebieską i ponsową na zmianę.

Co do bielizny domowej, tuzin obrusów białych grubszych, do codziennego użytku, 6 cienkich, 6 tuzinów serwet pierwszej kategorii i 3 tuziny drugiej; serwetek 2 tuziny, przynajmniej sześć obrusów kolorowych; żółtych lub niebie-



Kostjum do roweru z nowomodną spódnicą.

skich, używanych do popołudniowej herbaty, trzy tuziny takich serwetek, 4 laufry zahaftowane na stół jadalny. Z bielizny na pościel: dwa tuziny prześcieradeł płóciennych, grubszych 1 tuzin, cienkich 1 tuzin madepolamowych; tuzin prześcieradeł pod kołdry, 6 madepolamowych, 6 batystowych, 2 tuziny powłoczek płóciennych, 1 tuzin batystowych; dwie

koldry atlasowe, dwie sukienne cztery kapy pikowe na łóżka, 2 kapy atlasowe lub adamaszkowe, gdy dodamy do tego 12 par firanek do okien, spis będzie kompletny. Ma się rozumieć, osoby mniej zamożne nie mogące sobie pozwolić na tak sutą wyprawę, zadowolnią się znacznie szczuplejszą. Można się zaopatrzyć w bieliznę osobistą i domową za 250 — 300 rs.

Przyjrzyjmy się teraz bieliznie osobistej ze stanowiska obecnej mody.



Rys. 1. Paltocik dla dziewczynek lat 13—14 z granatowego aksamitu lub welwetu, osztytą taśmą złotą, guziki złote.

Rys. 2. Sukienka dla dziewczynki z granatowego sukna z welwetowym *figarem*.

Rys. 3. Toaleta wizytowa z szewiotu.

Rys. 4. Sukienka dla dziewczynki 14 letniej panią z welwetu *bordo*, karczki i przód z gipsu *crème*, osztyt z czarnej pasmanterji,

Rys. 5. Jesienne palto dla panią.

Rys. 6. Suknia jesienna z popietatego sukienka, osztyt ciemniejszymi pasami sukienkami Bolero. Przód z materji jedwabnej perłowej.

Rys. 7. Kostjum jesienny z granatowego sukna, garniowany tasiemką czarną, zakleczki, osztyt również taśmą i pasmanteryjne zapięcie.

Głównym jej celem jest, o ile możności, zmieścić obwód wszelkich „spodów“; dzieje się to gwoli obciśności wierzchu. Na spódnice używane są cienkie perkalę i pół batysty. Koszule robią się głęboko dekolowane bardzo wcięte w pasie; skasowano zupełnie rękawy, ich miejsce zajęły epoletki, lub po prostu wstążka, związowana na ramieniu. Najmodniejszymi fasonami koszul są; 1) Empire, wycięte w kwadrat, ozdobione haftami lub wstawką i koronką; 2) koszula z tyłu oszyta małym hacikiem lub ko-



Rys. 1. Suknia ślubna z białego sukna lub atłazu, fasonem *princesse*, przód gipiurowy. Fiszotka z gazy, przetykanej srebrem, kończy się na przodzie żabotem Weon z iluzji.

Rys. 2. Suknia weselna z popielatej materji, garnirowanie z pasmanteji jedwabnej. Przód z oreneowej *crêpe de Chine*.

Rys. 3. Suknia weselna z jasno-żółtej grenadiny, na spódnicy u dołu żąb z gipiury na czarnym atłasie, czarne aksamitne bretelki na wyciętym staniczku.

Rys. 4. Suknia weselna z różowego woalu, krojem *princesse*. Fiszotka z jedwabnego muslinu *crème*, oszyta koronką.

Rys. 5. Suknia weselna dla młodych mężatek. Spódnica z blade-niebieskiej krepy jedwabnej, inkrustowanej gipiurą, tanik atłasowy przybrany koronką i rozetami.

Rys. 6. Elegancki kostjum spacerowy z ponsowego sukienka. Przybranie z sukna białego, naszytego poprzecznie ponsową aksamitką.

ronką, z przodu ozdobny bawet, wyrzucany na gorset 3) koszula haftowana u góry w ząbki, zupełnie gładka, z przodu trzy dziurki, w które wsuwa się wstążka ściągająca do woli obwód wycięcia.

Majtki uległy zupełnemu przeistoczeniu. Robią się bardzo krótkie (65 cent.), sięgające zaledwie kolan; proste, ogromnie szerokie, nogawice wyglądają jak mała spodniczka, przecięte są po bokach i oszyte falbaną. U góry dopasowane przylegają szczelnie do figury, dzięki zakładkom. Zamiast karczków—pliska.

Nocne koszule mają fason Empire, są bardzo długie, i o tyle szerokie, o ile daytime wązkie. Gierki w zakładeczki oszyte falbaną z koronką lub haftem, kołnierze odwijane, szalowe, rękawy bufiaste pół długie, na lato zupełnie krótkie.

Cache-corset kończy się u pasa, jest bardzo obcisły i dopasowany dokładnie, wycięty—w ząb lub w kwadrat.

Chustki są bardzo małe, obręb duży z mereszka.

Bielizna kolorowa, (używana wyłącznie latem) jako fantazyjna, nie bywa włączona do wyprawy, można jednak dodać z pół tuzina batystowych koszul niebieskich, różowych lub błękitnych z taktiem spodenkami.

Ale nie dość jest mieć ładną bieliznę, trzeba ją umieć zachować. Pierwszą zasadą jest nie oddawać nigdy bielizny po za dom: wszelkie pralnie są dla niej zgubą. Jadąc w podróż lub do wód, należy wybrać kilka gorszych sztuk i z całą rezygnacją—przeznaczyć je na stracenie. Przed praniem trzeba usunąć z bielizny wszelkie plamy, używając jednak kwasów bardzo ostrożnie: lepsza plama od dziury. Władcy wina i owoców z bielizny stołowej wywabiają się łatwo na razie przy pomocy wody ciepłej, do której wlewa się kilka kropel amoniaku. Posypywanie plam na obrusie solą jest niezbyt skuteczne; lepiej jest, po zdjęciu obrusa, miejsce splamione położyć na płaskim talerzu, i oblewać je wrzącą wodą. Plamy od wosku, malin, porzeczek są bardzo trudne do usunięcia; wywabia je tylko kwas siarczany, lub poprostu płonąca zapalka, (byle nie szwedzka) przesuwana kilkakrotnie nad plamą. Błędem jest przekonanie, że bielizny stołowej prasować nie trzeba. I owszem prasuje się ją, ale zaraz po wymaglowaniu, trochę wilgotną i żelazkiem niezbyt gorącym.

Serwetki do herbaty z frendzelkami wyczesywane bywają specjalnym grzebieniem drewnianym lub poprostu strzeptywane o róg stołu.

Nietylko zwykłe śmiertelniczki, ale i monarchinie zajmują się bielizną. Pod tym względem trzyma prym cesa-

rzowa niemiecka, odznaczająca się w ogóle zamiłowaniem do gospodarstwa domowego. Jej bielizna osobista jest pod dozorem trzech garderobianych, ale cesarzowa przegląda ją sama po każdym praniu i wskazuje potrzebne reperacje. Bielizną stołową zajmują się cztery panny służące, pościelą—dwie. Każda sztuka ozdobiona jest koroną i herbem Hohenzolernów. Obrusy zmieniają się codziennie, prześcieradła i powłóczki cesarskiej pary — co dwa dni! cesarzowa zmienia osobistą bieliznę codziennie, pończochy dwa razy na dzień podczas lata. Pranie odbywa się cztery razy do roku, jak zresztą w wielu domach zamożniejszych w Niemczech. Cesarzowa zagląda sama do pralni i nieraz czyni uwagi, świadczące o wielkiej znajomości rzeczy.

Rozpisałam się tak długo o bieliznie, stanowi ona bowiem lwią część wyprawy.

Należy jeszcze pomówić o sukniach.

Osoby praktyczne wnoszą ich jaknajmniej pod dach męzowski, bo suknie wychodzą z mody a czasem i z... figury.

Niezbędną jest—suknia ślubna, choć i bez tej obywają się już niektóre panienki, zastępując ją — wizytową. Jeśli chcemy się trzymać tradycji, najlepiej jest sprawić białą z *drap de dames*, (jako praktyczną, która się daje łatwo przebarwiać; dalej ładną suknię czarną z miękkiej, wytwornej wełny, przybranej modnym teraz atlasem; wreszcie kostjum spacerowy. Suknie czarne jedwabne, nieodłączne dawniej od wyprawy, obecnie są mniej używane. Komu środki na to pozwalają, sprawi sobie suknię czarną atlasową lub *moire antique*, ale takie w dobrym gatunku kosztują najmniej 70 rs., a tańsze—nie wiele warte. Parę szlafroków, jeden ozdobny, drugi do codziennego użytku—to i wszystko, co trzeba.

Gotówkę, przeznaczoną na większe stroje, najlepiej złożyć w kasie oszczędności—zawsze się zda bodaj na wyprawkę dla pierwszego dziecka, lub jako fundusz żelazny dla niego.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o prezentach ślubnych. Dalsza rodzina i znajomi zwykli obdarzać państwa młodych fatałaszkami, bezużytecznymi zgoła, a więc jakimi przybarami do palenia, nożami do rozcinania kartek, gracikami na biurko i toaletę. Czy nie lepiej, przed kupieniem podarku, zastanowić się trochę, co może być pożądanem. Zajączek żelazny, trzymający w pyszczku czterolistną koniczykę lub świnka, służąca za poduszczkę do igieł, kosztują to samo, co, dajmy na to, pół tuzina nożyków do owoców, a te z pewnością będą milej widziane przez młodą gospozię.

E. Żmijewska.

ROZMAITOŚCI.

— **Tajemnice pracowni.** Paolo Mantegazza, włos, podróżnik, lekarz i higienista, były profesor patologii w Padwie, prof. antropologii we Florencji, — jest jednym z najbardziej znanych obecnie popularyzatorów wiedzy. Barwny język cechuje jego dzieła. Oto w jaki poetyczny sposób odsłania nam on tajemnice pracowni naukowych:

„Iluż to ludzi szczęśliwych zamyka się w czterech ścianach pracowni, by badać tajemnice natury, rozwiązywać zagadki przeszłości! Szczęśliwcy ci nie zawsze zaopatrzeni są obficie w chleb codzienny; pijąc wodę, odurzają się, gdyż odurzenie aż do zapomnienia znajdują w swych badaniach. Żyją oni samotni, gdyż miłość swą poświęcili na ołtarzu wiedzy. Nie zazdroszczą nikomu niczego i współczucie mają dla tych, którzy szczęścia szukają w dostatkach. Oni w pracowniach swych, pośród książek, przy mikroskopie lub ważkach, znajdują najwyższe szczęście dla siebie. Jakże marnemi wydają im się bogactwa, honory i to wszystko o co świat się ubiega. Oni namiętnie kochają pracę, nienawidzą spoczynku...

Ażeby kochać istotę żywą, koniecznem jest, by nas było dwoje, troje. Miłość, którą czujemy dla żony, dla syna, matki, nie zawsze daje szczęście, zależne jest on od szczęścia istot kochanych. W poszukiwaniach, w pracy, w badaniach naukowych, — zbyteczna jest nam rodzina i tłum ludzi, otoczenie. Ta miłość jest w nas samych gwiazdą przewodnią naszego szczęścia.

Umysł ludzki prowadzi czasem rozmowy z sobą samym, rozmowy, których nikt nie opisywał i opisać byłby niezdolny. Mouologi te są krótkie i silne; dźwięczy w nich huk grzmotów

i lśnią w nich pioruny. Znane są one tylko umysłem wybranym. Umysł taki wierzy w swą siłę i szuka jeno miejsca, gdzieby się oprzeć, ku czemu zwrócić. Ameryka czekała na Kolumba, mikroskop — na Galileusza. Gdyby geniusz był owocem drzew rosnących na glebie, która przez czas długi przygotowywała dlań soki i wonie, to nie zjawiałby się tak nagle, tak potężny w swą siłę. Chłodne podmuchy obojętności starają się go zmrozić, gorzki jad ironji, niedowierzanie, drwiny i zazdrość, nawet obelgi i oszczerstwa starają się go poniżyć, otruć, zabić. Napróżno: on dąży do prawdy, która zawsze stoi przed nim, wzywając go ku sobie. Zdławić geniusz — to samo, co pragnąć wstrzymać staczającą się skałę lub zwrócić rzekę przeciw jej prądowi. Niema dumy bardziej usprawiedliwionej, wiary mocniejszej, zwycięstwa pewniejszego. Dość przeczytać historję wszystkich geniuszów, wszystkich męczenników postępu, od Archimedeasa do Kolumba, od Galileusza do Lavoisier'a, aby się przekonać, że ani nędza, ani kraty więzienne, ani tortury, ani gilotyna — nie są wstanie zmódrz geniuszu.

Każda miłość wielka ma swoich męczenników i samobójców, ma ich i miłość prawdy, jedna z najsilniejszych, zmuszających serce bić mocno i mózg — pulsować. Powiedzcie wielkiemu pracownikowi, męczennikowi biblioteki i pracowni, że on skróca swe życie, że się zabija, roześmieje się wam w oczy. Czem większych ofiar wymaga jego praca, czem większe będą przeszkody, tem mocniej pokocha on swą pracę; jest to jedną z najpiękniejszych właściwości ducha ludzkiego: tem mocniej kocha, im więcej ofiar składa ukochanemu.

Kochanko moja! — woła uczony do Wiedzy, — zażądałaś młodości mej, uczuć mych, chciałaś, bym ci poświęcił chwile odpoczynku i święto wiosny, oddałem ci i młodość swoją i miłość, i szal życia, wszystko ci oddałem. Czego pragniesz jeszcze? Powiedz, i otrzymasz. Ja do ciebie należę — na zawsze.

Miłość dla Nauki nie znosi innych uczuć ludzkich: ani zażyłości, ani rozkoszy życia doczesnego. Kto szuka prawdy, by przez nią zdobyć sławę lub majątek, temu nie da ona ani zachwyty wielkich, ani rozkoszy potężnych, gdyż wówczas szczęście będzie już zależało od ludzi, wyjdzie ono z duszy człowieka i rozpięchnie się w tłumie. Nienawidzę tych niby uczonych, którzy pracują dla oklasków. Fałszywi to prorocy, którzy nie rozumieją kultu swego, są to oszuści, okłamujący tłum..

Zarodki miłości wiedzy istnieją w każdym człowieku. Potrzeba poznania i poszukiwań leży w naturze ludzkiej. Jednakże niewielu wznosi się na szczyty, większość podnosi się o kilka szczebli i zatrzymuje..

W pracowniach przepędziłem najszczęśliwsze lata mego życia. W tej milczącej świątyni obserwowałem pierwsze dziewicze zachwyty mych uczniów, którzy otwierali nowe horyzonty wiedzy. Niegdyś uczniowie moi, dziś stali się moimi nauczycielami; ci niedawni młodzieńcy przynoszą dziś ohlubę Italji i są najdroższym dobytkiem mej starości (Mantegazza liczy 70 lat życia).

Nigdy nie zapomnę zachwyty, ekstazy, której raz byłem świadkiem. Juljusz Bizzozero *) pracował o parę kroków od mego stolika. Byliśmy sami; milczeliśmy, zapatrzeni w szkiełka drobnowidzów, tych oudnych instrumentów, które z każdej komórki czynią gwiazdę, z każdej najdrobniejszej cząsteczki — całe niebo gwiazd. Nagle Bizzozero zrywa się, jak rażony gromem, chwilę stoi nieporuszony, biegnie ku mnie, trzymając w ręce szkiełko z preparatem. Szkiełko i kropla wody — a jednak tu jest świat cały. W tej kropki wody trzyma on rozwiązanie tajemnicy i widzi pierwszy promień słońca, które opromieniło go nieśmiertelną sławą.

Spojrzałem przez mikroskop na szkiełko:

— Tak, w samej rzeczy, — rzekłem, — to są barwne ciała krwi, są stare i pogrążone w protoplazmę, otaczającą je ze wszystkich stron.

— Tak, profesorze, — rzekł Bizzozero, — to jest szpik młodej kości i...

— I uczyniłeś pan nieśmiertelne odkrycie — dokończyłem.

Powrócił powlat do swego mikroskopu, milcząc; spojrzał kilka razy na preparat i zwrócił swój orli wzrok w przestrzeń. Na twarzy jego malował się zachwyty.

Ileż podobnych zachwyty, ukrytych przed wzrokiem niepowołanych, osłoniętych tajemnicą czterech ścian pracowni, — przeżywają dziesiątki znakomitych fizjologów, histologów, chemików, fizyków...

Nigdy lub prawie nigdy odkrycie nie wystrzela samo z siebie, nie znajduje się samorodnie, jak brylant, a przeczuwa się. przewiduje, poszukuje, znajduje po wielu próbach, wahaniach, błędach, po wielu latach pracy, męczeństwa, obaw.

Przed nami mrok niewiadomości. Nie wiemy, w którą stronę zwrócić badania. Nagle ciemnie się rozpraszają i promień światła wskazuje dalszą drogę. Oto jest natchnienie genjuszu. Po chwili natchnionego jasnowidzenia następują znów lata pracy.

W pracowniach naszych nie tylko jest praca cierpliwa i mozolna, są tu chwile natchnień i cały świat zachwyty.

*) Giulio Bizzozero, znakomity badacz w zakresie fizjopatologii, powaga pierwszorzędną w dziedzinie hematologii (nauce o krwi). Odkrycie jego znakomite dotyczy trzeciego morfologicznego składnika krwi (płytki Bizzozera).

Niemniej piękne i silne są zachwyty matematyka, historyka, psychologa, krytyka, poszukujących prawdy między ruinami przeszłości, w labiryntach myśli i bibliotek..

W cisy pracowni przeżywamy chwile, których nie zamienilibyśmy na najżywsze rozkosze życia“.

— **Kwiaty i owady.** Pytanie, co właściwie łączy owady ku roślinom, zawierającym nektar, wywołało ciekawą polemikę pomiędzy Plateau i Forelem.

Niektóre owady, zwłaszcza muchy i osy, kierują się widocznie wyłącznie zapachami; forma i barwa rośliny nic ich nie obchodzi. Inne znowu, jak pszczoły i szerszenie, pamiętają wygląd kwiatu i miejsce, gdzie rośnie i często powracają doń po upływie 8 dni. Jeżeli się ich pozbawi organów powonienia, t. j. wąsików, owady te w dalszym ciągu jednakowo poszukują roślin, zawierających nektar. Gdy przeciwnie, kwiaty ukryte pod liśćmi, pszczoły nie mogły ich odnaleźć.

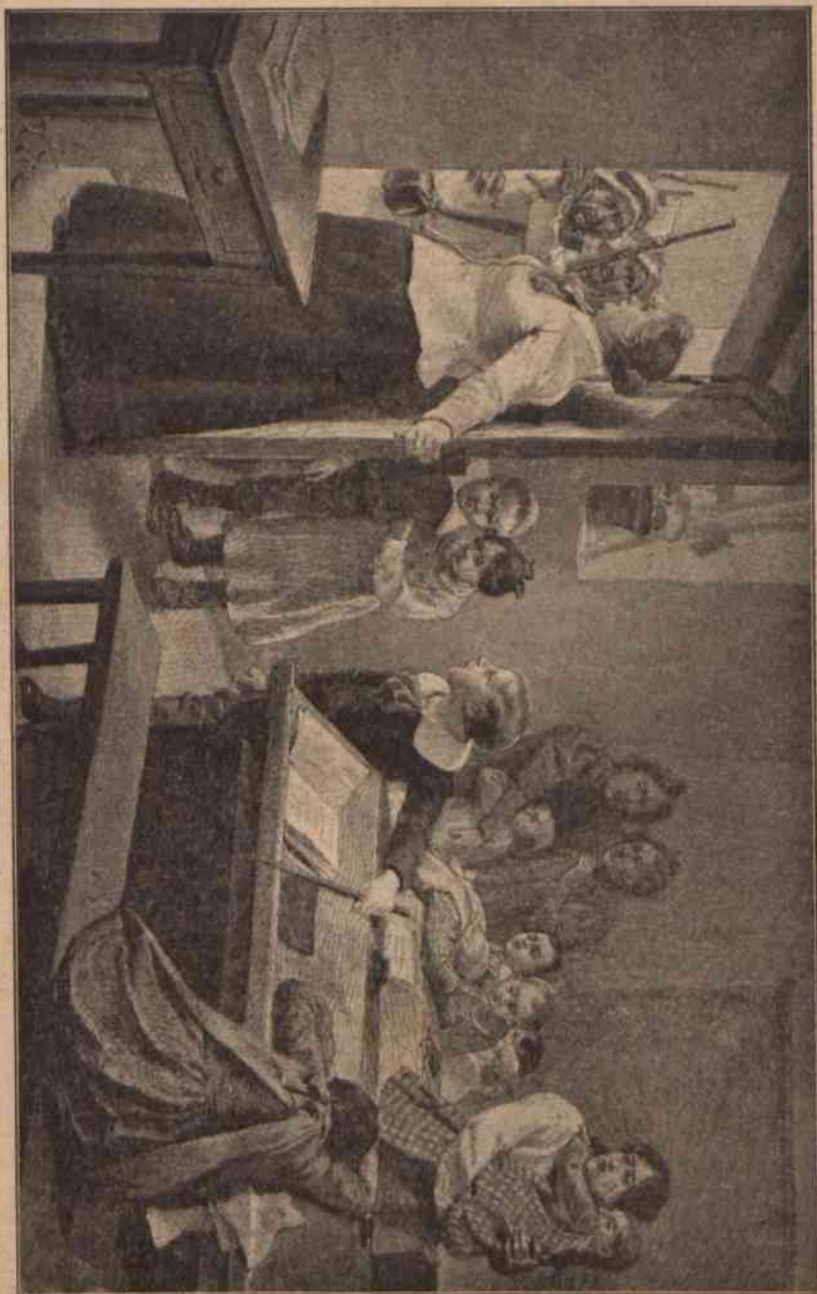
Zauważono, że gdy się pomiesza kwiaty sztuczne z naturalnymi i nawet napełni się je miodem, pszczoły nigdy nie wezmą sztucznych za naturalne.

Na zasadzie podobnych spostrzeżeń, Forel przypisuje większe znaczenie wzrokowi, pamięci, formie i barwie kwiatów, przeciwnie Plateau uważa powonienie za ważniejsze u owadów aniżeli wzrok.

— **Potęga bohaterstwa.** Na początku roku bieżącego w niewielkiem miasteczku Algieru, Margueritte, zaszedł fakt następujący. Banda zbuntowanych arabsów napadła na spokojną wieś, zrabowała wiele domów, wymordowała wielu mieszkańców, wreszcie napadła na szkołę miejską, gdzie nauczycielka zajęta była nauczaniem dzieci! Jakież opór dać mogła słaba kobieta otoczona czeregą przerażonej dziatwy, — bandzie rozwścieczonych rabusiów? A jednak czuła, że poddać się niema prawa, że dzieci powierzone zostały jej opiece, że powinna jakimbyś kosztem je ocalić. Bronić się nie może, a walczyć musi. I oto zdobywa się na sposób: sama otwiera drzwi i rzuca im następujące wyrazy:— Zabijcie inniej, jeżeli chcecie, ale nie róbcie krzywdy biednym dzieciom.

W słowach tych tak prostych musiało być wiele siły, w postawie wiele inponującego bohaterstwa, kiedy zmogły one brutalną siłę fizyczną dzikich najeźdźców, którzy zawahali się, ustąpili, cofnęli zupełnie i szkołę pozostawili w spokoju.

Ten fakt, tak drobny pozornie, posiada dużą wartość moralną: dowodzi on, że są takie zaklęcia, które zdolne są obezwładnić zwierzę w człowieku nawet niecywilizowanym, że istnieje siła moralna, której siła mięśni i żelaza uleść musi, że potę-



ga bohaterstwa imponuje tym nawet, którychby o uleganie czynnikom ducha trudno było posądzić.

To też prasa francuska przyjęła czyn nauczycielki—bohaterki z uznaniem, na jakie zasługiwał, w myśl zasady, że jak najczęstsze i jaknajszersze omawianie czynów podobnych ma duże znaczenie wychowawcze: budzi w oświeconym te pierwiastki duszy, które mogły, nieświadome siebie, drzeć i budzą się prawem naśladownictwa tego, co wielkie, szczytne, piękne.

— **Wiek ryb poznaje się po łuskach.** Jestto najnowsze spostrzeżenie dr. Hofbauer'a—który badał łuski mikroskopem i przekonał się, że tak samo mają pręgi oznaczające ich wiek, jak drzewo poznać można po słojach, gdy się pień drzewa przetnie. Pręgi na łuskach są nierówne: jedne bliżej drugich, inne w dalszym oddaleniu, co pochodzi ztąd, że im ryba miała lepsze pożywienie, tem więcej łuski na niej rosły; przy bardzo chudym pożywieniu, jeden prążek, oznaczający rok życia ryby, styka się prawie z drugim. Po odległości tych prążków jednego od drugiego poznać można lata, w których ryba cierpiała głód.

— **System wychowawczy w Japonii.** Dzieci Japońskie zaczynają się uczyć w wieku lat 6. W tym wieku dzieci wstępują do szkoły początkowej, gdzie uczą się dwa lata. Następnie mały japończyk przechodzi do szkoły wyższej, gdzie wykładają język angielski, matematykę, historję, geografję, fizykę, chemię, zoologję, botanikę, fizjologję, mineralogję, literaturę japońską i chińską. Z obojch języków, w szkołach tych, odpowiadających naszym gimnazjom, wykładają tylko angielski. Niemieckiego uczą tylko w szkole w Tokio, gdzie młodzież przygotowuje się do wstąpienia na wydział medycyny.

Po skończeniu pięciu kursów szkoły wyższej pragnący wstąpić do uniwersytetu, muszą przebyć trzy lata w „najwyższej ze szkół wyższych“. Już tu wykłady rozdzielają się na trzy gałęzie.

Jedna poświęcona jest prawoznawstwu i literaturze, druga—naukom ścisłym, trzecia medycynie. Są jeszcze działy drugorzędne, obejmujące geologję, dwa lub trzy języki cudzoziemskie i czasem łacinę. Kończący tę szkołę mają prawo wstąpienia do uniwersytetu bez egzaminu.

W Japonii istnieją dwa uniwersytety, jeden w Tokio, drugi w dawnej stolicy—Kioto. Uniwersytet w Tokio posiada sześć wydziałów: prawny, przyrodniczy, medyczny, inżynierski i literatury gospodarstwa rolnego. Ten ostatni wykład obejmuje także leśnictwo i weterynarję. Kurs uniwersytecki wymaga trzech lat nauki, dla otrzymania stopnia naukowego. Tylko wydział prawniczy i medycyny mają po cztery kursa.

— **Wpływ ciemności na rozwój kwiatów.** Na zasadzie badań nad trzydziestoma gatunkami roślin, należących rozmaitych rodzin, Beulaygue przyszedł do przekonania, że 1) kwiaty w ciemności rozwijają się zazwyczaj później, aniżeli na świetle; 2) barwy takich kwiatów słabną, 3) kwiat bywa zwykle mniejszy, chociaż ma dłuższą łodygę. Czasami jednak się zdarza, że kwiat, wyrosły w ciemności, wyrasta do wielkości nienormalnej.

— **Domy szklane.** Dyrektor pewnej fabryki szkła we Francji doszedł do przypuszczenia, że niezadługo szkło stanie się najważniejszym, niemal powszechnym materiałem budowlanym, zwłaszcza na domy mieszkalne. Główne podstawy swego domysłu opiera on na niewyczerpanym zapasie materiałów, z których wyrabia się szkło, na jego podatności do przybierania rozmaitych kształtów, trwałości i czystości. Można z niego wyrabiać szyby, kamienie brukowe, grzymsy, dekoracje ściennie, a nawet posągi, rury, kosze, materiały na odzież, mozaiki i t. p. przedmioty. Dom szklany, według tego pomysłu, miałby fundamenty i ściany z wynalezione niedawno „szkła kamiennego“, które jest trzy razy wytrzymalsze od granitu, na zimno i gorąco mniej wrażliwe od stali, zużywa się przy ścieraniu mniej od porfiru, a opiera się silniej uderzeniem młota, niż marmur. Ściany szklane byłyby spojone klamrami żelaznymi; przez pozostawioną pustą przestrzeń przeprowadzonoby rury szklane do rozprowadzania gorącego powietrza, gorącej i zimnej wody, gazu, rury odpływowe i na druty elektryczne. Schody i poręcze, sufity i odoby ściennie, kominy i kominki kuchenne, byłyby również ze szkła. Dom taki byłby niesłychanie czysty i istotnie niezniszczalny. Może być myty od góry do dołu, a nie przesiąka wilgocią, wolny jest od kurzu, a pajęczyna nie może na nim osiadać. Zaczęto już, jak wiadomo, brukować szkłem ulice paryskie; kostki z masy szklanej trzymają się doskonale, kurzu nie wytwarzają i ztąd łatwo je czyścić. Pałac świetlany („Palais lumineux“) na wystawie paryskiej był w pewnym stopniu urzeczywistnieniem ideału tego pomysłu. Ważną też bardzo okolicznością jest taniłość tego materiału.

— **Płeć słaba i płeć silna.** Profesor Christopher z Chicago ogłosił w tych dniach szereg ciekawych spostrzeżeń, dotyczących siły dziewcząt i chłopców. Profesor kazał dzieciom obojej płci podnosić palcem środkowym prawej ręki ciężar, równający się 70% wagi ciała. Próba trwała dla każdego dziecka 1½ minuty; stopień znużenia notował specjalny przyrząd. Okazało się że dziewczęta mniej zużyły siły, aniżeli chłopcy. Do 14 lat dziewczęta są zazwyczaj silniejsze od chłopców, po 14 latach u chłopców siła wzrasta, u dziewcząt już nie, tak że w 20-stym roku życia chłopcy są dwa razy silniejsi od dziewcząt. Takie same rezultaty dały doświadczenia profesora Donaldsona w Waszyngto-

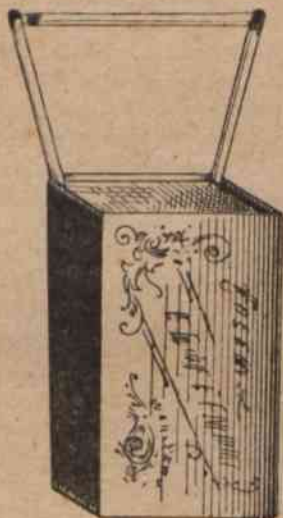
nie, robione z 1300 dziećmi. Jednocześnie zauważono, że dzieci urodzone w zimie są słabsze od tych, które przyszły na świat w lecie.

FIGIELEK.

Jeżeli w pudełku od zapalek umieścimy trzy zapalki tak, jak przedstawia nasz rysunek: aby dwie pionowo włożone były u dwóch końców pudełka, a trzecia poziomo, przytrzymywana tylko siłą parcia dwóch poziomych; jeżeli teraz czwartą zapalką zapalimy zapalkę poziomą w samym środku, to która z pionowych prędzej się zapali?

Odpowiedź: Żadna, bo zapalka poziomo do pudełka umieszczona, złamie się i wyskoczy.

Figielek ten należy wykonywać ostrożnie!



Rady i wskazówki praktyczne.

— **Tablica ceratowa.** Tablica jest doskonałym przyrządem pomocniczym w nauczaniu nie tylko w szkole, ale i w domu prywatnym. Dziecko, znużone dłuższem siedzeniem w postawie mniej więcej, schylonej nad książką lub kajetami, — chętnie odbiega od stołu do tablicy. Dalej, przyzwyczajają się pisać bez linii. Chronologia w nauczaniu historii i terminologia przy naukach przyrodniczych, wreszcie częściej powtarzające się błędy dyktanda, — zapisane po odbytej lekcji przez nauczyciela na tablicy, utralają się w pamięci, gdyż uczeń o każdej porze dnia ma możliwość rzucenia okiem na tablicę i przejrzenia tego co napisano.

Każdy może w pokoju dzieciennym zawiesić tablicę ceratową czarną. Dwa łokcie ceraty w cenie 1 rs. do 1 rs. 50 kop. i kilka gwoździków—oto wszystko. Na tablicy ceratowej pisać można kredą, wycierać z lekka zwilżoną ściereczką.

Tylko należy uważać, by dzieci po-za lekcją nie pisały na tablicy, gdyż miał kredy w każdym razie może być nieco szkoldliwy. Po lekcji pudełko z kredą winno być schowane.

— **Suszenie owoców.** Do suszenia wybierać trzeba owoce nie bardzo soczyste, raczej twarde, bo takie prędzej i lepiej wyschną, ani za mało, ani zbyt dojrzałe. Przed suszeniem oczyszcza się je troskliwie, nie obierając ze skórki, ani nie wyjmując ziarn. Sparzenie owocu wrzącą wodą i prędkie włożenie do pieca gorącego przyczynia mu dobroci i robotę suszenia skraca. Ususzonych owoców nie chowa się bezpośrednio ale rozściela naprzód cienką warstwą i zostawia przez kilka dni na otwartem powietrzu, a potem dopiero złożone w dobrze zamkniętych naczyniach, zachowuje w suchem miejscu.

— **Jabłka.** Krają się zwykle na dwoje lub na czworo, według wielkości, bardzo małe suszyć można całe. Ktoby chciał obrać je ze skórki, położy je całe na ciepłym piecu, zbierze, gdy na pół przeschną, zanurzy na kilka minut we wrzącej wodzie i zdejmie odmiękłą skórkę; zaraz potem spiesznie wysuszy, aby nie poczerniały. *Gruszki* suszą się tak samo, jak jabłka. *Sliwki* suszą się naprzód w bardzo wolnem, a potem w coraz mocniejszem cieple. Gdy nieco podeschną i pomarszczą się, wyjąwszy pestki, wdziewa je się na drewniane (byle nie sosnowe, olszowe lub dębowe) patyczki lub, na trzcinę i suszy w piecu do puty, aż do palców lgnąć nie będą. Następnie uktada je się w słojach wyłożonych papierem

Zadania do nagrody.

Za rozwiązanie poniżej podanych trzech zadań, przeznaczamy

1 nagród

w książkach, do wyboru, dla prenumeratorów „Miesięcznika”, po

3 nagrody

na każde zadanie.

Upraszamy pp. rozwiązujących o adresowanie do Redakcji „Miesięcznika Kurjera Polskiego” z dopiskiem na kopercie „Rozwiązanie”, a nadto

o podawanie każdego z rozwiązań na osobnej stronie lub kartce, ułatwia to bowiem znacznie i przyspiesza ocenę.

Upraszamy również o podawanie, wraz z rozwiązaniem, tytułu żądanej nagrody oraz swego adresu; takie tylko korespondencje będą uwzględniane w konkursach.

Tytuły dzieł, przeznaczonych na nagrody:

Asnyk Adam. — Wybór poezji.

Dawid J. Wł. — Nauka o rzeczach.

Jokaj M. — Poruszymy z posad ziemię (4 tomy).

Konopnicka M. — Nowele (z ilustr.).

Lenartowicz. — Wybór poezyj.

Łoziński. — Zakłęty dwór (2 tomy).

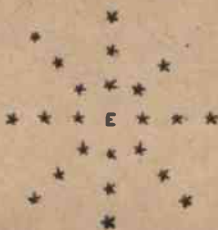
Prus Bolesław. — Placówka.

Sienkiewicz Henryk. — Nowele (z ilustr.).

Szymański Adam. — Dwie modlitwy (z ilustr.).

G W I A Z D Y.

Ułóż gwiazdę z czterech imion z Mitologii greckiej.



Srodkowa litera gwiazdy: E.

Szkoła Pythagorasa.

— O, ohwało nasza, sławo, mistrzu! powiedz, ilu uczniów posiadasz w swej szkole? Ilu uczniów korzysta z twej wiedzy, karmi się twemi myślami?

— Przyjacielu,—odrzekł mistrz,—odpowiem oi, w kilku słowach zaspokoję twą ciekawość: połowa mych uczniów studjuje matematykę, naukę światła i prawdy; czwarta część bada pod

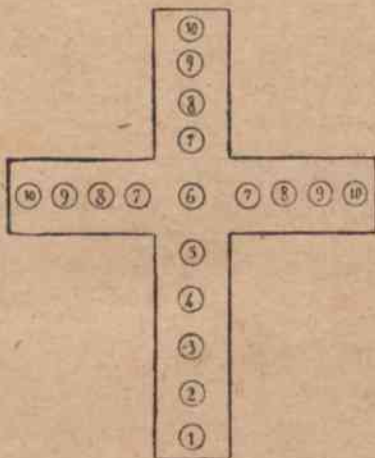
mym kierunkiem nieśmiertelne prawa, rządzące przyrodą; siódma część rozmyśla w cichości ducha o wszystkim, o czem się tu mówi; pozatem, — dodał z westchnieniem, — mam śród uczniów mych i trzy kobiety.

Ile uczniów liczyła szkoła Pythagorasa?

Pomysłowy złotnik.

Pewna pani przyniosła do złotnika 18 brylantów, prosząc, by je umieścił na krzyżyku tak, aby w linii pionowej znajdowało się 10 brylantów i, licząc od podstawy krzyża do końca ramion, aby się miało również po 10 brylantów...

Złotnik narysował taki model, jaki przedstawia nasz rysunek.



— Doskonale! — zawołała uradowana dama.

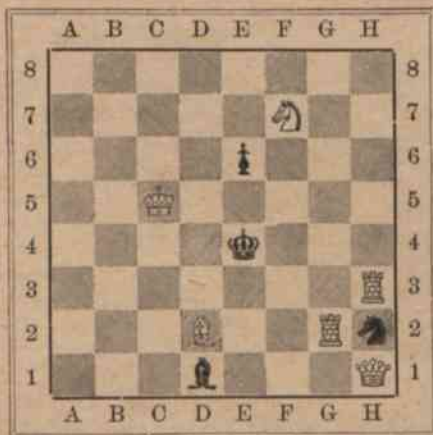
— Mogę narysować krzyż, który będzie w zupełności odpowiadał podanym przez panią warunkom — rzekł złotnik, — a użyję tylko 16 brylantów; dwa pozostaną na kolczyki.

Zaciekawiona klientka prosiła o narysowanie modelu. Jak postąpił złotnik, chcąc, aby nowy krzyż liczył również 10 brylantów w linii pionowej i aby od podstawy do końca każdego ramienia liczył również po 10 brylantów?

SZACHY.

Ułożył S. Loyd.

Czarne.



Białe.

Białe zaczynają i dają mata za drugim posunięciem.

Szachy - KAZIK

PYTANIA.

I.

Kto z poetów polskich i w jakim utworze swym—dał nam wspaniałą postać dziecka wrażliwego, postać istoty nerwowej, słabej, wysoce poetycznej, „rośliny cieplarnianej“, jak je się zwykło nazywać?

II.

Co dla filozofji uczynił Sokrates i na czem polega wielka jego zasługa dla rozwoju myśli ludzkiej?

III.

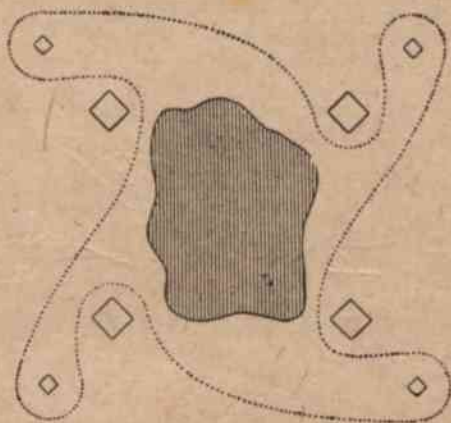
Jakie podania związane są z Wisłą, z jej źródłem, z jej powstaniem?

Rozwiązania.

Uwaga. Trzy nagrody, przeznaczone za najlepsze rozwiązania zadań, przyznawane są *trzem* prenumeratorom, *po jednej dla każdego* z trzech nagrodzonych.

Częstokół Indjan.

Poniższy rysunek określa kierunek częstokołu, pozwalający dochodzić do jeziora bardziej oddalonym kolonistom, zagradzający drogę bliżej osiadłym przybyszom



Rozwiązania nagrodzone pp.: Adolf Choliński z Białopola, Gabriela Janas z Opočna, A Ostrowski z Kotelni. Inne dobre rozwiązania nadeszli pp.: L Błętk z Lubiaszowa, St. Béreza z Płocka, Fr. Cwikliński z Chodowa, Jadwig Dąbrowska z Berdyczewa, Adam Dominiak z Częstochwy Józef Godlewski z Lubar, Rajmund Jaworowski z Radomia, St: J łowicki z Szepetowki, F. Kutyłowski z Uładówki, Antoni Kowalski z Kiszyniowa, Henryk Moszyński, Bolesław Nowicki z Czelbasu, Jan Piasecki z Gradzanowa, M. Pierzchała z Sobolówki, L. Podolskiński ze Zdun, A. Siwodet z Wiślicy, J. Skalski, Józef Strzelczyk ze Strzemieszyc, Janina Waksenburg, W. Widawski z Brodowa.

Ile kosztuje?

Jeżeli 7 łokci jedwabiu i 5 łokci pluszu kosztuje 53 ruble, to 7×12 łokci jedwabiu i 5×12 łokci pluszu kosztują 53×12 rubli, to j. 84 ł. jedw i 60 ł. pl. koszt. 636.

Jeżeli 12 łokci jedwabiu i 8 łokci pluszu kosztują 88 rub.,
to 12×7 łokci jedwabiu i 8×7 łokci pluszu kosztują 88×7 rubli,
t. j. 84 ł. jedw. i 56 ł. pł. koszt. 616 rubli.

Jeśli:

84 ł. j. 60 ł. p. — 636 r.

84 ł. j. 56 ł. p. — 616 r.

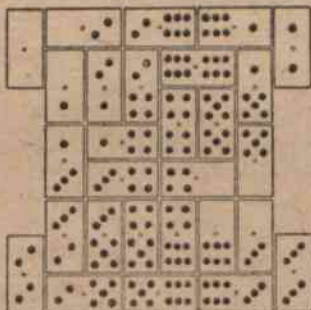
to 60 — 56 łokci pluszu kosztują 636 — 616 rubli, t. j. 4 łokcie pluszu kosztują 20 rubli, więc łokieć 5 rubli.

Tym samym sposobem dowiedzieć się można, ile kosztuje łokieć jedwabiu.

Rozwiązania nagrodzone pp.: Fr. Ćwikliński z Chodowa, Józef Godlewski z Lubar, F. Kutyłowski z Uładówki. Inne dobre rozwiązania nadeszli pp.: M. Andruszys z Łoniży, St. Bereza z Płocka, L. Biłek z Lubiaszowa, Jadwiga Dąbrowska z Berdyczowa, W. Gospodarczyk z Wadki, Gabryela Janas z Opoczna, Rajmund Jaworowski z Radomia, St. Jałowicki z Szepetówki, Antoni Kowalski z Kiszyniowa, F. Kutyłowski z Uładówki, Henryk Moszyński, A. Ostrowski z Kotelni, M. Orłowska z Suwałk, S. Ogrodowski ze Słupca, L. Podolszyński ze Zdun, A. Siwodiet z Wislicy, J. Skalski, Antoni Storski z Motodydycz, W. Widawski z Brodowa, Janina Waksenburg.

D o m i n o.

Rysunek nasz wyjaśnia jedną z możliwych kombinacji domina, objętych warunkami zadania.



Rozwiązania nagrodzone pp.: L. Biłek z Lubiaszowa, Jadwiga Dąbrowska z Berdyczowa, (2 kombinacje), A. Siwodiet z Wislicy. Inne dobre rozwiązania nadeszli pp.: St. Bereza z Płocka, Adam Dominiak z Częstochowy, Józef Godlewski z Lubar, Gabryela Janas z Opoczna, Rajmund Jaworowski z Radomia, F. Kutyłowski z Uładówki, A. Ostrowski z Kotelni, L. Podolszyński ze Zdun, Józef Strzelczyk ze Strzemieszyc, Feliks Wasilewski z Łodzi.

Rozwiązanie szachów.

Białe.

1. Giermek B 2 — C 1
2. Wieża D 5 (bierze) A 5.

Albo:

1.
2. Skoczek F 7 — D 6

Albo:

1.
2. Wieża D 5 — D 3

Albo:

1.
2. Wieża D 5 — E 5

Czarne.

1. Dama D 2 — A 5
(szach).
Mat.

1. Dama D 2 — D 5
Mat.

1. Pion F 6 — F 5
Mat.

1. Dama D 2 (bierze)
C 1.
Mat.

Dobre rozwiązanie nadesłał p. Wawrzyniec Pruszyński z Miropola.

Odpowiedzi na pytania, zamieszczone w numerze sierpniowym „Miesięcznika.

Kto nie zna prostych, tkliwych, rzewnych poezyj Kazimierza Brodzińskiego? Jego „Matka i dziecię“, „Przechadzka wieczorna“, „Czerniaków“—i wiele innych są tak popularne, tak ogólnie znane w pałacach i dworach, że bez przesady nazwać można poetę wychowawcą całego narodu w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Jego „Wiesław“ rozszedł się w wytwornych wydaniach kosztownych i ozdobnych, i w pięciokopiejkowych, wcisnął się i do komnat i do chat, i wszędzie zrozumiany i odczuty został. Śliczna to sielanka. I któżby wyczytał w tych pogodnych obrazach, że ich autor był nieszczęśliwym tułaczem przez całe życie, że od dzieciństwa tęskniąc za zmarłą matką, tęsknić był zmuszony przez całe życie; że ani szczęścia ani uznania nie dał mu los zakosztować. Wieńce po śmierci nie przyszły...

Na omentarzu przedmieścia drezdeńskiego, Fridrichstadt, nad mogiłą zmarłego poety, stoi skromny pomnik, w kształcie czworokątnej kolumny, u spodu wokoło obłożonej granitowymi kamieniami, z tym prostym napisem:

„Kazimierzowi Brodzińskiemu
Ziomkowie.

Urodzony 1791, umarł 1835 roku 10 października“.

Z pamiętnika Brodzińskiego wyjęliśmy wstęp, zamieszczony w n. sierpniowym „Miesięcznika“.

II.

Przed paru laty wyšla dziesięciokopiejka książeczka, napisana przez Henryka Wernika p. n. „Znakomici rzemieślnicy i przemysłowcy“.

„Zdarza się—mówi Wernik,—że człowiek z rodziny zamożnej i znakomitej dochodzi do wysokiego stanowiska, na którym może bliżnim wiele doprego zrobić. Ale bywa i tak, że człowiek z uboższego stanu, przy pracy i zdolnościach, jeśli ma w duszy swojej miłość ku ludziom, jeśli żywi pragnienie przyniesienia swą pracą pożytku współbraciom,—że i taki człowiek przychodzi do wielkiego znaczenia i wiekopomnej sławy“.

Takimi ludźmi byli:

Jozjasz Wedźwud (Wegwood), garncarz, który zaczął od tego, że nosił glinę, mieszał ją i deptał, a skończył tem, że pracą swą o przemyśle garncarskim zdołał zainteresować i uzyskać sympatję najwyższej instytucji kraju,—parlamentu. Tu znajdujemy też życioryk wynalazcy polewy garncarskiej, Palissy'ego, wynalazcy udoskonalonego warsztatu tkackiego, Żakarda (Jacquard), genialnego wynalazcy maszyny parowej Jakóba Uatta (Watt), wynalazcy parowozu, syna górnikarza z kopalni węgla, Jerzego Stefensona, twórcy maszyny do szycia, Eljasza Have (Howe). Pomysleć tylko, że syn górnikarza jest duchowym tych wszystkich kolei, które ziemię zasłały, a biedny krawiec—wynalazcą maszyn, które tysiącom, ba, milionom, byt zapewniły.

W żadnym razie nie można pominąć było i Franklina, — zeoera, uczonego i wielkiego obywatela.

W książeczce mamy prócz tego życiorys Steinkellera a wielkiego wynalazcy, nauczyciela ludowego, Jana Szczepanika.

III.

Arystomenes, wódz messesński, pobiwszy w wielu bitwach Spartanów i ciężkie zadawszy im klęski, dla dopełnienia miary hańby nieprzyjaciół, przyszedł tajemnie w nocy do Sparty i na drzwiach świątyni Ateny, zawiesił zdobytą tarczę z napisem. „Arystomenes, zabrawszy wielkie łupy Spartanom, tarczę tę poświęca bogini Atenie“. Zabobonni Spartanie, nadzwyczaj się przełękli i posłali do wróżki — wyroczeni delfickiej, a ta kazała im, jeśli nie chcą zginąć, — wezwać pomocy Ateńczyków. Zazdrośni Ateńczycy nie ohcieli pomódz Sparcie i jedynie przez bojaźń bogów, posłali im kulawego poetę—Tyrteusza.

Tyrteusz pieśnią swą tak podniósł ducha upadłych Spartan, że obrawszy go wodzem, wyszli na bój i zwyciężyli.

Wspaniały ten epizod z historii starożytnej przyswoił literaturze polskiej Wł. Anczyo w wierszu p. n. „Tyrteusz“.

Zaledwie kilka strof Tyrteusza przytoczyć tu możemy:

Znacież ten kraj, co mężnych synów chwała
 W daleki świat o sobie rozniósł wieść;
 Potęgom burz nadstawia pierś, zuchwała,
 I szydzi z tych, co mu chcą jarzmo nieść.
 Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki,
 Olbrzymią moc z harmonią oudną słów,
 Gdzie wyrósł mąż, co lwom targał paszczęki,
 I mieczem ściał siedm sprosnej hydrze głów?
 Dziewicznych niw przemocą ani zdradą,
 Aż podziś dzień nie zdeptał obcy wróg;
 Znacież ten kraj? nie znacie, nie! Hellado!
 Ja ciebie znam i Ares mężnych Bóg.
 I pieśń skonała; z ostatnim akordem,
 Mistrz lutnią z żalu rozstrzaskał o głazy.
 Gdy igrał ze lwem i drażnił go mordem,
 I serce hańbą poszarpał sto razy;
 Gdy gromom ojców groził z wrogiej ręki,
 Przeklął ojczyznę i łona onych matek;
 Lud miłował, bólem skamieniały męki;
 Lecz kiedy wygrał już pieśni ostatek,...

Wówczas wezwali go na wodza.

Miasto długo pustką stało...

Słychać trąb odgłos, wraca lud zwycięzki,

I na zdobytych dźwiga tarczach ciało,

Spowite w laury...

Oto wieszcz ateński.

ODPOWIEDZI.

PP. Kazia Kołakowska, z Kalisza, H. Górską z Kronsztatu, M. Pierzchała z Sobolówki, G. Płocki z Gumowa — rozwiązania za lipiec spóźnione.

P. Sł. Jełowicki. Zaszła omyłka; wysłemy Szymańskiego „Dwie modlitwy“.

P. M. Pierzchała. Wszystkie kwity pocztowe z wysłanych nagród mogą być Sz. panu przedstawione w każdej chwili w administracji. Sąd konkursowy ogłosi po ukończeniu pracy, — rezultat swych czynności.





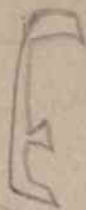
Gianje te księżki na wtarnosci

Strasy Krowdziej

Hand Miller



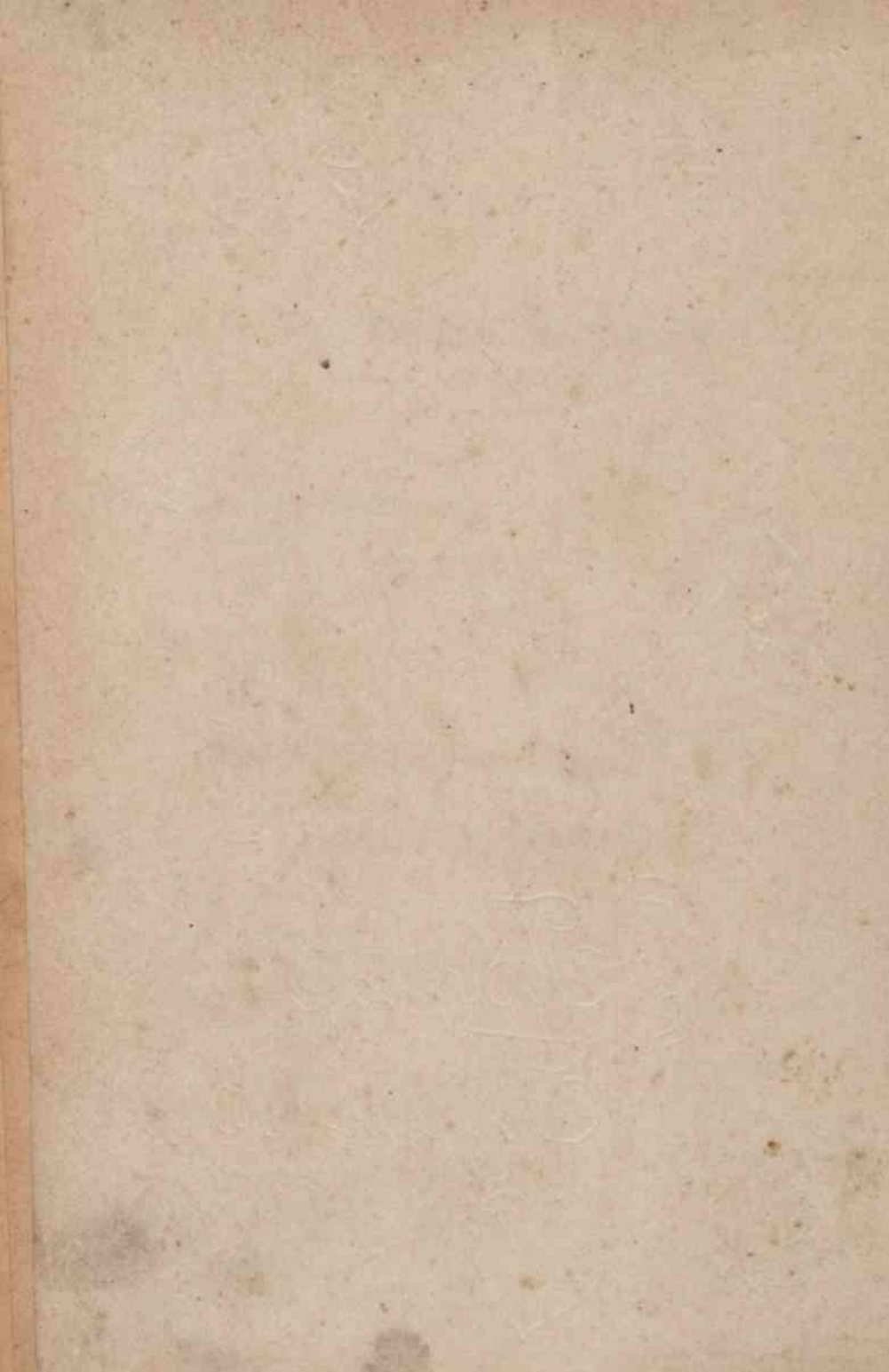
Włodzisław Kowalczykawa



Половая

Торша 838005







TOWARZYS

„L' Urbaine



Każdy człowiek, nawet najuboższy, powinien oszczędzać ze swego zarobku, aby złożyć sobie kapitał na starość, zaś na wypadek swojej śmierci uchronić rodzinę od nędzy. Jestto najsłodszy jego obowiązek wobec rodziny, ludzi i Boga. Lecz człowiek umrze może każdej chwili, nie zebrawszy dla rodziny dość pieniędzy, a wtedy najbliższe dłań osoby zostają w nędzy.

Nikt śmierci nie przewidzi, więc każdy może uchronić rodzinę przed nędzą, jeżeli zabezpieczy swą rodzinę w Towarzystwie „L'URBAINE“.

Niech płaci do Towarzystwa małą składkę, a choćby miał uzbierać po ubezpieczeniu, to rodzinę jego przynajmniej umiarkowany kapitał. Jeżeli zaś dotychczas do oszczędności nie przeszedł, to może otrzymać sam cały kapitał na starość, jeżeli w razie choroby lub w razie śmierci jego wypadku w terminie nie płacił składki, to prawo nie płacić, a nie będzie mógł znów pracować. Jeżeli stracił na swym przedsiębiorstwie, to przynajmniej otrzyma 1/3 kapitału, a jeżeli w terminie.

Składki miesięczne kwartalnie, półroczne albo roczne. Od większego kapitału przynajmniej widać. Składki płaci trochę drożej, niż inności.

Składki roczne:

Na 500 rubli i może składać co rok po 23 rub. 30 kop., za 500 rubli składek może składać wypłacony po jego śmierci. Od 1,500 rubli składa co rok po 30 rub. 50 kop.

Na 1,000 rubli i może składać co rok po 19 rub. 50 kop., jeżeli chce, to za 500 rubli może przynajmniej podzielić po jego śmierci, albo jemu sumę, jeżeli żyje, bez opóźnienia 25 lat, od 1,000 rubli składa co rok po 30 rub.

W ogóle każdy może umówić się z Towarzystwem, jak chce, i dawać jak dla siebie, a nie swego wierzyciela, z nacisków i położenia rodzinnego. Sposobów takich jest bardzo wiele, na różne sumy i różnym terminy.

Ubezpieczenie na życie jest korzystniejsze od składania pieniędzy na procent, bo zapewnia spokój o los rodziny. Każdy racjonalnik, ojednostka, robotnik powinien się ubezpieczyć.

W celu zapewnienia kapitału dla ubezpieczonych Towarzystwo „L'URBAINE“ złożyło do Banku Państwa pół miliona rubli kauceji i składa także swoje fundusze zapasowe pod kontrolą Rządu. Ubezpieczeni otrzymują kwity z pieczęcią Ministerjum Spraw Wewnętrznych.

Dla zawarcia umowy przychodzić lub pisać do Tow. „L'URBAINE“ w Warszawie, ul. Nowo-Ziemia № 51.